

Warszawa opleciona potężną magią  
odkrywa mroczne tajemnice.

**PRZYSŁUGA**  
*dla*  
**CZARNOKSIĘŻNIKA**

MAGDALENA KUBASIEWICZ

**SON**  
imaginatio

**PRZYSŁUGA**  
*dla*  
**CZARNOKSIĘŻNIKA**

MAGDALENA KUBASIEWICZ

KRAKÓW 2022

**Anecie Jadowskiej,  
za wsparcie i wszystkie dyskusje  
o zagranicznych sagach urban fantasy**



ROZDZIAŁ 1

**CZARNOKSIĘŻNIK  
U DRZWI**

Gdy późnym wieczorem ktoś zadzwonił do drzwi, Jagoda Wilczek spodziewała się zobaczyć przez wizjer kuriera, nieumówionego klienta, Sonię (która regularnie zapominała kluczy), ewentualnie sąsiada. Na pewno nie Caleba Blythe'a, Ucznia Czarnoksiężnika.

Chociaż prawdopodobnie powinna się go spodziewać. Była mu winna przysługę, a czarnoksiężnicy nigdy nie zapominali o takich długach.

Jagoda w pierwszej chwili chciała udać, że nie ma jej w domu. Bawiła się tą myślą przez jakąś sekundę, nim odblokowała zamek. Nie знаła Caleba – łączyły ich jedynie krótka, pojedyncza rozmowa i zawarty podczas niej układ, za który teraz zapewne Jagoda miała zapłacić. Nie łudziła się jednak, że Blythe odpuści. Jeżeli pofatygował się do niej osobiście, zapewne pokonał granice przynajmniej dwóch państw, czegoś od niej chciał i nie odejdzie, póki tego nie dostanie.

Czarownica wolała się nawet nie zastanawiać, o co może chodzić.

– Wilcza Jagoda – przywitał ją Caleb, podpierając się ramieniem o framugę.

– Uczeń Czarnoksiężnika – odwdzieczyła się pięknym za nadobne, krzyżując ramiona na piersiach. Nie zdjęła zaklęcia zabezpieczającego mieszkanie. Przypatrywała się Calebowi podejrzliwie, jakby oczekiwała, że ten zaraz rzuci jakiś wredny czar.

O ile mogła to ocenić w półmroku korytarza, nie zmienił się od ich spotkania sprzed paru miesięcy. Zresztą i tak jak nic hamował proces starzenia za pomocą magii. Choć starszy od niej o niemal dekadę, wyglądał raczej na trzydzieści niż niespełna czterdzieści lat. Włosy miał jasne, rysy ostre i, jak podczas tamtej rozmowy, nosił kilkuniedniowy zarost.

Może tylko był trochę bledszy niż ostatnio.

Właściwie był dużo bledszy. I zlany potem.

A jego niebieskie oczy ostatnio na pewno nie lśniły od gorączki.

I...

Caleb zaczął się powoli osuwać po framudze, Jagoda odruchowo wyciągnęła rękę, by go podtrzymać, i jej dłoń napotkała na coś wilgotnego, a w nozdrza wdarła się woń krwi. Caleb syknął z bólu, spróbował się szarpnąć i stracił równowagę, tak że czarownica ledwo go utrzymała.

– Kurwa – syknęła, uchyliła zaklęcia ochronne i z trudem przeciągnęła Caleba przez próg.

Gdy znaleźli się w przedpokoju i na Blythe'a padło światło z salonu, dostrzegła, że nie tylko jego kurtka i koszula, ale także nogawka dżinsów jest przesiąknięta krwią. Przerzuciła sobie ramię mężczyzny przez szyję i pociągnęła go do pokoju. Caleb z trudem wykonywał kolejne kroki, kuśtykając na prawą nogę.

– Chyba ty – wydyszał. Najwyraźniej nawet w takim stanie nie potrafił darować sobie uwagi.

Jagoda zacisnęła zęby, pomagając mu usiąść na kanapie. Dla niej zdecydowanie nie była to sytuacja sprzyjająca przerzucaniu się złośliwymi komentarzami. Zresztą nawet gdyby chciała, nie wymyśliłaby żadnej dobrej odpowiedzi. W głowie bowiem krążyła jej w tej chwili jedna myśl, spychająca na bok wszystkie inne.

Co poraniony Caleb Blythe tutaj robił? I czy to, co go tak urządziło, nie przywlecze się za nim?

– Siedz tu! – rzuciła ostro.

– Nigdzie się nie wybieram.

Jagoda podbiegła do drzwi, zatrzasnęła je i zamknęła najpierw zamek, potem łańcuszek, a wreszcie z powrotem uruchomiła zaklęcie ochronne. Po kolei sprawdziła, czy okna w pozostałych pomieszczeniach – jej pokoju, sypialni Soni i kuchni – też są zabezpieczone. Potem, z telefonem w ręku, wróciła do salonu, służącego także za pracownię i gabinet.

– Wezwę pomoc – oświadczyła, lecz nie zdążyła wybrać numeru Batorego, jedyne magiczne szpitala w Warszawie: Caleb uniósł rękę, a telefon wyrwał się jej z dłoni i upadł na podłogę.

– Nikogo nie powiadamiaj – nakazał Blythe. Głos miał słaby; ledwo dało się rozróżnić słowa. Odchylił głowę i przymknął oczy, a Jagodę nawiedziła przerażająca myśl, że Uczeń Czarnoksiężnika zaraz wyzionie ducha na jej kanapie.

– Możesz się wykrwawić. A ja nie jestem magomedyką.

– Nikogo. Nie. Powiadamiaj – wycedził. Uniósł powieki i spojrzał prosto na nią. Chyba chciał rzucić jej groźne spojrzenie, ale miał problem ze zogniskowaniem wzroku. – Jesteś mi winna przysługę.



– Ta przysługa ma oznaczać zapewnienie ci wygodnego łoża śmierci? – spytała, ale nie wybrała numeru do szpitala. Jej aura poruszyła się niespokojnie, a wpisany w nią dług, przyrzeczenie potwierdzone magią, zdał się realnym ciężarem na ramionach.

Najwyraźniej złożenie przysięgi na magię za pośrednictwem Skype’a też było wiążące. Jagoda miała nadzieję, że skoro musieli z konieczności pominąć całą otoczkę – z wymienianiem krwi i uściskiem dłoni – nie powstała między nimi magiczna więź. Nadzieja jednak, po raz kolejny, okazała się matką głupich.

Czarownica podeszła do Caleba i rozchyliła jego starą wojskową kurtkę. Aż syknęła: koszula na klatce piersiowej była w strzępach, a z głębokich, długich ran wciąż płynęła krew.

– Zapewnij mi bezpieczeństwo – powiedział z trudem, jeszcze ciszej niż wcześniej. – Powiadomienie kogokolwiek mnie narazi... i złamie naszą umowę.

Magia zadrgała w powietrzu. Musnęła skórę Jagody. Zawirowała w jej aurze.

Zawarli umowę. Przysługa za równorzędną przysługę.

„Zapewnij mi bezpieczeństwo”.

– Niech cię... – wycodziła czarownica, rzucając się ku regałowi z księgami.

W pierwszych rzędach, na widoku, trzymała pozycje, które od biedy dało się uznać za wyraz zainteresowania fantastyką, mitologiami, ziołami i starymi wierzeniami. Za nimi, w drugich rzędach, ustawione były książki innego rodzaju. Większość traktowała o klątwach, parę o rytuałach, magii ochronnej i alchemii. Znalazły się tam jednak także pojedyncze pozycje z dziedziny magii ogólnej. Jagoda sięgnęła po jedną z nich i zaczęła pospiesznie przerzucać strony.

– Jaga?

– Rozpraszasz mnie.

– Może należałoby to zatamować? – wyszeptał Caleb i skrzywił się, gdy czarownica usiadła obok niego, by zsunąć mu kurtkę i zyskać lepszy dostęp do rany.

Krzyknął z bólu, kiedy zaczęła odrywać materiał, który zdążył przyłgnąć do miejsca zranienia. Krew, częściowo przyschnięta, popłynęła ze zdwojoną siłą. Szczęście w nieszczęściu, koszulka była na tyle poszarpana, że wystarczyło lekko pociągnąć, aby odsłonić głębokie rozcięcia.

Jagoda nie miała pewności, ale chyba dostrzegła coś białego. Żebro? Wolą się nie przypatrywać.

– Nie ruszaj się. Nie chcesz mieć tkaniny w ciele – ostrzegła, po czym ułożyła sobie księgę na kolanach. Na stronie pozostały krwawe odciski palców: dłonie miała już całe czerwone. Caleb poruszył się niespokojnie, gdy ostrożnie ułożyła lewą rękę ponad jego sercem.

Które najwyraźniej ktoś próbował mu wyrwać.

– Robiłaś to już kiedyś?

– Tak. Z rozbitym kolanem siostry, nie rozharataną klatką piersiową – przyznała szczerze. Nie wdawała się w dalsze wyjaśnienia, świadoma, że Blythe zaraz zemdleje albo, nie daj Merlinie, umrze. Naprawdę wolałaby nikomu nie tłumaczyć, dlaczego w jej salonie leży zakrwawione ciało Ucznia Czarnoksiężnika.

Jeżeli nie chciał pozwolić na wezwanie magomedyków, musiał zadowolić się nią.

Odczytała inkantację, a magiczna energia przepłynęła przez jej palce. Przez moment na dłoni Jagody widać było wszystkie żyłki, błyszczące pod skórą jasnym światłem. Potem blask przygasł, przedostając się do ciała Caleba, i rana na klatce piersiowej, ku uldze czarownicy, zaczęła się zasklepiać. Po mniej więcej trzydziestu sekundach krew przestała płynąć, po kolejnych kilkudziesięciu rany zablizniły się przy brzegach. Następna minuta sprawiła, że nie wyglądały już tak tragicznie. Zdawało się, że Blythe

został zraniony kilka dni temu, w dodatku nie aż tak poważnie.

Jagoda cofnęła rękę. Straciła dużo energii. O wiele więcej, niż takie zaklęcie zabrałoby komuś specjalizującemu się w magii uzdrowicielskiej. I osiągnęła dość mizerny rezultat. Na jej gust rana wciąż wymagała szycia, a chociaż czarownica miała dość bogate doświadczenia życiowe, nie obejmowały one zakładania szwów.

Caleb wciąż był trupioblady. Chyba nie miał już nawet siły na żadne dalsze komentarze. Znów

oparł głowę na wezglowiu kanapy i przymknął oczy. Musiał stracić sporo krwi, zresztą nawet gdyby Jagoda знаła się na czarach wzmacniających, nie mogłyby one w pełni zastąpić transfuzji i solidnej dawki eliksirów.

- Naprawdę powinnam zabrać cię do szpitala.
- Nie – uciał.
- Świetnie – prychnęła. – Wyskakuj ze spodni, Blythe.
- Nie powinniśmy najpierw chociaż zjeść kolacji?

W porządku, jednak miał dość siły na głupie komentarze. Ale już nie na to, by rozpiąć pasek – sięgnął ku niemu, lecz palce nie mogły poradzić sobie ze sprzączką. Jagoda musiała zająć się nim sama, a potem ściągnąć Calebowi buty i spodnie, nie zważając na jego posykiwania z bólu. Rany na nodze wcale nie wyglądały lepiej niż na klatce piersiowej, choć chyba nie zagrażały życiu. O ile klatka piersiowa był rozharatana, jakby Blythe'a kilka razy cięto nożem, o tyle nogę coś najwyraźniej próbowało mu rozszarpać. Jagoda nie umiała ocenić, co zadało obrażenia, bo po pierwsze, nie bardzo się na tym znała, a po drugie, krwi było za dużo.

Powtórzyła inkantację. Płytsze rany się wygoiły, pozostałe przestały krwawić i częściowo się zasklepiły. Wciąż została jedna, na łydce – zbyt głęboka na pojedyncze zaklęcie. Wiedźma zdołała jedynie powstrzymać krwawienie i sprawić, że rozcięcie zbiegło się trochę przy brzegach. Następnie wstała i ruszyła do łazienki po apteczkę, ręczniki i miskę z wodą. Gdy wróciła, Caleb z trudem pozbywał się kurtki i strzępów koszulki.

Jagoda pomodliła się w duchu, by przypadkiem Sonia nie wróciła akurat teraz do domu. Dziewczyna nie dałaby jej żyć przez najbliższy miesiąc. Nie uwierzyłaby, że jedyna przyczyna obecności niemal nagiego mężczyzny w mieszkaniu to fakt, że był niemalże umierający. I że Jagody naprawdę, ale to naprawdę nie interesowało gapienie się przy okazji na jego mięśnie. Po pierwsze, to był cholerny Uczeń Czarnoksiężnika, po drugie, jej uwagę przyciągał raczej wielki krwiak na boku. Rozlewał się od pachy aż do biodra, ogromny, czerwony, przy brzegach przybierający siną barwę. Dostrzegła też, że najwyraźniej obrażenia to dla Blythe'a nie pierwszorzędne i nie miał on w zwyczaju korzystać z usług magomedyków. Nie widziała dobrze jego pleców, ale tylną część ramion i boki pokrywały starsze blizny. Porządny uzdrowiciel zaleczyłby je bez śladu.

– Czy ty masz złamane żebra? – spytała podejrzliwie, po czym usiadła obok i zanurzyła ręcznik w wodzie. Musiała usunąć choć trochę krwi i założyć opatrunki. Na szczęście to umiała robić. Nauczona zapobiegliwości przez babkę, miała też w domu całkiem sporo środków pierwszej pomocy, w tym skuteczną maść leczniczą.

Ale to wciąż było za mało, aby zaradzić na wszystkie obrażenia.

– Możliwe – mruknął. Cóż. Może nawet lubująca się w czytaniu romansów Sonia uwierzyłaby, że złamanie żeber to dostateczny powód, aby człowiekowi nie w głowie były amory. – I chyba uszkodzoną kostkę. Shit.

– Okej – powiedziała Jagoda, siląc się na spokój. Metodycznie oczyszczała okolice rany, najpierw na mokro, a potem na sucho, nie zważając na syknięcia Caleba. – Nie zaleczę złamanych żeber. Nic nie poradzę na tę kostkę. Jeżeli faktycznie masz połamane żebro, mogło dojść do jakiegoś przemieszczenia. Poza tym...

– Daj spokój.

– Poza tym nie wykluczam obrażeń wewnętrznych – podjęła nieco głośniejszym głosem, choć wciąż spokojnie. Sięgnęła po opatrunki i zabrała się do opatrywania ran. – Nie wyleczę ich ani nawet nie zdiagnozuję. Oby nic nie przebiło płuca, ale wtedy chyba już byłbyś martwy. Nie zaleczę też tego krwiaka, bo wyprałabym się z resztek magicznej energii. A wolałabym tego nie robić, skoro nie wiem, czy to, co cię tak załatwiło, nie wpadnie tu zaraz i nie spróbuje oderwać nam głów. Wykwalifikowany magomedyk może wyleczyć cię zupełnie w ciągu jakichś trzech, maksymalnie pięciu dni...

– A ty?

– Nie wiem. Trzy tygodnie? Cztery? O ile nie masz uszkodzonej wątroby. Albo śledziony. Albo czegośkolwiek, co znajduje się we wnętrzu człowieka. Powtarzam, potrzebujesz uzdrowiciela. Kilku silnych zaklęć, pewnie rentgena, wzmacniającego eliksiru i transfuzji krwi. Opieki specjalistów. Nie

bądź nierozsądny.

– Naprawdę przypominasz prababkę – wymruczał Caleb.

Jagoda z trudem zapanowała nad mięśniami twarzy, nie musiała jednak trudzić się ukrywaniem emocji. Głowa Blythe'a opadła mu na ramię. Ból, utrata krwi i wysięk, jaki musiał włożyć w dotarcie tutaj, zrobiły swoje i mężczyzna stracił przytomność.

Czarownica westchnęła, po czym ostrożnie przesunęła go do pozycji leżącej i zabrała się do nakładania maści leczniczej na krwiak. Teraz przynajmniej Caleb się nie kręcił i nie rzucał żadnych idiotycznych komentarzy.

Jagoda zaś, zajmując się nim, rozmyślała nad tym, co takiego go tutaj sprowadziło, w jak duże kłopoty się wpakowała i przede wszystkim: czy zdoła doczyścić swoją ulubioną kanapę z krwi.

\*

Los był litościwy. Sonia Zawicka pojawiła się dopiero jakąś godzinę po tym, jak Caleb zadzwonił do drzwi. W tym czasie Jagoda zdążyła mniej więcej opatrzyć rany, rzucić na Blythe'a zaklęcie wzmacniające (nie była pewna, czy podziałało), ukraść mu parę włosów (tak na wszelki wypadek), okryć go kocem i zamknąć drzwi do salonu. Już w kuchni zaparzyła dzbanek herbaty cytrynowej. Może było to dziwne – popijanie herbaty, gdy na twojej kanapie śpi ranny czarnoksiężnik – ale potrzebowała chwili na uspokojenie się i uporządkowanie myśli.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Jagodzie Wilczek przydarzyło się parę osobliwych i niebezpiecznych przygód, jednak wbrew reputacji, jakiej się dorobiła, na co dzień prowadziła stosunkowo zwyczajne życie – przynajmniej jak na czarownicę. Pochodziła z wpływowej rodziny, ale nie licząc siostry, utrzymywała z krewnymi sporadyczny kontakt. Mieszkała na niemagicznym osiedlu i z rzadka odwiedzała główną miejską enklawę, stanowiącą serce czarodziejskiej społeczności Warszawy. Uczyla Sonię, młodą wiedźmę, co czasem przyprawiało ją o ból głowy. Była specjalistką od klątw, ale zwykle jej działalność sprowadzała się do zdejmowania prostych przekleństw albo efektów spartaczonych zaklęć. Istniały oficjalne służby, które interweniowały w naprawę groźnych przypadkach. Podczas swojej pracy rzadko więc stykała się z czarną magią czy szczególnie niebezpiecznymi personami.

A Caleb Blythe na pewno był niebezpieczny i istniały powody, aby podejrzewać go o konszachty z ciemnymi mocami.

Jako młody chłopak został uczniem prababki Jagody, potężnej wiedźmy. Uciekł spod jej kurateli po paru latach, niedługo przed tym, nim zmarła. Jagoda była za mała, aby dobrze pamiętać Caleba z tamtych czasów. Potrafiła przywołać jedynie zamazany obraz jasnowłosego nastolatka, wędrującego przez ogród okalający dom Wilczków. Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Może знаła go jako dziecko, ale nie słyszała o nim przez kolejne lata i zdążyła zapomnieć o jego istnieniu. Nazwisko Blythe wypłynęło, kiedy miała jakieś szesnaście lat – i znalazło się na ustach wszystkich.

Po umknięciu spod opieki Joanny (czemu Jagoda się nie dziwiła, prababka prawdopodobnie nie była za dobrą nauczycielką) Caleb został uczniem Jacoba Reda, brytyjskiego czarodzieja. Uważano go za geniusza, najpotężniejszego maga stulecia. Posiadał ogromną moc, bogactwo, wpływy. Był geniuszem, owszem. Był też potężny, nikt nie mógł mu tego odmówić. Był też, niestety, potworem w ludzkiej skórze. Kiedy ujawniono jego udział w porwaniu pewnej czarodziejki, drobiazgowe śledztwo pozwoliło odkryć wiele wcześniejszych zbrodni. Red od lat prowadził niehumanitarne eksperymenty, próbując – jak sam twierdził – „pokonać ludzkie niedoskonałości”. Stał za całą serią porwań, a gdy władze dostały się do jego laboratoriów, jasne było, że czarodziejka, która zdołała uciec z rąk Reda, uniknęła losu gorszego od śmierci. Podczas procesu mag nie okazał skruchy. Twierdził, że działał w imię dobra ludzkości, a cierpienie kilku osób to niewielka cena za postęp.

Calebowi nie udowodniono, że pomagał Redowi, nazwanemu przez prasę „Czerwonym Rozpruwaczem”. Trzy ofiary, które wydostano z laboratorium wciąż żywe, nie wskazały go jako winnego. (Zresztą stan umysłowy jednej z nich nie pozwolił jej na udział w procesie). Na noc kilku porwań miał alibi. Uciekiniarka twierdziła, że zdołała umknąć tylko dzięki pomocy Caleba, na którego natrafiła, kiedy cudem wydostała się z celi i przekradła do części domowej. Ponoć Blythe wyprowadził



wycieczoną dziewczynę z pilnie strzeżonego budynku i pomógł jej wezwać pomoc. Niedoszła ofiara Reda była zresztą jedną z najbardziej gorliwych obrończyni Ucznia Czarnoksiężnika i pewnie to jej postawa sprawiła, że wreszcie zarówno prasa, jak i spora część magicznego społeczeństwa dała wiarę, że Caleb jest niewinny.

Jagodzie trudno było jednak uwierzyć, że Blythe mógł mieszkać parę lat nad laboratorium Reda i nic nie wiedzieć o jego poczynaniach. Gdy zawarli umowę, poszukała informacji o sprawie i uznała, że przynajmniej jedno alibi wyglądało na mało wiarygodne. Pomoc dla uciekinierki zaś równie dobrze mogła być nie próbą obrócenia się przeciw mistrzowi, ale oddalenia od siebie podejrzeń. Już wtedy jeden z funkcjonariuszy tamtejszego Departamentu Magicznego krążył wokół Jacoba i jego ucznia.

Tak czy inaczej, Calebowi nie postawiono zarzutów. Dorobił się jednak przydomka Ucznia Czarnoksiężnika, a ze względu na całą sprawę i jego późniejsze działania zyskał opinię niebezpiecznego.

Pech chciał, że przed kilkoma miesiącami Jagoda potrzebowała pomocy Caleba. Gdy ze stuletniego snu przebudziła się pewna żądna zemsty czarodziejka, na którą Kłątwe Śpiącej Królowy rzuciła prababka Jagody, konieczne było odkrycie jej tożsamości. Uczeń Joanny Wilczek znał położenie przejścia do ukrytego domu nauczycielki. I w zamian za tę wiedzę Jagoda obiecała mu przysługę.

Nie żałowała tego, co zrobiła. Zastanawiała się jednak, czy przyjdzie jej pożałować wkrótce.

– Jagoda!

Tym razem Sonia nie zapomniała klucza. Wpadła do mieszkania, trzaskając drzwiami, jak zawsze pełna energii, głośna już od progu.

– Kupiłam nam zajebiste lody!

– Ciii! – Jagoda wypadła z kuchni i przyłożyła palec do ust.

Dziewczyna, ściągając buty, zamarła w pół ruchu i spojrzała na nią podejrzliwie.

Młoda Zawicka jakiś czas temu skończyła dwadzieścia lat, choć Jagoda wciąż odnosiła wrażenie, że mieszka z typową zbuntowaną nastolatką, momentami trudną do wytrzymania. Dziewczyna była śliczna jak z obrazka – jasnowłosa, szczupła i wysoka, zawsze świetnie ubrana i starannie uczesana, mogłaby zrobić karierę modelki w niemagicznym świecie. Lecz Sonia umyśliła sobie, że zostanie specjalistką od kłąt. Bo właśnie w tej dziedzinie zdradzała naturalny talent. To z tego powodu kiedyś stanęła na progu mieszkania Jagody i błagała o przyjęcie na nauki. Zdołała ją przekonać, choć czarownica nie chciała brać uczniów, nie cierpiała się z matką Zawickiej, a do tego kiedyś spotykała się ze starszym bratem Soni.

Po pół roku wiedźma wciąż nie zdecydowała, czy dobrze zrobiła, ale przywykła do obecności dziewczyny. Zwłaszcza że ta okazała się pojętną oraz (co zaskakujące) zazwyczaj posłuszną uczennicą.

– Co się dzieje?

– Chodź do kuchni. Wyjaśnię ci. I poważnie? Lody w taką pogodę?

– Jesteśmy dorosłe. Nikt nie może nam zabronić jedzenia lodów, nawet jeśli kwiecień w każdy dzień wplata więcej zimy niż lata!

Sonia dźwignęła siatkę i ruszyła za Jagodą do malutkiej kuchni. Dziewczyna, która ledwo co wyrwała się spod kurateli nadopiekuńczej matki, wciąż cieszyła się tym, że „nikt nie mógł jej zabronić” tego czy owego. Momentami, zdaniem Jagody, nadużywała tej nowo nabytej wolności, wiedźma starała się jednak tego nie komentować. Była za swoją uczennicę odpowiedzialna, ale czuła, że nie ma prawa pouczać jej na każdym kroku. Zwłaszcza że, bądź co bądź, Sonia była dorosła. Ponadto Zawicka wiedziała, że jeśli przegnie, nauka natychmiast się zakończy, a tego chciała za wszelką cenę uniknąć. Jagoda liczyła, że widmo konsekwencji powstrzyma dziewczynę przed poważnymi wyskokami.

– Okej. To kim on jest? – spytała Sonia, pochylając się, by załadować lody do zamrażalnika.

Jagoda usiadła na jednym z taboretów, ustawionych przy ladzie pod oknem, służącej za stół.

– Skąd... Ach. Buty.

Koszulę i spodnie Caleba wrzuciła do pralki. Ta pierwsza nadawała się do kosza, ale nie wywaliłaby do śmieci czegoś, na czym znajdowała się krew czarodzieja. Kurtkę wyczyściła, jak mogła najdokładniej, i powiesiła na balkonie. Buty trafiły do przedpokoju. A Sonia zawsze była wręcz niepokojąco spostrzegawcza.

– Aha – zgodziła się uczennica. – Buty. Męskie. Zamknięty salon. Nie klient, bo nie zostawiłabys

go tam samego, żeby pić herbatę w kuchni. Hej, zaprosiłaś kogoś na ogniste bara-bara? Trzeba było uprzedzić, że mam wrócić później...

– Nie, to nie mój chłopak. To znajomy. Zdaje się, że... z kimś się pobił. Połatałam go, jak umiałam, i zasnął na kanapie.

Bardzo starała się nie skłamać. Soni musiało jednak coś nie grać w tym wytłumaczeniu, bo przyjrzała się jej ze zmarszczonymi brwiami, a potem bez słowa wymaszerowała z kuchni i skierowała się prosto do salonu. Jagoda przez moment chciała za nią zawołać, ale zrezygnowała. Wątpiła, by Caleb dał radę opuścić ich mieszkanie w ciągu najbliższych godzin. A nawet najbliższych dni, jeżeli uparcie będzie odmawiał przyjęcia pomocy magomedyków. Sonia prędzej czy później i tak go zobaczy.

Wychyliła się lekko, by móc obserwować poczynania dziewczyny. Ta pchnęła drzwi i zajrzała do salonu, po czym wróciła do kuchni.

– Ładny jest – stwierdziła.

Jagoda westchnęła znad swojego kubka.

– I za stary dla ciebie.

– E tam, koło trzydziestki. Co to jest: dziesięć lat? Zwłaszcza pośród czarodziejów.

– Raczej pod czterdziestkę i mówię poważnie. Trzymaj się od niego z daleka – ostrzegła Jagoda. Sonia opadła na miejsce obok niej i teatralnym gestem wyrzuciła ręce do góry.

– Alleluja, zainteresowałaś się jakimś mężczyzną! Jeżeli jest zaklepany, w porządku, będę się trzymać od niego z daleka...

– Soniu.

W jej tonie musiało być coś, co sprawiło, że dziewczyna wreszcie przestała się wydurniać i spojrzała na nią z poważniejszym wyrazem twarzy.

– Pomogłam mu nie dlatego, że jest przystojny. Ani nie dlatego, że jest sympatycznym facetem i go lubię. Jestem mu winna przysługę, nic ponad to. Nie znam go dobrze i prawdopodobnie nie jest ani trochę miłym człowiekiem. Proszę, nie rozmawiaj z nim, broń Merlinie nie flirtuj i nie wspominaj nikomu, że ktoś taki tutaj przebywa.

Sonia nie odpowiedziała od razu. Przypatrywała się tylko Jagodzie, a ta wiedziała, że w głowie Zawickiej obracają się tysiące trybików, gdy ta usiłuje poskładać fakty i wyciągnąć wnioski. Dobrze, że przynajmniej nie miała szans domyślić się prawdy. Gdy o Calebie było głośno, ona miała jakieś osiem, dziewięć lat. Wątpliwe, by mogła go rozpoznać. A o tym, z kim Jagoda zawarła układ, by poznać lokalizację enklawy prababki, wiedziała tylko babka. Druga Joanna Wilczek, imienniczka swojej matki.

– No dobra – ustąpiła Sonia. – Czyli to coś nefajnego, a ty nie chcesz, żebym się w to mieszała.

– Mniej więcej – przyznała Jagoda niechętnie.

– Pamiętasz, że nie jestem dzieckiem?

– Pamiętam. Zresztą powtarzasz to regularnie, na wypadek gdybym zapomniała.

– To mogłabyś mi trochę zaufać.

– Pozwoliłam ci tu zamieszkać. Wiesz, że on tu jest. To przejaw niemałego zaufania.

Sonia spojrzała na nią z niezadowoleniem. Znała Jagodę krótko i niewiele wiedziała o jej przeszłości. Nie zdawała sobie sprawy, jak dużym ustępstwem było to, że nauczycielka wpuściła ją do swojego życia.

Jagoda stłumiła ukłucie złości. Miała wprawę w wygaszaniu emocji. Tylko dlatego nie warknęła na Zawicką, że może i ją uczy i przyjęła ją pod swój dach, ale na pewno nie dała jej prawa do wypytywania o wszystkie prywatne sprawy i interesy. Nic dobrego nie przysłoby z takiej kłótni.

– Nie opowiesz mi, co mu się dokładnie stało? – spytała dziewczyna.

– Na razie sama nie jestem pewna. – Przynajmniej w tym przypadku mogła odpowiedzieć szczerze. – Porozmawiam z nim rano.

– Wtedy mi powiesz?

Jagoda wzruszyła ramionami.

– To zależy od tego, co powie.

– Nici z porannej lekcji, skoro okupuje salon. – Sonia westchnęła z rozczarowaniem.

– Masz wolne. Ciesz się.

– Miałam wolne przez większość życia – prychnęła dziewczyna, przewracając oczami.

Było w tym trochę prawdy. Rozpieszczana dziedziczka bogatej i hołdującej starym tradycjom rodziny Zawickich wprawdzie uczyła się pod okiem prywatnych nauczycieli, ale wymagano od niej głównie zdobycia podstawowej wiedzy, by nie przynosiła wstydu rodzinie. Nie oczekiwano, że znajdzie pracę czy zrobi karierę. Miała poślubić odpowiedniego mężczyznę, urodzić dziecko, wydawać eleganckie przyjęcia i cieszyć się życiem w luksusie.

– W takim razie może pójdziesz dokończyć wypracowanie o średniowiecznych mistrzach klątw – podsunęła czarownica.

– Oj no...

Entuzjazm Soni wobec nauki był spory, ale choć początkowo chłonęła wiedzę jak gąbka, z czasem zaczęła się buntować wobec teorii i nalegała na więcej ćwiczeń praktycznych.

– Chcesz być specjalistką od klątw czy nie? Nigdy nie zdasz europejskiego egzaminu, jeśli zdobędziesz tylko umiejętności praktyczne. Na moim pytano mnie o szczegółowy życiorys Alice Boleyn.

– Dobra, dobra. Rozumiem, że ty dziś nie idziesz spać?

Wzrok Jagody odruchowo powędrował w stronę przymkniętych drzwi do salonu. Sonia знаła ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że nauczycielka nie zaśnie, jeśli pod jej dachem przebywa ktoś, komu nie ufa. Ba, w pierwszych dniach bytności Soni tutaj Jagoda sypiała mało i zabezpieczała przed nieproszonymi wizytami zarówno własną sypialnię, jak i salon.

– Nie – przyznała.

\*

Caleb obudził się koło szóstej, gdy niebo za oknem dopiero szarzało. Lampka nocna wypełniała salon słabym pomarańczowym blaskiem. Jagoda siedziała w fotelu, z kubkiem kawy w ręku, przykryta kocem. Spędziła tak większość nocy, surfując po internecie na komórce i co jakiś czas zerkając na Blythe'a.

Czuwała, na wypadek gdyby postanowił wstać i poderżnąć im gardła. Albo wręcz przeciwnie – miał wyzionąć ducha z powodu obrażeń wewnętrznych.

Spróbował wstać, trochę zbyt gwałtownie, i z jego ust wydobył się jęk. Magia wokół niego wezbrała falą i Jagoda zeszywniała. Sięgnęła po moc znaków ochronnych, wyrytych na progu i parapecie, ale nie musiała się bronić. Magia Caleba rozwiła się, a on sam opadł na poduszki. Spojrzał na nią względnie przytomnie. Uświadomiła sobie, że wcale nie chciał jej zaatakować. Zdezorientowany w pierwszej chwili po przebudzeniu nie wiedział po prostu, gdzie się znajduje, i spanikował.

– Siedziałaś tak całą noc? – wychrypiął. Głos miał wciąż słaby, ale mówił wyraźniej niż poprzedniego wieczoru, tuż przed tym, jak zemdlał. – Byłbym wzruszony, gdyby przypatrywanie się śpiącym ludziom nie było na swój sposób przerażające.

Podobnie jak wczoraj usiłował się zachowywać, jakby nic mu nie dolegało. A do tego nie mógł sobie darować głupich komentarzy.

– Kazałeś zapewnić sobie bezpieczeństwo – odparła beznamiętnie. – Dbam o nie.

Rozprostowała nogi, zdrętwiałe od długiego siedzenia w jednej pozycji, i odstawiła kubek na stolik. Podeszła do Caleba i spojrzała na opatrunek na klatce piersiowej: koc opadł, gdy Blythe spróbował wstać. Na bandażu widać było tylko trochę krwi, co stanowiło dobry znak. Bładoniebieskie oczy mężczyzny wciąż jednak zdawały się szkliste i Jagoda miała wrażenie, że jego policzki są rozpalone.

– Gdzie moje ciuchy?

– Spodnie się suszą, koszulę wyrzuciłam.

– Oszalałaś? Jest na niej...

– Nie ma. Uprałam ją w zimnej wodzie, a potem oczyściłam zaklęciem – uspokoiła go Jagoda, przysiadając na skraju kanapy. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego czoła.

Zrobił taki ruch, jakby miał zamiar schwycić jej nadgarstek, cofnął jednak rękę, gdy zrozumiał, że nie jest atakowany. Skórę miał suchą i ciepłą. Zbyt ciepłą.

– Jaka diagnoza, pani doktor?

– Masz gorączkę i powinieneś się spotkać z prawdziwą panią doktor – odparła rzeczowo i spytała: – Blythe, mógłbyś mi wyjaśnić, kto cię tak urządził?

– Nigdy nie pomyślałbym, że Wilcza Jagoda, paskudna wiedźma klątw, może być taka sztywna.

– Nie zmieniaj tematu – rzuciła. Jeżeli chciał ją rozzłościć tą uwagą, to nie zdołał. Zdarzało się jej słyszeć takie komentarze w przeszłości. Wilcza Jagoda. Belladona. Wiedźma Jaga. Baba Jaga. Uodporniła się na nie. A przynajmniej chciała w to wierzyć.

Poza tym nie mogła odmówić mu racji. Zachowywała się sztywno nawet w normalnych okolicznościach, a teraz dokładała podwójnych starań, by nie okazać, jak bardzo obecna sytuacja wyprowadza ją z równowagi. Caleb ją irytował i co ważniejsze, jego obecność tutaj wzbudzała w niej niepokój. A z tym za nic nie chciała się zdradzić.

– Wykapana Joanna.

– Chcesz, żebym wykopała cię za próg?

– Nie możesz. Masz wobec mnie dług – przypomniał Caleb. Znów spróbował usiąść, tym razem ostrożniej. Jęknął, ale zdołał się unieść do pozycji półsiedzącej.

Niestety, miał rację. Wyrzucenie go z mieszkania złamałoby warunki ich paktu. Jagoda wołała nie sprawdzać, jakie byłyby konsekwencje.

– O tym też musimy pogadać. Na przykład ustalić zakres „zapewniania bezpieczeństwa”. I czas trwania ochrony. Jestem ci winna przysługę, ale bezterminowa ochrona to nie splata długu, tylko niewolnictwo.

– Chcesz spisać umowę? Może jeszcze wezwę notariusza? – spytał sarkastycznie.

Jagoda nie odpowiedziała. Przypatrywała się mu w milczeniu, póki nie kiwnął głową.

– Niech będzie – westchnął. – Umówmy się, że jesteś zobowiązana do dbania o moje bezpieczeństwo, póki nie wydobrzeję. A to obejmuje zapewnienie mi kryjówki, utrzymanie mojej obecności tutaj w tajemnicy, a także udzielenie mi pomocy niezbędnej, bym doszedł do siebie. Czy takie warunki cię satysfakcjonują, Wilcza Jagodo?

– Jagodo – sprostowała. Wciąż ze spokojem. Gdyby się zorientował, że to przezwisko jej przeszkadza, pewnie używałby go znacznie częściej. Czują podskórną, że tak postępował Caleb Blythe.

– Nie „Wilcza Jagodo”. Nie jestem rośliną. Chyba że upieramy się przy pseudonimach i mam cię nazywać Uczniem Czarnoksiężnika.

Na jego wargach zagrał przelotny uśmiech. Zupełnie jakby w jej deklaracji o niebyciu rośliną było coś zabawnego.

– Właściwie to nim jestem. A raczej byłem. Czy w ramach udzielania niezbędnej pomocy mogłabyś przynieść mi coś do picia?

Podniosła się z miejsca i wyszła z pokoju. Wróciła po chwili, ze szklanką wody i tabletką. Caleb spojrzął podejrzliwie na pigułkę.

– Co to jest?

– Panadol.

– Czyli? – spytał nieufnie.

– Lek. Niemagiczny, ale dość skuteczny. Na gorączkę.

Zawahał się, ale połknął tabletkę, a potem kilkoma łykami opróżnił szklankę. Gorączka – Jagoda podejrzewała, że ma minimum trzydzieści dziewięć stopni – musiała potęgować pragnienie. Caleb próbował zgrywać chojraka, ale był rozpalony, osłabiony i na pewno obolały.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Wracając do tematu – powiedziała, odbierając od niego puste naczynie. – Chciałabym wiedzieć, kto może stanąć pod moimi drzwiami, żeby dokończyć to, co zaczął wczoraj.

– Posprzeczałem się z przyjacielem.

Uniosła brwi. Caleb jęknął i w teatralnym geście osłonił twarz dłonią.

– Nie patrz tak na mnie. Ta harpia zawsze tak robiła. Naprawdę, urządził mnie tak znajomy. I nie powinien tu dotrzeć. Przeszedłem przez portal i zamaskowałem ślady.

– Otworzyłeś portal? – spytała z niedowierzaniem. – Sam? W takim stanie?!

– Miałem amulet wspomagający. Niestety rozsypał się w proch. Szkoda, kosztował majątek.

Wciąż przypatrywała się mu ze zdumieniem. Otwarcie portalu w pojedynkę było czymś, czego mogli się podjąć jedynie najpotężniejsi czarodzieje. Jagoda nie знаła nikogo, kto by to potrafił, zwłaszcza pokiereszowany i ledwo żywy – nawet dysponujący amuletem. Za jego osłabieniem stały więc nie tylko odniesione rany. Blythe musiał być kompletnie wyczerpany magicznie.

Bardziej martwiło ją jednak to, że jeżeli dysponował tak dużą mocą, nie miała szans sobie z nim poradzić, jeśli okazałby się zagrożeniem. Nawet gdy był osłabiony, a ona przygotowana, zaopatrzona w gotową do rzucenia klątwę i przebywająca na własnym terenie, zabezpieczonym zaklęciami.

– Założmy, że wierzę – powiedziała ostrożnie. – Dlaczego pojawiłeś się pod moimi drzwiami?

– Bo nie miałem dokąd pójść, a ty jesteś mi coś winna – odparł Caleb, patrząc jej prosto w oczy, i przynajmniej w tym przypadku nie wątpił, że mówi szczerze.

Było jednak coś jeszcze związanego z tą sprawą, co mocno niepokoiło Jagodę. Znał jej adres, wiedział, jak otworzyć portal w okolicy, od początku więc planował ją odwiedzić. Ba, może nawet w tym celu przyjechał do Warszawy? Caleb opuścił Polskę lata temu, wyjechał do rodzinnego kraju ojca. Po co miałby wracać?

Wahała się przez chwilę nad zadaniem pytania. Ostatecznie jednak uznała, że jeżeli Caleb nie zechce odpowiedzieć albo skłamać, nic nie traci.

– Musiałeś znać koordynaty, żeby otworzyć portal. Ba, musiałeś albo mieć kotwicę, albo już byłeś tu wcześniej.

– Sprawdziłem je na wszelki wypadek – przyznał. – Zakładałem, że mogę potrzebować twojej pomocy w pewnej sprawie.

– Jakiej sprawie?

– Teraz to nieistotne – uciął. – Urządzasz mi przesłuchanie?

– Nie – skapitulowała, choć uważała, że miała pełne prawo poznać odpowiedzi. Przecież omal nie wykrwawił się na jej kanapie. Ale czy naprawdę chciała wiedzieć, co Uczeń Czarnoksiężnika robił w Warszawie? O jaką przysługę planował ją poprosić pierwotnie? Kluczowe było dla niej wywiązanie się z umowy. Im szybciej sprawi, że Caleb stanie na nogach, tym szybciej się go pozbędzie. – W każdym razie powinieneś wiedzieć, że ktoś o tobie wie. Mieszkam z kimś.

Caleb zeszytniał i przez moment Jagodzie się zdawało, że dostrzeża w jego oczach ślad paniki przemieszanej z wściekłością.

– Nikomu nie powie – dodała szybko. Aura Caleba, choć przytłumiona, zawibrowała. Jagoda nie chciała sprawdzać, czy Blythe w obecnym stanie jest zdolny do rzucania zaklęć. – Ale chcę, żeby to było jasne. Moja uczennica nie ma z tą umową nic wspólnego. Trzymaj się od niej z daleka.

– To będzie trudne, skoro parę dni spędzimy pod jednym dachem.

Uspokoił się, przynajmniej trochę. Jeżeli mag brał sobie ucznia, by indywidualnie szkolić go w wąskiej gałęzi magii, zazwyczaj wymagał od niego wypełniania poleceń. Więzy łączące nauczyciela i ucznia nie były może obecnie tak mocne jak w przeszłości, kiedy adeptów pętano przykazem posłuszeństwa, ale wciąż odgrywały znaczną rolę w tej relacji.

– Nie odzywaj się do niej, nie uśmiechaj, nie próbuj podrywać i siedź w salonie, a wszyscy będą zadowoleni.

– Powiedziałaś jej, kim jestem?

Jagoda pokręciła głową. Caleb z ulgą wypuścił powietrze.

– Dobrze. Niech tak zostanie.

– Jak rozumiem, mamy umowę?

– Mamy – mruknął. – A. Jeszcze jedno. Chciałbym zaznaczyć, że niezbędna pomoc obejmuje...

– Aha?

– Załatwienie mi jakiejś bluzy. Twoje byłyby na mnie trochę za małe, a skoro mam nie podrywać uczennicy, chyba nie powinienem chodzić do łazienki nago?



ROZDZIAŁ 2

**WIEDŹMY KLĄTW**



Caleb przespał większą część dnia, obudził się zaledwie na chwilę. Gorączkował, mówił od rzeczy i Jagoda z trudem przekonała go, że przebywa w bezpiecznym miejscu. Ranek spędziła, czuwając u jego boku, zmartwiona, że Blythe pod wpływem gorączki i majaków straci panowanie nad magią. Po południu posłała Sonię do sklepu, by kupiła mu bluzę, a także spodnie – krew z dżinsów wprawdzie się sprąła, ale nogawka była poszarpana – i jakąś koszulkę do spania. Sama poświęciła bite dwie godziny na wplecenie kłąt w klamki drzwi swoich i Soni, a następnie ustawianie ich w taki sposób, by nie reagowały na żadną z lokatorek. Caleb znał się na przekleństwach, inaczej prababka nie wzięłaby go na ucznia, Jagoda musiała się więc postarać podwójnie.

Sonia, gdy wróciła i weszła do swojego pokoju, oczywiście to wyczuła. Zagwizdała i z pewnym niepokojem spojrzała na drzwi do salonu. Musiało do niej dotrzeć, że ich gość naprawdę jest niebezpieczny.

Jagoda poszła sprezentować Calebowi zakupione rzeczy dopiero kolejnego ranka. Czarownik był już w lepszej formie. Leki przeciwgorączkowe, kolejne zakłęcia i zimne okłady zdołały doprowadzić go do względnie stabilnego stanu. Rozmawiał z nią całkiem przytomnie i zjadł śniadanie.

Nie zajrzała wcześniej do reklamówki. Zachowanie kamiennej twarzy, gdy wyciągnęła najpierw różowy T-shirt, a potem grubą szarą bluzę XL z Królikiem Bugsem, wiele ją więc kosztowało. Przynajmniej spodnie okazały się normalnymi, choć pewnie trochę za dużymi dżinsami.

– Poważnie? – spytał Caleb, unosząc bluzę i przypatrując się to Bugsowi, to Jagodzie. – Królik?

– Tego z Monthly Pythona nie mieli na stanie. Byłby dość morderczy? – odparła, starannie ukrywając, jak bawi ją wizja Ucznia Czarnoksiężnika w ubraniu z bohaterem popularnej kreskówki. Co nie znaczyło, że nie miała ochoty zmyć głowy Soni za ten dowcip. Pewnie gdyby dziewczyna wiedziała, kogo goszczą, nie odważyłaby się na wygłupy. Wtedy przyniosłaby mu worek czarnych ciuchów.

Z drugiej strony, znając Sonię, mogłyby być na nich czaszki.

– Bugs to klasyka – westchnął w końcu ku jej zaskoczeniu Caleb i bez protestów wciągnął bluzę przez głowę. Syknął z bólu.

– Rany się nie otworzyły? – spytała Jagoda.

– Chyba nie – mruknął. – Ale dalej bołą, jakby mnie pogryzła banshee.

Rozczochrany, blady, zmęczony Caleb, odziany w przydużą bluzę z królikiem Bugsem, wyglądał zupełnie nieszkodliwie. Ktoś nieznający go nie uwierzyłby, że może stanowić zagrożenie.

– Nie wiem, czym ci je zadano, ale wdało się zakażenie. Dam ci coś przeciwbólowego. Jutro spróbuję zaleczyć ten krwiak, ale na żebra wiele nie poradzę.

– Zdaje mi się, że tylko jedno z nich jest pęknięte... Tyle dobrego – mruknął. – Rzucenie tych paru kłąt wyżarło ci energię? To trochę... rozczarowujące.

Drgnęła. Czy powinna być zaskoczona, że wyczuł, jak tkąta kłątwy? Chyba nie. Prawdopodobnie obudził się, gdy je rzucała. A przynajmniej taką miała nadzieję. Jeśli leżąc na kanapie w salonie, którego drzwi zabezpieczyła, bez problemu wyczuwał starannie zamaskowane przekleństwa w dwóch pozostałych pokojach, musiała założyć, że zdoła je także przełamać.

Wiedziała, że jest magiem potężniejszym niż ona. Ale czy był też lepszy w magii kłątów?

Może jednak jestem zbyt próżna, pomyślała. Nie była piękna, sławna, nie osiągnęła niczego spektakularnego, nie zarabiała kroci, nie miała wielu przyjaciół, w magii ogólnej klasyfikowała się gdzieś na linii przeciętności. Pozostawała jednak specjalistką w wąskiej dziedzinie, jedną z najlepszych w Europie. Na swój sposób była z tego dumna, mimo wszystkich problemów, jakich nastęrczała jej ta moc w przeszłości. Pojawienie się kogoś potencjalnie lepszego męczyło Jagodę bardziej, niż chciałaby przyznać.

– Mam dziś ważne zlecenie, a leczenie mnie drenuje – odparła. – Użyj maści – poradziła, podając Calebowi słoiczek, po czym usiadła na fotelu. Otworzył go i powąchał zawartość z podejrzliwą miną. – Gdybym chciała cię otruć, już bym to zrobiła.

– Mamy umowę, Wilczku, własna magia nie pozwoliłaby ci jej złamać.

– W takim razie tym bardziej nie musisz tego oglądać, jakbym podsuwała ci arszenik. To magiczna maść, kupiłam ją w Batorym. Trzy dni stosowania i siniaki znikną.

Darowała sobie informowanie go, że już raz zdążyła tę maść zaaplikować: gdy był nieprzytomny.

Blythe mruknął coś pod nosem, uniósł lekko bluzę i krzywiąc się, zaczął ostrożnie rozprowadzać substancję na obitym boku. Jagoda wciąż nie miała pojęcia, co mogło wywołać takie obrażenia. Nie wyglądały na efekty zaklęć. Przynajmniej tych, które znała. Żebra mogły zostać uszkodzone przy upadku, klatkę piersiową być może rozharatano czymś ostrym, ale poszarpana noga? Caleb prezentował się, jakby dopadł go rozjuszony kibol, sfrustrowany po przegranym meczu, w dodatku mający asystę w postaci wściekłego buldoga.

Z takimi przeciwnikami jednak poradziłyby sobie bez trudu. Tego była pewna.

– Ja i Sonia mamy zlecenie – podjęła.

– Wspomniałaś.

– Musimy opuścić mieszkanie.

Zostawianie go tutaj samego bardzo jej nie odpowiadało. Ale próba przełożenia spotkania się nie powiodła, a ruch w interesie nie był spektakularny. Klienci płacili na tyle dobrze, że Jagoda nie mogła sobie pozwolić na stracenie tego zlecenia. Poza tym nawet jeżeli Caleb doszedłby do siebie w rekordowym tempie, i tak miał spędzić tu kilka dni. A Jagoda prędzej czy później musiała opuścić mieszkanie.

– Boisz się, że urządzę dziką balangę, czy że zacznę grzebać ci w szafie? – spytał, wyginając usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Rozumiem, że ty nie miałbyś oporów wobec zostawienia kogoś obcego w swoim domu?

Zamarł na moment, przerywając nakładanie maści. Przypatrywał się Jagodzie z namysłem.

– Naprawdę przy...

– ...pominam moją prababkę, tak, wiem, już to słyszałam. Powtarzasz się – powiedziała, ze wszystkich sił starając się nie okazać rozdrażnienia.

Wiedziała, że przypomina Joannę Wilczek. Zarówno fizycznie, jak i pod względem typu magii. Nie chciała jednak być do niej podobna w żadnym innym aspekcie. Do kobiety, która ostatecznie została mroczną wiedźmą i pozwoliła, by jej duszę przeżarła gorycz. Jagoda nie miała pojęcia, w czym przypomina Calebowi dawną nauczycielkę. W sposobie mówienia? Dobrze argumentów? Wyrazie twarzy?

Ciągłe słuchanie o tym, że zachowuje się jak mroczna wiedźma, nie było przyjemne.

– Belladonna jednak ma pazurki – stwierdził, znów się uśmiechając, tym razem weselej.

To, że najwyraźniej go bawiła, zdenerwowało ją tylko jeszcze bardziej.

– Wrócimy za parę godzin – powiedziała oschle. – Zostawię ci kanapki i herbatę w termosie. Będę wdzięczna, jeżeli darujesz sobie grzebanie w moich rzeczach i wizyty w naszych pokojach. Bo owszem, zabezpieczyłam je klątwami.

– Sądzisz, że nie zdołam ich zdjąć? – spytał, przekrzywiając głowę z zaciekawieniem.

Jagoda odruchowo przyjęła zamkniętą postawę: nogi skrzyżowane w kostkach, wsunięte pod fotel, ręce zaplecione na klatce piersiowej.

Miała cholerną nadzieję, że nie dałby rady przełamać jej zabezpieczeń, a przynajmniej że nie przyszłoby mu to bez trudu. Ale czuła, że nie powinna się do tego przyznawać. Coś jej mówiło, że sprowokowany włamałby się do pokoju tylko dlatego, że potraktowałby to jako wyzwanie.

– Prawdopodobnie byś zdołał – przyznała. – Tyle że po pierwsze, straciłbyś przy tym energię, a wydawało mi się, że chcesz szybko wydobrzeć. Po drugie, dowiedziałabym się o tym, a doprowadzenie cię do stanu używalności nie oznacza, że muszę dawać ci środki przeciwbólowe i coś innego do jedzenia niż suchary. Nie uważasz, że życie będzie prostsze, jeżeli wykażemy minimum dobrej woli?

Przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami. W końcu Caleb przerwał milczenie.

– Długo ćwiczyłaś tę przemowę? – mruknął, nim opadł na poduszki. Wyglądało jednak na to, że tym razem wygrała starcie, choć to on musiał mieć ostatnie słowo. Przynajmniej we własnym mniemaniu.

Chociaż jeżeli się myliła, obiecała sobie, że nie wyjdzie więcej z domu, póki Caleb będzie tu przebywać, a do jedzenia naprawdę będzie mu dawać tylko suchary.

\*

– To powiesz mi wreszcie, kto to jest i co się mu stało?

Sonia pohamowała się od pytań, póki przebywały w mieszkaniu. Nie wytrzymała jednak do chwili wejścia do auta. Jagoda wrzucała na tylne siedzenie torbę, gdy uczennica zasypała ją pytaniami:

– Jak długo tu zostanie? Ile się znacie? Dlaczego jesteś mu winna przysługę?

– Bogini, daj mi siłę – westchnęła Jagoda, siadając za kierownicą.

Sonia poprawiła kaptur czerwonego płaszczyka, chroniąc się przed porywistym wiatrem, i obiegła samochód, by wskoczyć na miejsce pasażera.

Pogoda nie pasowała do wiosny. Niebo było szare i zachmurzone, temperatura oscylowała w okolicach siedmiu stopni, a na chodnikach i trawnikach zalegały błoto i lepka maź, zamarzająca nocą. Tej zimy mieszkańcy Warszawy nie uświadczyli prawdziwego śniegu: w ostatnich tygodniach spadał skąpo, zwykle zmieszany z deszczem, tylko po to, by szybko stopnieć i zamarznąć, zamieniając ulice w ślizgawki. Co gorsza, nie zanosilo się na poprawę pogody, choć w teorii wiosna trwała już od dobrych trzech tygodni.

– No ej, mieszkam z gościem pod jednym dachem, mogę się chyba dowiedzieć, kim jest – naciskała dziewczyna. – Mam nadzieję, że to nie żaden poszukiwany przestępca, co?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

A przynajmniej niczego nie pisali ani w „Głosie Magii”, ani w brytyjskim magicznym serwisie informacyjnym, ani nawet w europejskim rejestrze poszukiwanych magów. W tym pierwszym wciąż królowały nagłówki o znalezieniu zmasakrowanego ciała czarownicy, której Jagoda nie знаła, i o podejrzeniach wobec byłego partnera zmarłej, podobno przejawiającego stalkerskie zapędy. Kobieta zabito przed tygodniem, ale brutalność zbrodni oraz fakt, że poza nią nie wydarzyło się nic ciekawego, sprawiały, że sprawa wciąż przyciągała uwagę prasy. Na brytyjskiej stronie rozpisywano się poza tym głównie o występach magicznej grupy muzycznej, która ruszyła w trasę, i o międzynarodowej konferencji naukowej. Żadnych listów gończych ani informacji o tym, że Uczeń Czarnoksiężnika kogoś zamordował czy planował zamach na Pałac Buckingham.

– A o czym ci wiadomo?

– Poprosił mnie o dyskrecję – ucięła Jagoda, zatrzymując się na światłach.

Miały kawałek drogi do przejechania. Ich dzisiejsze zlecenie wymagało udania się do jednej z podwarszawskich miejscowości.

– Dlaczego się go tak słuchasz?

– Bo mi pomógł – westchnęła czarownica z rezygnacją. – Potrzebowałam informacji. Kilka miesięcy temu. Dostałam je od niego, w zamian poprosił o przysługę. Ta przysługa to przenocowanie go parę nocy na kanapie i dopilnowanie, by nikt się o tym nie dowiedział. Przestań mnie męczyć, obiecałam trzymać język za zębami i tak właśnie zrobię.

– Ale...

– Chciałabyś, żebym łamała obietnice dawane tobie?

Sonia prychnęła. Jagoda złożyła jej tylko dwie obietnice. Jedną, gdy dała słowo, że będzie ją uczyć, jeśli dziewczyna zdoła przyswoić materiał z książki. Dotrzymała przyrzeczenia. Drugą, kiedy Sonia u niej zamieszkała. Obiecała nie przekazywać informacji na jej temat Zawickim ani Antoniemu Bieleckiemu, przyrodniemu bratu Soni.

– Może odwiedzisz tę swoją Jess? – zasugerowała Jagoda. – Mogłabyś zostać u niej na dwa czy trzy dni.

Czułaby się lepiej, gdyby uczennica opuściła mieszkanie. Gdyby tymczasowo przeniosła się do przyjaciółki, przynajmniej nie musiałaby się martwić o jej bezpieczeństwo. Sama też zyskałaby trochę spokoju, bo czuła, że młoda nie odpuści, póki nie ustali tożsamości ich niespodziewanego gościa.

– Mowy nie ma. Jess będzie mnie namawiała, żebym wracała do domu. I tylko będzie gadała o tym swoim Sebastiano czy jak tam temu Włochowi, co go poznała na wakacjach. Poza tym mam cię zostawić samą z jakimś podejrzanym gościem? Możemy go pilnować na zmianę.

Po moim trupie, pomyślała Jagoda. Miałaby pozwolić Soni na pogawędkę z Uczniem Czarnoksiężnika? Nie, za żadne skarby, i to z bardzo wielu powodów. Jej uczennica, która większość życia spędziła w złotej klatce, wciąż pod pewnymi względami była naiwna i mogłaby dać się złapać niby

ryba na haczyk. Ba, trochę flirtu, odpowiednia historyjka i wpadłaby po uszy. Co gorsza, Caleb na pewno znał czarnomagiczne klątwy, a Sonia nie umiała się oprzeć pokusie wiedzy. Nie bez powodu Jagoda część swoich ksiąg i innych materiałów wywozła jakiś czas temu do domu prababki i bardzo starannie opracowała plan nauczania Zawickiej.

– Zapoznałaś się z informacjami o sprawie? – spytała, zmieniając temat.

– Tak, jasne. Elżbieta Macierak, czarownica, zmarła rok temu w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat – zaczęła recytować Sonia. – Średnio utalentowana. Miała pewną smykałkę do przekleństw, chociaż brakowało jej mocy, by mogła zostać uznana za wiedźmę klątw. Mieszkała poza enklawami, w niemagicznym sąsiedztwie, w sporej posiadłości wzniesionej za pieniądze męża. Najwyraźniej nie bardzo lubiła swoją rodzinę, ponieważ użyła mocy do rzucania przekleństw na rodową posiadłość. Musiała się bardzo postarać i spędzić nad tym całe miesiące, bo ponoć nie da się tam ruszyć, żeby czymś nie oberwać. Rodzinka usunęła drobne klątwy z drzwi i okien, a potem odkryła, że poprzeklinana jest chyba połowa przedmiotów w domu.

– Nie spodziewam się niczego naprawdę niebezpiecznego ani trudnego do zdjęcia, ale Macierakowa wyraźnie chciała zrobić na złość krewnym. Dlatego trzymaj się za mną i niczego nie dotykaj, póki nie pozwolę.

Sonia przewróciła oczami.

– Yes, my master.

– Good, my young apprentice.

Sonia parsknęła krótkim śmiechem. Wiedziała, że jej mentorka ma poczucie humoru, ale zwykle skrywała je za kamiennym wyrazem twarzy i suchym, rzeczowym tonem. Przynajmniej w kontaktach z uczennicą. I większością świata.

\*

Pojawienie się tajemniczego mężczyzny i to, że Jagoda nabrała wody w usta, bardzo Sonię intrygowało. Im bliżej jednak było do Prószkowa, tym bardziej jej myśli zaprzętało zlecenie. Dom pełen klątw, które staruszka rzucała prawdopodobnie przez ostatnie parę lat życia. Ba, które – jak podejrzewała dziewczyna po zapoznania się z pełnymi informacjami – mogły nawet ją tego życia pozbawić, bo wydrenowała się magicznie albo coś popisowo sknociła.

Zawicka uczyła się pod okiem Jagody od kilku miesięcy i dopiero niedawno nauczycielka pozwoliła jej pomagać sobie przy niektórych zleceniach. Te zazwyczaj, dokładnie jak mentorka uprzedziła ją na początku, były mało ekscytujące. Najpoważniejszy z dotychczasowych przypadków dotyczył nastolatki, która rzuciła klątwę na koleżankę. Dziewczyna wszystko pomieszała i w efekcie oberwała rykoszetem.

Sonia cieszyła się, ilekroć mogła asystować Jagodzie przy „prawdziwej pracy”, ale – choć przecież wiedziała, czego się spodziewać – w głębi ducha czuła rozczarowanie, że nie przyszło jej się mierzyć z ciekawszymi przypadkami.

„Dom pełen klątw” brzmiał... inaczej.

To mógłby być materiał na opowieść, rozmarzyła się Sonia. Starsza pani w rzeczywistości rzucała klątwy nie ze złości na rodzinę, ale dlatego, że w jej posiadaniu znajdował się... cenny magiczny przedmiot. Nie mogła pozwolić, by dostał się w niepowołane ręce.

Dziewczyna zerknęła ukradkiem na Jagodę, jakby w obawie, że ta mogłaby odczytać jej myśli. Nigdy nie przyznałaby się jej, że wciąż wymyśla takie historie, a nawet czasem zapisuje pomysły lub całe akapity opowieści. Mentorka nie miałaby nic przeciwko, ale Sonia czuła, że uznałaby to za dziecinne. A bardzo nie chciała, by nauczycielka traktowała ją jak dziecko.

Ilekroć przypominała sobie, że Jagoda przeczytała jej dawne opowiadanie opublikowane w internecie, umierała wewnętrznie ze wstydu. Dziewczyna z miasta światła była historią, którą Zawicka zaczęła tworzyć, mając niespełna osiemnaście lat. Traktowała ją jako ucieczkę od rzeczywistości i pierwszy raz przelewała opowieść na papier. Opisywała w niej członków rodziny, przyjaciół, ówczesnych ukochanych – najpierw niedoszonego narzeczonego, potem Roberta. (Teraz ilekroć pomyślała o którymkolwiek z nich, ogarniała ją żądza mordu).

Nie sądziła wtedy, że ktokolwiek znajomy to przeczyta. Ale gdy pogrążyła się we śnie na skutek Kłątwy Śpiącej Królowny, a Jagoda i Antoni poszukiwali winnej osoby, by zmusić ją do cofnięcia zaklęcia, dotarli do tego tekstu. To za jego sprawą znaleźli Roberta, chłopaka Zawickiej, który miał złamać czar.

I za jego sprawą Sonia potem wielokrotnie skręcała się ze wstydu.

Z drugiej strony, gdyby nie Dziewczyna z miasta świateł, być może Jagoda nigdy nie rozszyfrowałaby zagadki Kłątwy Śpiącej Królowny. Sonia mogłaby nie żyć, a na pewno nie uczyłaby się teraz u najlepszej wiedźmy kłąt.

– To chyba tu.

Jagoda zaparkowała nieopodal wysokiego, gęstego żywopłotu. Nawet teraz, niemal pozbawiony liści, skutecznie ukrywał to, co znajdowało się po drugiej stronie. Sonia poczuła dreszcz ekscytacji.

To naprawdę był materiał na opowieść.

Przyjechały dziesięć minut przed czasem, ale klienci już czekali. Małżeństwo w średnim wieku wysiadło z samochodu stojącego w pobliżu furtki. On był duży, z pokaźnym brzuszyskiem, ona dla odmiany – chudziutka, zdawało się, że mógłby ją unieść mocniejszy podmuch wiatru. Miała śliczną twarz i ładne, błyszczące włosy, mimo to wyglądała na zabiedzoną lub schorowaną. Wyobraźnia Soni natychmiast obsadziła ich w rolach szmuglerów, podających się za krewnych starszej pani, w istocie jednak chcących położyć swoje łapy na skarbie. Gdy już wyczerpane wiedźmy usuną wszystkie zaklęcia, pojawią się oni. Nie będą oczekiwać oporu, ale...

– Państwo Macierakowie?

Oboje kiwnęli głowami.

– Jagoda Wilczek. To moja uczennica, Sonia Zawicka.

– Może pani zdjąć te paskudne zaklęcia? – spytała Macierakowa prosto z mostu.

– Najpierw muszę przeprowadzić rekonesans, ale na podstawie dostarczonych informacji owszem, sądzę, że powinnam się pozbyć wszystkich kłąt.

– Proszę więc to zrobić – rozkazał Macierak.

Jagoda przywołała na usta profesjonalny (i, jak wiedziała Sonia, nieszczerzy) uśmiech.

– Oczywiście. Po podpisaniu umowy i wpłaceniu zaliczki.

– Nie będę płacił, póki nie ma rezultatów.

Tak, zdecydowanie, w historii Soni byliby czarnymi charakterami. Na szczęście Jagoda potrafiła sobie z takimi radzić. Czasem zdarzali się klienci, którzy nie mieli ochoty płacić. Nawet jeżeli rezultaty były widoczne gołym okiem.

– Informowałam państwa mailowo o warunkach mojego zatrudnienia – powiedziała twardym tonem. – Na tym etapie nie podlegają negocjacji. Jeżeli się państwo rozmyślili, proszę znaleźć kogo innego. Ja wracam do Warszawy.

– Nie będę...

– Do widzenia – ucieła Jagoda, odwracając się w stronę auta.

– Proszę poczekać! – zawołała Macierakowa, robiąc przy tym taką minę, jakby zjadła właśnie wiadro cytryn. Pogrzebała w torebce i wyciągnęła kopertę. Sonia poczuła, że zaraz zatka ją z oburzenia. Mieli przygotowaną zaliczkę, ale liczyli, że unikną wręczenia jej Jagodzie. Szła o zakład, że będą się próbowali wymigać od zapłacenia reszty należności.

– Soniu, podasz umowę? – poprosiła Jagoda, przyjmując kopertę.

Dziewczyna skoczyła do auta, by wyciągnąć plik papierów i podkładkę.

– Została, zgodnie z naszymi mailowymi ustaleniami, dostosowana do sytuacji – ciągnęła wiedźma. – Standardowa stawka ulegnie pomnożeniu w zależności od liczby kłąt i stopnia ich skomplikowania, z uwzględnieniem rabatu za zlecenie zbiorowe...

– Skąd mamy wiedzieć, że pani nas nie oszuka z liczbą tych kłąt? – spytał Macierak, krzyżując ręce na piersiach.

Sonia pomyślała, że w jej opowiadaniu nie mogą się zachowywać tak paskudnie. Od razu by się zdradzili. Chyba że byliby bardzo, bardzo głupimi szabrownikami...

– Zgodnie z umową – powiedziała Jagoda, kładąc nacisk na te słowa – zabiorę ze sobą urządzenie

pomiarowe. W wypadku... różnicy zdań stanie się podstawą do rozliczenia. Oraz ewentualnych roszczeń sądowych.

Macierak chciał chyba powiedzieć coś jeszcze, ale żona trąciła go w ramię. Pochrzakując i mamrocząc coś z niezadowoleniem, oboje pochylili głowy nad umową, wczytując się w kolejne punkty, choć w ostatnich dniach mieli dość czasu na zapoznanie się z jej treścią.

– Już rozumiem tę biedną starszą panią – oświadczyła Sonia, gdy pięć minut później zamknęła furtkę i ruszyła za Jagodą w stronę ładnego piętrowego domku.

Jak zaraz się okazało, wymagał lekkiego remontu i wymiany części mebli, nie przypominał też nowoczesnych, kunsztownych cudeniów architektonicznych wznoszonych w okolicy, ale i tak dobrze się prezentował – i był wart małą fortunę. Choćby ze względu na grunt, na którym stał.

A tych dwoje próbowało się wymigać od zapłaty paru kawałków za jego oczyszczenie!

– Cóż, dzięki temu, że są tak okropnymi ludźmi, nie będziemy się martwić o rachunki przez najbliższych kilka miesięcy – odparła Jagoda.

Otworzyła drzwi wejściowe. Rzucona na nie klątwa została już zdjeta. Macierakowie, z pewnym trudem, zdołali się jej pozbyć.

– O ile zapłacą. Bo wiesz, że nie będą chcieli zapłacić?

– Oczywiście. Ale, po pierwsze, mamy całkiem ładną zaliczkę, po drugie, dostaną wezwanie do zapłaty z kancelarii Lilianny. Po trzecie, automatycznie oberwą klątwa, co też jest w umowie, obciążonej przekleństwem... Nie patrz tak na mnie. W pełni legalnym, niezagrażającym życiu ani zdrowiu. Dzięki różnym lukom w prawie to przyjęte postępowanie przy umowach biznesowych. Sebastian bardzo lubi przypominać partnerom w interesach, że jestem jego siostrą. Nie poprawia to mojej reputacji, ale mało kto kombinuje z WilCom.

– Jaką klątwę rzuciłaś? – spytała dziewczyna z zainteresowaniem.

Jagoda tylko się uśmiechnęła. Sonia uznała, że musi bardzo, bardzo uważnie przeczytać umowę. Wcześniej tylko ją przejrzała.

Nauczycielka przekroczyła próg. W głównym pomieszczeniu pozaciągano zasłony i panował w nim półmrok. Kobieta sięgnęła do włącznika światła i Sonia poczuła uaktywnianą klątwę. Nie zdążyła jednak otworzyć ust, by wypowiedzieć słowa ostrzeżenia. Jagoda rozbiła przekleństwo, nim zdążyło zadziałać.

Dziewczyna poczuła ukłucie zazdrości. Leciutkie. Powtarzała sobie, że ma za sobą zaledwie sześć miesięcy praktyki – nie licząc wcześniejszych prób samodzielnej nauki. Jagoda mogła się tymczasem poszczycić dwudziestoletnim doświadczeniem. Może nawet dłuższym. Sonia początkowo wątpiła, że Wilczek rzucała klątwy już jako mała dziewczynka, ale teraz była skłonna uwierzyć, że robiła to nawet w kołyse.

Też będę umiała tak niszczyć proste klątwy, obiecała sobie.

Światło zalało staroświecki salon. Wzrok Soni przesunął się po ławie i wysłużonych fotelach i spoczął na meblościance. Do tej pory widywała takie tylko w starych serialach.

– Wow. Czuję się, jakby mnie przenieśli do lat dziewięćdziesiątych.

– Albo nawet wcześniej – odparła Jagoda i pociągnęła nosem. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach. Nie zgnilizny czy brudu, ale po prostu starości. I ta specyficzna woń pojawiająca się w długo zamkniętych pokojach, utrudniająca oddychanie. – Czujesz klątwy?

Sonia się spięła. To był swego rodzaju test. Oczywiście, Jagoda nie wystawiłaby jej za drzwi, gdyby go oblała. Chyba. W końcu kiedyś powiedziała, że nauka się skończy, jeżeli uzna ją za mało utalentowaną. Ale nawet jeżeli nie... dziewczyna po prostu nie chciała zawieść nauczycielki.

Przymknęła oczy, skupiając się na poszukiwaniu nitek magii.

– Hm... Klątwa potykania się na schodach, i to całkiem niezła. To znaczy zapętlona, czyli kiedy kogoś dotknie, to się nie dezaktywuje. Staruszka musiała nad nią pracować pewnie ładnych kilka dni.

– Raczej kilkanaście, miała mało mocy, a to jest niezłe zrobione. Ale była bardzo zdeterminowana... albo znudzona. Dalej?

– Coś jest w kłamece drzwi do tego pomieszczenia obok. Ale... nie wiem co.

– Urok parzenia.



– Aha – mruknęła Sonia, zła na siebie, że nie rozpoznała zaklęcia. Choć technicznie uroku parzenia nie klasyfikowano jako klątwy. Acz skoro Jagoda potrafiła ją poznać i pewnie zdjąć, ona też powinna się tego nauczyć. – Coś było na dywanie, ale chyba wyparowało. Może to walnęło ostatnio naszych gospodarzy?

– Prawdopodobnie. Coś jeszcze?

– Hm... coś na tej meblościance. Jakiś przedmiot, nie widzę stąd jaki. Zdaje mi się, że wyczuwam coś na górze, chyba dwie różne klątwy, ale musiałabym wejść na piętro, żeby się upewnić. Strych i piwnica... za daleko, stąd nie wyczuję.

Otworzyła oczy i spojrzała na Jagodę wyczekująco. Co przegapiła?

Nauczycielka zrobiła krok do przodu. Gdy stanęła na jednej z desek, uaktywniło się kolejne przekleństwo. Wyparowało, gdy tupnęła, szepcząc parę słów. Uroki pozostawione przez staruszkę nie przypominały „niespodzianki”, którą prababka Jagody zainstalowała przy wejściu do własnego domu. Ich zniszczenie nie wymagało wiele trudu, jeżeli wiedziało się, jak z nimi walczyć.

– Słabe i dobrze zamaskowane, więc całkiem niezłe – oceniła, a Sonia odetchnęła z ulgą.

– Co dalej?

– Daj mi chwilę.

Jagoda obeszła pomieszczenie, prawdopodobnie sprawdzając, czy nigdzie nie kryje się jakieś wredne przekleństwo, które przegapiła na wejściu. Potem kiwnęła na Sonię ręką, wskazując jej meblościankę.

– Podejdz, spróbuj zidentyfikować klątwę i ją zdjąć.

Stremowana dziewczyna zbliżyła się i zabrała do pracy. Dość szybko stwierdziła, że klątwa musiała być autorskim pomysłem staruszki albo efektem innego, nieudanego zaklęcia. Nie była też zbyt potężna, Zawicka zdołała więc sprawić, że magia się rozwiązała.

– Dobrze. Spróbuj ze schodami – poleciła Jagoda. – Będę cię pilnować.

Sonia uśmiechnęła się z zadowoleniem. Nauczycielka nie była skora do pochwał. Poza tym oto Sonia po raz pierwszy dostała szansę na zdjęcie bardziej skomplikowanego uroku, a rozplątanie klątwy „wielokrotnego użytku”, nawet prostej, jako takie się klasyfikowało.

Niemalże tanecznym krokiem podeszła do schodów.

Nie potrzebowała już nawet ukrytych skarbów.

\*

Jeżeli w domu starej czarodziejki znajdowało się coś cennego, to Sonia i Jagoda tego nie znalazły. Macierakowie też się nie pojawili, by grozić im z bronią w rękę. Odegrali jednak rolę czarnych charakterów, zgodnie z przewidywaniami usiłując udowodnić, że zaliczka była wystarczającą zapłatą za zlecenie.

Sonia, nie mając ochoty wystawać na chłodnym wietrze, wsiadła do samochodu, po czym zaczęła przeglądać internet i MAGnet na smartfonie. Nie obawiała się specjalnie o brak reszty zapłaty. Jagoda umiała sobie radzić w takich przypadkach i niemal na pewno obejdzie się bez konsultacji z kancelarią prawną czy aktywowania klątwy podczepionej do umowy.

Poza tym celowo nie „rozbili” strychu i piwnicy, nieujętych w umowie. W pomieszczeniach tych pozostało kilka niemiłych niespodzianek. Jeżeli Macierakowie planowali sprzedaż domu, będą musieli się tym zająć, a Jagoda z łatwością mogła uprzedzić pozostałych specjalistów od klątw z Warszawy i okolic, że ci klienci odmawiają zapłaty.

Sonia zatrzymała się na dłużej na artykule o zakończeniu procesu domorosłego nekromanty, którego aresztowano kilka miesięcy temu za wykradanie ciał z Powązek i nielegalne eksperymenty. Tekst opatrzone zdjęciem maga, pozornie całkowicie zwyczajnego faceta o sympatycznej twarzy, oraz fotografią Mariusza Olchy z Wydziału do spraw Mrocznej Magii. Dziewczyna westchnęła. Tylko po części dlatego, że Mario był dokładnie takim mężczyzną, z jakim chciałyby się umówić: przystojnym, starszym, z władzą, obdarzonym silną mocą i prowadzącym ekscytujące życie.

Nie. Przede wszystkim był jej wymarzoną szefem. Wolałaby z nim chodzić na misje niż na randki... choć nie pogardziłaby transakcją wiążaną.

Marzenie, aby w przyszłości pracować dla WMM, wykiełkowało w sercu Soni całkiem niedawno. Miało to może trochę wspólnego z tym, że gdy Jagoda po raz pierwszy zabrała ją ze sobą w charakterze wsparcia, zostały zaatakowane i potem wpadły na Olchę, a jego zielone oczy zawróciły Soni w głowie. Przede wszystkim jednak chodziło o sprawę sprzed miesiąca, gdy organizowano obławę na pewnego czarnoksiężnika. Śledziła doniesienia o niej z zapartym tchem.

Chciała brać udział w takich akcjach.

Chciała łamać naprawdę potężne klątwy.

Chciała... robić coś ważnego.

Oczywiście nigdy nie przyznałaby się do tego Jagodzie. Ta uznałaby to za dziecinne. I głupie. Poza tym Sonia bardzo ceniła nauki u Wilczek i za nic nie chciała, aby ta odesłała ją po lekcje do specjalisty od klątw z WMM. Ale...

...może kiedyś?

Może o niej kiedyś też napiszą w gazetach? O Jagodzie w końcu pisali, i to całkiem sporo, kiedy pozbyła się stuletniej mrocznej wiedźmy. Niektórzy dziennikarze twierdzili, że posprzątała wtedy bałagan po WMM, inni z kolei chętnie podkreślali, że cieszyła się złą reputacją i mogła być początkowo nawet współniczką magini. A i trochę wcześniej jej nazwisko pojawiało się w nagłówkach. To, że Sonia dokopała się do tych informacji, stanowiło kolejny jej sekret. Nie chciała, aby Jagoda wiedziała, że grzebała w historii jej, Wawrzyńca i Antoniego.

– Idę rozbroić strych i piwnicę, wracam za kwadrans. Nie musisz już wysiadać, nie zostało tam wiele.

Sonia aż podskoczyła, gdy Jagoda uchyliła drzwi. Pochłonięta czytaniem, nie zauważyła nadejścia nauczycielki.

– Nie robili problemów?

– Oczywiście, że robili. Nie uwierzyli też w tę zaminowaną piwnicę, ale poszli sprawdzić i Macierak wrócił obłożony klątwą splątanego języka. – Jagoda parsknęła z rozbawieniem.

– I?

– Macierakowa na mnie nakrzyczała, że to moja wina, po czym zrobiła przelew, płacąc za całe zlecenie i dodatkowo za zdjęcie klątwy z Macieraka. Zaraz wracam.

Sonia kiwnęła głową. Odprowadziła Jagodę spojrzeniem, po czym kliknęła na link kierujący do artykułu, który pojawił się dosłownie chwilę temu.

Kolejne morderstwo w Warszawie? – głosił tytuł.



ROZDZIAŁ 3

**CZAROWNICA W SZALE**

Zabezpieczenia sypialni pozostały nienaruszone. Albo Caleb dotrzymał słowa i nie próbował myszkować po domu, albo je złamał i naprawił tak perfekcyjnie, że Jagoda nie potrafiła tego zauważyć. W to jednak powątpiewała: taki scenariusz oznaczałby, że Blythe jest najpotężniejszym magiem, jaki chodził po ziemi od kilkuset lat. Uczeń Czarnoksiężnika na pewno był silny, ale jego moc musiała mieć ograniczenia.

W salonie paliło się światło. Jagoda posłała Sonię do sklepu – dziewczyna burknęła coś o tym, że nie jest służącą, ale zabrała portfel i pobiegła na dół. Może domyślała się, że nauczycielka chce porozmawiać z gościem bez świadków, a może po prostu zauważyła, że lodówka zaczyna świecić pustkami.

Wiedźma zapukała. Raz, potem drugi, aż w końcu uchyliła drzwi. Caleb siedział na kanapie, podparty na poduszkach. Na kolanach trzymał Księgę grobowych pieśni. Jagoda zaklęła w duchu. W salonie nie przechowywała wielu ksiąg zawierających informacje na temat niebezpiecznej albo mrocznej magii, bo stanowiłyby zbyt dużą pokusę dla Soni. Pozycje, którymi nie chciała się chwalić światu, oraz trzy szczególnie cenne księgi, przeniosła do siebie już pierwszego dnia pobytu Caleba w jej mieszkaniu. O Księdze grobowych pieśni zwyczajnie zapomniała. Przywiozła ją z enklawy prababki dopiero niedawno. Nie bała się trzymać jej tutaj: spisano ją częściowo po łacinie, częściowo w jeszcze starszym języku i Sonia nie zdołałaby poprawnie odczytać żadnej inkantacji. Nie wspominając o tym, że większość rytuałów mogła się powieść jedynie w bardzo specyficznych warunkach. Nie bez powodu wielu badaczy uważało Księgę grobowych pieśni za bezużyteczną. Pełną zaklęć, których nie można rzucić, a więc albo oszustwo, albo poradnik magii równie martwej jak języki, w których go zapisano.

Jagoda wiedziała jednak, że badacze się mylą. Zdołała rzucić jeden z czarów z tej księgi. To oznaczało, że w sprzyjających okolicznościach zapewne istniała możliwość utkania także innych.

– Nudziłem się i wziąłem coś do poczytania – wyjaśnił Caleb, spostrzegłszy, że zatrzymała spojrzenie na księdze. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

– Nie mam – odparła, gryząc się w język, by nie wypowiedzieć żadnego złośliwego komentarza. Czula, że to z jego strony prowokacja, postanowiła więc udawać, że nic ją nie obchodzi dobór lektury. Księga grobowych pieśni nie była zakazana, a Jacob Red na pewno miał egzemplarz w swoich zbiorach.

– Nie słyszałaś pukania?

– Słyszałem.

– I?

– Byłem ciekaw, czy jeżeli cię nie zaproszę, i tak wejdiesz – oświadczył, uśmiechając się przy tym. W jego mniemaniu uśmiech ten mógł być uroczy. W Jagodzie wywołał chęć wyrwania Calebowi księgi i ciśnięcia mu jej prosto w twarz.

– Musiałam sprawdzić, czy nie padłeś martwy. Albo nie byłeś tak miły, by zrezygnować z mojej gościny.

– Chciałabyś.

– Owszem.

– Hej, powinnaś zaprzeczyć! – zawołał półzartem, po czym odrzucił koc.

Miał na sobie niedorzeczny komplet do spania kupiony przez Sonię: szare krótkie spodenki i różową koszulkę. Gdy założył go po raz pierwszy, powiedział, że wygląda jak idiota, ale żebrak nie może wybrzydzać. Jagoda musiała przyznać, że trochę ją to rozbawiło. Jej brat prawdopodobnie spaliłby takie ubranie zaklęciem, a Antoni by się obraził.

Caleb się wyprostował, po czym powoli wstał. Wciąż był blady i poruszał się ostrożnie, jakby oczekiwał, że gwałtowniejszy ruch zostanie okupiony bólem, ale jego stan się poprawiał.

– Jak rany?

– Bolesne, jak to rany. Tyle dobrego, że kostka chyba nie jest w tak złym stanie. Gorzej z żebrami.

– Pęknięte żebra mogą się goić do ośmiu tygodni – poinformowała Jagoda, która zdążyła sprawdzić to w internecie. – Maść i moja magia może skrócić ten okres o połowę. Ale gdybyś poszedł do magomedyka...

– Mowy nie ma. Dlaczego trzymasz w domu Księgę grobowych pieśni?

– W celach naukowych – odparła krótko, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła do kuchni.

Miała zamiar podjąć kolejną próbę namówienia Blythe'a na spotkanie z uzdrowicielem – choćby prywatną wizytę, bez informowania magomedyka, kogo leczy. Ostra odpowiedź i natychmiastowa zmiana tematu uświadomiły jej jednak, że nie ma to żadnego sensu.

A to tylko spotęgowało niepokój Jagody dotyczący powodów wizyty Caleba. Przemknęło jej nawet przez głowę, że może powinna się skontaktować z Mariuszem Olchą i spytać, czy Uczeń Czarnoksiężnika nie jest poszukiwany. W końcu mogli przeprowadzać tajną akcję i pilnować, by nic nie przedostało się do prasy. Niestety, Olcha prawdopodobnie nie udzieliłby jej informacji, za to natychmiast zacząłby wypytywać, dlaczego interesuje ją ten temat. Poza tym nie miała najmniejszej ochoty do niego dzwonić. Sama myśl o szefie Wydziału do spraw Mrocznej Magii ją denerwowała. Najpierw, powołując się na dobro śledztwa, zataił przed Jagodą, że na jej rodzinę poluje stuletnia czarodziejka. Potem, gdy doszli do porozumienia i zaczęli działać wspólnie, aby złapać mroczną wiedźmę, w decydującym momencie Olcha próbował podstępem wyłączyć Jagodę z akcji.

Mogła jeszcze spróbować zwrócić się do babki.

Wyjrzała przez okno, ale Soni nie było w zasięgu wzroku. Co ta dziewczyna wyrabiała? Czy zła z powodu posłania jej po zakupy postanowiła robić je przez najbliższą godzinę, choć spożywczy był tuż pod blokiem? Jagoda westchnęła, nastawiła wodę, zajrzała do szafek i lodówki. Dysponowały trzema jajkami, mniej więcej szklanką mleka, kilkoma plasterkami sera żółtego i połową czerstwego chleba. Sięgnęła po bochenek i zaczęła go kroić, akurat w momencie, w którym do kuchni, podpierając się o ścianę, dokuśtykał Caleb. Kostka może nie była zwichnięta, ale wciąż dawała mu się we znaki. Omiótł wzrokiem składniki i uniósł brew.

– Naprawdę masz zamiar karmić mnie suchym chlebem? Przecież byłem grzeczny.

– Nie jestem pewna, czy wiesz, co to znaczy – odparła, wylewając mleko na talerz, po czym wbiła do niego jajka. – Robię tosty francuskie. Nie powinieneś leżeć?

– Leżałem cały dzień, mam – westchnął Caleb, opadając na taboret. – Nie mam już gorączki, nie krwawię i powiedzmy, że mogę chodzić. Czy wolno mi iść się pobawić z innymi dziećmi?

– Uczeń Czarnoksiężnika bawiący się z dziećmi? Wiesz, jak to brzmi?

– Tylko w twoich ustach. – Blythe uniósł dłonie w geście poddania. – Żartowałem. Nie masz za grosz poczucia humoru.

– Pewnie nie – przyznała bez oporów. Wymiana żarcików z zupełnie obcym, potencjalnie niebezpiecznym mężczyzną, którego gościło się pod swym dachem, jej zdaniem wypadła dobrze tylko w filmach. – Ewentualnie ty nie jesteś zabawny. Może dlatego przyjaciele próbują cię zabić.

Chleb, namoczony w mleku i jajku, trafił na patelnię. Jagoda zabrała się do wyciągania naczyń. Zapadła cisza: wyraźny znak, że Caleb nie planuje odpowiadać.

Przyjaciel i cały atak najwyraźniej stanowili temat tabu.

O ile w ogóle istniał jakiś przyjaciel.

– Blythe?

– Hm?

– Uprzedzałam, że nie dam się wplątać w żadną czarnomagiczną aferę. To był mój warunek. Czy mam się spodziewać rychłej wizyty WMM?

– Nie jestem poszukiwany, jeśli tego się boisz, i nie proszę, żebyś robiła cokolwiek nielegalnego. Hej, to Baby Yoda. Masz kubek z Baby Yodą!

Caleb podparł się o blat i wstał, by sięgnąć po naczynie. Uniósł brwi, wyłapując zaskoczone spojrzenie Jagody.

– No co? – spytał. – Mroczni czarnoksiężnicy nie mają prawa oglądać seriali? Wyobrazasz sobie, że spędzam całe dni i noce w jaskini pełnej nietoperzy, knując, jak przejąć władzę nad światem?

– Hm... Może trochę.

Parsknął śmiechem i pokręcił głową. Jagoda odwróciła wzrok, skupiła go na toście przypiekającym się na patelni. Przez moment było jej niemal głupio. Naprawdę nie wyobrażała sobie Caleba Blythe'a oglądającego seriala. Ani robiącego inne zwykłe rzeczy, jakimi zajmowali się przeciętni śmiertelnicy. Prędzej właśnie tkwiącego w ciemnej jaskini i składającego ofiary pradawnym demonom... Dotąd, znając go głównie z opowieści i artykułów, postrzegała go bardziej jak konstrukt niż

osobę. Czy to nie przejaw naiwności z jej strony? A tak ganiła Sonię za naiwność!

Caleb Blythe, nawet jeśli był czarnoksiężnikiem, był też widać – przynajmniej pod pewnymi względami – zwykłym człowiekiem.

– Odpowiesz mi na pytanie? – spytał mężczyzna, znów opadając na taboret.

– Jakie pytanie?

– Księga grobowych pieśni. Po co ją trzymasz?

– Już ci odpowiadałam. Badania naukowe... Hej, Blythe?

– Spojrzała w jego kierunku, tknięta nagłą myślą. Jeszcze dziwniejszą niż wyobrażenie Caleba rozplywającego się nad wielkimi uszami Baby Yody.

– Taaak? – spytał, a w jego głos wdarła się nuta podejrzliwości.

– Oglądałeś The Mandalorian.

– I?

– Masz abonament Disney Plus?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Nie odpowiem. Mężczyzna musi mieć swoje sekrety.

\*

Przedłużona nieobecność Soni niewiele miała wspólnego z irytacją na Jagodę. Sporo za to z dwoma okolicznymi dresami, którzy uznali, że śliczna dziewczyna w czerwonym płaszczu powinna koniecznie bliżej się z nimi zapoznać. Nie pomogło ignorowanie zaczepek w sklepie. Oczekali, aż zapłaci za zakupy, i wyszli za nią. Grzeczna odmowa wpadnięcia na „impreszkę” również nie podziałała. Kiedy jeden z nich złapał ją za rękę i szarpnął, w dziewczynie zawrzało.

Pół roku temu pewnie byłaby przestraszona. Nikt, z kim się zetknęła do tej pory, nie ośmieliłby się nie tylko zastosować wobec niej przemocy, ale nawet zachować się nieuprzejmie. Wychowana pod kloszem Sonia wpadłaby w popłoch albo byłaby zbyt zaskoczona, aby stawiać opór. Teraz jednak miała za sobą kilka miesięcy nauki u wiedźmy kłatw i pewien kontakt z „prawdziwym życiem”. Wiedziała też, że dochodzi dopiero dwudziesta, jasno płoną uliczne latarnie, a wokół kręci się sporo ludzi.

– Puść moją rękę albo więcej jej nie użyjesz – warknęła, zabierając się do szybkiego splecenia prościutkiej kłatwy. Potknęła się, pociągnięta mocniej, i z trudem utrzymała równowagę, ale nie pozwoliła, by nitki przekleństwa się rozwiały.

– Co ty gadasz? – rzucił kpiąco dres, obracając się ku niej.

– Głuchy jesteś?! – wrzasnęła.

Napastnikom zależało zwykle na tym, aby nie robić zamieszania. Zmusić potencjalną ofiarę do milczenia i zaprzestania walki. Sonia nie zamierzała na to pozwolić.

Chłopak wciąż zaciskał palce na jej nadgarstku, mocno, powodując ból. Otworzyła usta, by rzucić kłatwę. Nie zdążyła. Wszystko rozegrało się tak szybko, że sama nie była pewna, co się dokładnie stało: w jednej chwili dres ją szarpał, w następnej podnosił się z chodnika, a drugi właśnie obrywał w twarz od mężczyzny, który pojawił się jakby znikąd.

Z ust Soni wyrwał się zdławiony okrzyk, a tkana kłatwa się rozwiała, nie trafiając w cel. Dziewczyna cofnęła się odruchowo, gdy dres numer jeden poderwał się z ziemi i rzucił na jej tajemniczego wybawcę. Ten walnął go pięścią w brzuch, a potem w głowę, ponownie posyłając na chodnik, po czym doskoczył do Soni i chwycił ją za rękę.

Dokładnie tak, jak wcześniej dres. Była jednak zbyt zaskoczona, żeby zaprotestować, gdy pociągnął ją za sobą. Ani się obejrzała, biegli ramię w ramię ku głównej ulicy, w stronę świateł, pędzących samochodów i przystanku.

– Już, już, nikt nas nie goni! – wydyszała, kiedy wypadli z osiedlowej alejki na chodnik ciągnący się wzdłuż drogi. Straciła dech. Wciąż trzymała ciężką siatkę, wysiłek fizyczny nigdy nie należał do jej mocnych stron, a w dodatku na nogach miała kozaczki na wysokich obcasach. – Powinam się zapisać na siłownię – wyrzęziła. Uwolniła rękę z uścisku i postawiła siatkę na chodniku.

– Albo kurs samoobrony – zasugerował jej towarzysz. Sonia uniosła głowę, by się mu przyjrzeć.

Przeszło jej przez myśl, że dwa, trzy lata temu w takich okolicznościach od razu by się zakochała.



Na amen, od pierwszego wejrzenia. Zwłaszcza że jej wybawca był całkiem przystojny: wysoki, dobrze zbudowany, z gęstymi włosami zakrywającymi uszy. Dało mu się wybaczyć nawet bujną brodę.

Teraz jednak nie w głowie jej były amory. Bolały ją ręka i noga. Myślała o tym, że jeżeli naprawdę chce kiedyś walczyć z mroczną magią, koniecznie musi popracować nad kondycją. Zastanawiała się nie nad tym, kim jest wybawiciel, ale czy sama zdoła tych dresów znaleźć i porządnie przekląć. Tak żeby nie skrzywdzili już żadnej dziewczyny.

Poza tym ten gość był zwykłym człowiekiem. Może świetnie się bił, dobrze wyglądał i bohaterko ratował damy z opresji, ale bycie „zwykłym” z góry go skreślało.

– Już na taki chodzę – oświadczyła. W pewnym sensie zgodnie z prawdą. Umiała się bronić, co prawda magią, a nie ciosem w śledzionę. – Dzięki za pomoc, muszę spadać, bo moja mis... współlokatorka mnie zamorduje.

Minęła go i ruszyła ulicą, planując dojść do bloku z drugiej strony. Zdążyła zrobić kilka kroków, nim ją dogonił. Przystanęła i spróbowała spojrzeć na niego z taką miną, jaką czasem robiła Jagoda, gdy oczekiwała, że ktoś – zwykle Sonia – zastanowi się nad swoim postępowaniem.

Chyba nie wyszło, bo nieznajomy się do niej uśmiechnął.

– Odprowadzę cię – zadeklarował. – Wciąż mogą się tu kręcić.

– Nic mi nie będzie. Idę inną drogą.

A jeżeli ich wypatrzę, miotnę w nich klątwą, dodała w myślach.

– Wiem, ale... nie obraż się, w tym płaszczu zobaczą cię z daleka. Zwraca uwagę.

– No dobra – ustąpiła dziewczyna, głównie dlatego, że łatwiej było się zgodzić i przejść razem te sto metrów, niż tkwić na ulicy i się wyklócać. Naciągnęła na głowę kaptur i miała zamiar ruszyć, gdy mężczyzna sięgnął po siatkę. Znów przystanęła, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

– Hej, spokojnie. Chcę to tylko ponieść za ciebie. Ale jak wolisz sama, jasne, rozumiem.

– W sumie to możesz ponieść – zdecydowała po szybkiej kalkulacji. Torba była ciężka, a skoro gość sam się oferował jako tragarz, Sonia nie widziała powodów, żeby nie skorzystać z oferty. Gdyby spróbował z nią uciec, potraktowałaby go klątwą splątania nóg. – Masz jakieś imię?

Zawahał się, jakby nie był pewny odpowiedzi.

– Możesz mnie nazywać Neo.

Nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Neo? Naoglądałeś się Matrixa?

Śmiech zamarł jej w gardle, gdy spojrzał na nią jakoś nieprzyjemnie – tak, że na ułamek sekundy przestraszyła się go znacznie bardziej niż zaczepiających ją wcześniej dresów. Zaraz jednak usta Neo wygięły się w uśmiechu.

– To od neonów – wyjaśnił. – Kiedy miałem jakieś piętnaście lat, ufarbowałem włosy na wściekle zielony kolor. Kolega żartował, że wyglądam jak świecący neon. A ty?

– Ja się nie farbuję – palnęła. I natychmiast do niej dotarło, o co pyta jej wybawiciel. – Sonia. Mam na imię Sonia. I jeżeli powiesz, że imię jak dla psa, to...

Odkąd zamieszkała z Jagodą, zdążyła usłyszeć taki komentarz dwukrotnie. Raz od sąsiada z dołu, drugi raz z ust klienta. Obiecała sobie, że trzecią osobę, która wykaże się takim brakiem manier, potraktuje jakąś nieszkodliwą klątwą. Ot, dla zasady.

– Nie powiem – zapewnił pośpiesznie. – To bardzo ładne imię. Dla ładnej dziewczyny.

– No, no, czarować to my, ale nie nas – odparowała, chociaż zrobiło się jej miło.

– A może jednak dasz mi szansę poczarować? Moglibyśmy skoczyć na kawę.

– Mama mówiła, że bym nie umawiała się z obcymi.

Poczuła jednak, że się rumieni. Do tej pory na randkę zaprosił ją wyłącznie Robert. Było to związane z tym, że obracała się w stosunkowo wąskim gronie rówieśników, a rodzice, mniej więcej odkąd skończyła siedemnaście lat, dążyli do zaręczenia jej z chrześniakiem ojca. Remigiusz był drugim mężczyzną poza Robertem, z którym się umawiała, chociaż z perspektywy czasu doszła do wniosku, że tych kilka wspólnych wyjść ciężko uznać za randki. Raczej spotkania biznesowe.

Co nie znaczyło, że planowała się zgadzać. Po pierwsze, Neo nie był magiem. Keanu Reevesem też nie – dla niego Sonia mogłaby zrobić wyjątek, i to mimo różnicy wieku. Po drugie, coś w jej duszy

buntowało się przeciwko umawianiu się tuż obok altany śmietnikowej zalatującej popsutą rybą.

– Jak w takim razie kogoś poznać? – spytał Neo.

– Hm... przez wspólnych znajomych? Dobra, to moja klatka, na tym odcinku nikt mnie chyba nie napadnie. Dzięki za pomoc.

Wyciągnęła rękę po torbę. Trzymała ją przez moment w powietrzu, nim Neo wreszcie podał jej zakupy. Ich palce się zetknęły i mężczyzna uściśnął delikatnie jej dłoń.

– Niedawno zamieszkałem w pobliżu – powiedział. – Może jeszcze na siebie wpadniemy. I nie będziemy wtedy obcy.

Trochę szkoda, że nie jesteś magiem, westchnęła Sonia w duchu. Wtedy może naprawdę by się z nim umówiła. Dopiero teraz dotarło do niej, że od dawna jej życie obraca się głównie wokół czytania książek i ćwiczenia kłatw. Prawie się nie spotykała z rówieśnikami. Nie dlatego, że nie mogła czy nie miała czasu. Kontakty z większością dawnych znajomych urwały się, gdy opuściła dom rodzinny. Po części w wyniku jej decyzji, po części z powodu zakręcenia kurka z pieniędzmi. Nagle nie mogła już robić zakupów w najmodniejszych butikach ani wyskoczyć na tydzień do Francji.

Do tej pory Soni tego nie brakowało. Pochłaniały ją nauka i nowy, fascynujący świat, w którym matka nie kontrolowała każdego jej kroku. Teraz dziewczyna pomyślała, że byłoby miło porozmawiać z kimś, kto nie jest Jagodą albo Jess.

Może powinna iść do klubu w enklawie i spróbować się zaprzyjaźnić z jakimiś młodymi magami? Bo umawianie się ze zwykłym facetem nie było mądre. Sonia czasem bywała naiwna, ale nie w tej sprawie. Musiałaby ukrywać przed nim, kim jest. A tego nie planowała robić – nigdy więcej. Spędziła na udawaniu zbyt wiele czasu.

– Kto wie? – rzuciła jednak, nim obróciła się na pięcie i wpadła do klatki.

\*

Należność od Macieraków wystarczyła, aby Jagoda nie musiała się martwić o rachunki i domowe wydatki przez kilka miesięcy. Tak intratne zlecenia zdarzały się jednak rzadko. Dlatego już trzy dni później rankiem udała się do domu nowego klienta, aby sprawdzić, czy jego kłopoty zdrowotne nie są związane z przekleństwem. Nie mogła wszędzie chodzić z uczennicą, ale z mieszkania i tak wychodziła z duszą na ramieniu. Miało jej nie być najwyżej dwie godziny, ale po raz pierwszy zostawiała Caleba i Sonię samych. Przez ostatnie dni sumiennie dbała, aby ich kontakty ograniczały się do minimum. Spędzała z niechcianym gościem więcej czasu, niżby chciała, musiała jednak dopilnować, by nie rozmawiał za wiele z Zawicką. Nawet tamtego wieczoru po powrocie od Macieraków zdołała wypchnąć Caleba z kolacją do salonu na chwilę przed tym, jak w progu stanęła Sonia.

Gratulowała sobie tego podwójnie, gdy uczennica od wejścia zaczęła dopytywać, czy Jagoda nie zna przypadkiem kłatwy sprowadzającej impotencję i czy nie mogłyby jej poćwiczyć. Cóż, czarownica nie wiedziała może o Blycie wiele, ale zdążyła go poznać na tyle, że była pewna jednego: nie podarowałby sobie ironicznego komentarza. Ba, w kolejnych dniach odkryła, że potrafił ironicznie skomentować niemal wszystko. Nie mogła się też oprzeć wrażeniu, że przy każdej rozmowie próbuje ją wyprowadzić z równowagi. Jakby chciał się przekonać, co się stanie, jeśli mu się to uda. Jednocześnie sam zgrabnie zbywał wszystkie pytania o powody przybycia do Warszawy, „przyjaciela”, z którym się pokłócił, i przyczyny ukrywania swojej obecności.

Klient okazał się wolnym od kłatw hipochondrykiem, który za nic nie chciał uwierzyć, że nikt go nie przeklął. Jagoda, wracając do mieszkania, czuła się więc bardzo zmęczona i zniechęcona. Miała wrażenie, że jej praca w ostatnim czasie stała się trudniejsza niż kiedykolwiek. Zleceniodawcy nie chcieli płacić albo okazywali się wariatami. Ewentualnie traktowali ją jak chodzącą bombę zegarową.

Telefon zadzwonił, gdy znajdowała się jakieś dwieście metrów od swojego bloku. Pospiesznie wygrzebała smartfona z torebki, jednocześnie przyspieszając kroku. Nie dzwoniła jednak Sonia z informacją, że Caleb postanowił wysadzić budynek albo złożyć ją w ofierze. Na wyświetlaczu pojawiło się imię „Sebastian”.

Brat rzadko dzwonił do Jagody bez powodu. Pozostawali w dobrych stosunkach, ale ich kontakty były sporadyczne. Sebastian odzywał się zwykle z okazji świąt czy urodzin albo wtedy, gdy pojawiał się

jakiś problem. Jagoda nie przypominała sobie, by dziś była jakaś okazja do złożenia życzeń.

– Asti? Co się dzieje?

– Czy coś musi się dziać, żebym dzwonił do mojej małej siostrzyczki?

– Jestem rok starsza od ciebie – przypomniała automatycznie. – Co się dzieje? Masz jakiś problem? Coś w firmie? Potrzebujesz klątwy na umowie?

Sebastian westchnął.

– W firmie wszystko dobrze, wygraliśmy duży przetarg. W domu też wszystko okej.

Napięcie częściowo ją opuściło, ale nie pozwoliła sobie na odetchnięcie z ulgą.

– W takim razie...

– Chciałem prosić, żebyś uważała.

Jagoda, zamiast ruszyć w stronę klatki, skrzyła na plac zabaw i opadła na najbliższą ławkę. Rozejrzała się jeszcze, czy w pobliżu nikogo nie ma, ale pora była tak wczesna, że na huśtawkach szalała tylko dwójka dzieciaków i nigdzie nie było widać żadnych dorosłych. Ramiona znów jej zeszywniały, a serce zaczęło szaleńczo tłuc się w piersi.

Czy Sebastian w coś się wpakował? Czy ich rodzina znów znalazła się w niebezpieczeństwie?

– Co się dzieje?

– Nic. Naprawdę. Nie ze mną – mruknął Sebastian. – Po prostu... słyszałaś o Marii Zielińskiej?

Próbowała skojarzyć, skąd zna to nazwisko. Po paru sekundach przypomniała sobie nagłówki gazet. Maria Zielińska, czarownica zamordowana w bestialski sposób, prawdopodobnie przez swojego byłego.

– Aha. Znałaś ją?

– Nie. Chociaż w naszej firmie pracuje jej krewna. Ale czytałaś wiadomości z wczoraj i dziś?

– Nie...

– Zielińska nie była jedyna – powiedział Sebastian ponuro. – Wczoraj znaleźli kolejne ciało, ukryte w jednym z parków. Czarownica. Tak samo jak Zielińska, mieszkała w niemagicznej części Warszawy. A w nocy zginęła następna osoba, na osiedlu tuż koło twojego. Anna Kozłowska, też czarownica. Nie znałaś jej?

Jagoda nie odpowiedziała od razu. W pierwszym odruchu chciała zbagatelizować sprawę. Potem przypomniała sobie zdjęcia, które wyciekły do prasy, przedstawiające zmasakrowane ciało Marii Zielińskiej. Kobietę dosłownie rozerwano na strzępy. A człowiek, którego oskarżono o tę zbrodnię, przebywał w areszcie.

– Nie wiedziałam, że w pobliżu mieszka jeszcze jakaś czarownica, poza mną i Szafiarką. Seryjny? – spytała rzeczowo, spoglądając w stronę okien swojego mieszkania. Nie martwiła się o siebie. Ale Sonia... Młoda zupełnie nie radziła sobie z magią ogólną. Klątwy zwykle słabo nadawały się do starcia z silnym przeciwnikiem, zwłaszcza działającym z zaskoczenia, a Jagoda nie nauczyła dotąd dziewczyny żadnego naprawdę niebezpiecznego przekleństwa.

– Prawdopodobnie. Sądząc po obrażeniach, jak nic używa czarnej magii. Nie zmasakrujesz tak zwłok zwykłym nożem, na miejscu zbrodni podobno została jakaś paskudna aura... jak po złożeniu ofiary. Jego modus operandi to napadanie na samotne wieżmy z dala od enklawy. Jaga? Chciałbym, żebyś wróciła do domu.

– Nie.

– Tak myślałem, że to powiesz – mruknął. – Może zgodzisz się chociaż na ochronę?

– Tylko o tym marzę, żeby ktoś za mną chodził i pewnie jeszcze raportował tobie, babce i wujowi – prychnęła. – Nie, Asti. Nic z tego.

– Nie musisz go nawet oglądać. Mam jednego takiego, trochę pozer, każe się nazywać Neonowym Magiem, ale umie się doskonale ukrywać i obiecuję, że wuj o niczym się nie dowie...

– Nie znaczy nie.

Westchnął cierpiętniczo.

– Bądź przynajmniej ostrożna, dobrze?

W głosie Sebastiana pobrzmiwała troska. Nawet jeśli nie zawsze dogadywał się z siostrami, zawsze się o nie troszczył. Ustąpił na tyle łatwo, że w duszy Jagody zrodziło się podejrzenie, że może

ten ochroniarz już za nimi chodził, a nadopiekuńczy brat jedynie liczył, że zdoła go „obsadzić” bardziej oficjalnie. Zaraz jednak ta myśl zesłała na dalszy plan... bo do głowy przyszło Jagodzie coś znacznie gorszego.

– Zawsze jestem ostrożna – odpowiedziała odruchowo.

Tyle że teraz w jej mieszkaniu przebywał Uczeń Czarnoksiężnika.

Jagodę zalała fala chłodu, niemającego nic wspólnego z wiatrem i niską temperaturą. Podniosła się z ławki: powoli, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa, nagle niemal bezwładne, pozbawione sił. Caleb. Uczeń Czarnoksiężnika. Prawdopodobnie znający czarną magię. Pojawił się u niej akurat teraz, gdy w okolicy zaczęło dochodzić do morderstw. Poraniony, cały we krwi. Tylko własnej?

Zdawał się słaby. Ranny. Chory. Zbyt osłabiony, aby wyjść i zamordować kolejną wiedźmę. Ale ile tak naprawdę wiedziała o jego możliwościach? Być może już się zregenerował, odzyskał utraconą energię magiczną. Może sam sobie wyleczył rany, poskładał kostkę, zajął się popękkanymi żebrami.

Ba, mógł wykorzystać do tego martwą wiedźmę. Jagoda nie знаła żadnego rytuału, który pozwoliłby wzmocnić własne siły poprzez odebranie komuś życia, ale słyszała, że takie istniały.

A ona zostawiła z nim Sonię samą...

– Jaga?

– Muszę kończyć.

Rzuciła się biegiem do klatki, a potem błyskawicznie pokonała schody, jednocześnie wydobywając z kieszeni klucze. Wpadła do mieszkania i...

...pierwszym, co usłyszała, był śmiech Soni dobiegający z kuchni.

Powoli zamknęła za sobą drzwi. Torebkę rzuciła na podłogę. Wciąż w kurtce i ubłoconych butach przeszła przez przedpokój. Serce biło jej jak oszalałe.

Uczennica siedziała przy parapecie, machając nogami. Cała i zdrowa. Żywa. Caleb stał przy kuchence i obracał właśnie na patelni coś, co wyglądało jak naleśnik. Jagoda skupiła wzrok na cieście, przypatrując się tej scenie z niedowierzaniem. Spodziewała się... Sama nie była pewna czego. Zakrwawionych zwłok Soni? Tak, taki obraz powstał w jej głowie, choć gdy teraz się nad tym zastanowiła, nie miała powodu, by podejrzewać, że Caleb zabije dziewczynę. Nawet jeżeli udawał przed nią bardziej osłabionego, niż był w rzeczywistości, nawet jeśli to on mordował te kobiety, chciał przecież pozostać w ukryciu. A gdyby skrzywdził Sonię, cały świat natychmiast dowiedziałby się, kto jest zabójcą.

– Jagoda...? Co się dzieje? – spytała Sonia niepewnie. Uśmiech spelzł jej z ust, uniesiona podczas gestykulacji dłoni zamarła w pół ruchu.

– Nic. Nic – odparła, opierając się o ścianę, nagle pozbawiona sił. Nic się nie działo. Zupełnie nic. Sonia żyła. A Uczeń Czarnoksiężnika przygotowywał w jej kuchni puszyste pankejki.

– W takim razie... – Caleb zestawił patelnię z ognia i przypatrywał się czarownicy uważnie. – Po co ci ta kłątwa?

– Kłątwa? – spytała, nie rozumiejąc, po czym spojrzała na swoje ręce. Wokół jej palców szalały nitki przekleństwa. Musiała je uformować, gdy biegła do mieszkania, spodziewając się zastać Caleba mordującego Sonię.

Niedorzeczność.

Niedopuszczalny brak kontroli.

Jagoda odetchnęła i zacisnęła dłonie, miażdżąc kłatwę pomiędzy palcami.

– Soniu, będę wdzięczna, jeśli zostawisz nas na chwilę samych. Muszę porozmawiać z naszym gościem.

Zawicka rzuciła jej niechętnie spojrzenie. Przez chwilę nie ruszała się z miejsca, rozważając chyba, czy to odpowiedni moment na kłótnię z nauczycielką. Na kilka sekund zatrzymała spojrzenie na twarzy czarownicy i cokolwiek w niej zobaczyła, skłoniło ją do posłuszeństwa. Jagoda podejrzewała, że potem czeka je mało przyjemna rozmowa, ale nie zamierzała się tym przejmować. Teraz czekała ją znacznie trudniejsza wymiana zdań.

Powoli przeszła przez kuchnię, by zająć miejsce Soni. Nie czuła się na siłach, by stać, uchodziło z niej napięcie.

– O co chodzi? Jesteś blada jak duch – powiedział Caleb. Zgasił palnik i podparł się o blat, odciążając zranioną nogę.

Wzrok Jagody, błądzący po kuchni, zatrzymał się na talerzu: leżało na nim kilka grubych, puszystych placuszków. Widok ten wydał jej się nierealny. Jakby przynależał do innej rzeczywistości.

Uświadomiła sobie, że nie jadła śniadania, i żołądek skręcił się jej z głodu. Jakby to był moment na myślenie o jedzeniu!

– Gotujesz.

– Tak, czasem mi się zdarza. Nie zawsze mam pod ręką galon krwi dziewic, żeby zaspokoić głód – stwierdził z przekąsem. – To chyba nie obawa przed moją kuchnią sprawia, że wyglądasz, jakbyś powstała z grobu?

– Nie – mruknęła.

Ściągnęła szalik i zabrała się do zdejmowania kurtki. Było jej duszno, a palce lekko drżały, ale powoli odzyskiwała równowagę oraz zdolność racjonalnego myślenia. Nie mogła zapytać Caleba, czy zabił te kobiety, choć początkowo właśnie taki miała zamiar. Dopiero gdy się uspokoiła, zrozumiała, jak głupie by to było. Zaprzeczyłby, a jeśli był winny, ona i Sonia znalazłyby się w podwójnym niebezpieczeństwie.

– Czyli...?

– Doszło do morderstwa – wyrzuciła z siebie, przenosząc spojrzenie na jego twarz. Zastanawiała się, jak dobrym aktorem jest Uczeń Czarnoksiężnika. – Tuż obok. Zabito wiedźmę. To wszystko.

Na ułamek sekundy zeszywniał. Jagoda nie potrafiła stwierdzić, co to oznacza. Zaraz jednak wykrzywił wargi w dobrze jej już znanym, fałszywym uśmiechu.

– Rozumiem. Sądzisz, że ja to zrobiłem?

Brawo, mistrzowsko to rozegrałaś, pogratulowała sama sobie.

– Myślałam, że masz problemy z chodzeniem – burknęła.

– Mam. Ale może w to nie wierzysz?

Zeszywniała, gdy się ku niej pochylił. Jagodzie zdało się, że wyczuła lekkie drgnienie jego magii. Czy tkął czar? Zacisnęła dłonie w pięści, a moc zaigrała na czubkach jej palców, gotowa do użycia. Spojrzała w górę, prosto w twarz mężczyzny, zastanawiając się, jakie miałyby szanse w tym starciu. Czy jego rany, amulet, który nosiła, i zaklęcia ochronne spowijające mieszkanie dawały jej choć niewielką przewagę?

Czy zdołałaby chociaż opóźnić Caleba na tyle, by dać Soni czas na ucieczkę?

– Może uważasz, że zaleczyłem rany i krążę nocami, mordując twoich sąsiadów? – odezwał się i przekrzywił głowę. – Przyznaj się, biegłaś tu na złamanie karku, bo pomyślałaś, że mógłbym zrobić krzywdę tej małej? Może wpadłaś tu, pewna, że właśnie zabawiam się z twoją uczennicą? Jak to mają w zwyczaju czarnoksiężnicy, gdy dostaną w swoje ręce ładniutki, niewinne dziewczyny? Sonia to całkiem urocze dziecko, dostarczyłaby mi sporo rozrywki... Jak myślisz, mam ochotę spróbować?

Poderwała się z miejsca, nie zastanawiając nad tym, co robi. Pchnęła z całej siły pochylonego nad nią Caleba, aż wpadł na lodówkę. Furia zalała jej umysł, a paląca wściekłość rozgorzała gdzieś w duszy i wypełniła całe ciało. Magia Jagody starła się z mocą Caleba, przekleństwo wplotło się w jego aurę i niemal natychmiast uległo zniszczeniu. Zaraz jednak uderzyło kolejne, jej klątwa, jego czar, oba jednocześnie.

W głębi mieszkania trzasnęły drzwi. Sonia musiała wyczuć uwolnioną magię, bo wpadła do pomieszczenia, a jej krzyk przebił się przez dudnienie w uszach Jagody, przynosząc jej otrzeźwienie. I czarownica zdała sobie sprawę, że przyciska do szyi Blythe'a nóż – nie była pewna, kiedy porwała go ze stojaka lub przywołała za pomocą magii – klątwa wplata się w jego aurę, czar Caleba zaś zaczyna zaciskać się na jej gardle.

Oboje tkwili w bezruchu. Zaklęcie uniemożliwiało czarownicy poruszenie głową czy wypowiedzenie choćby słowa, a gdyby Blythe poszedł o krok dalej, udusiłoby Jagodę. Ale i on nie mógł mówić: nie, gdy klątwa wiążąca język wplatała się w jego aurę. Nie z ostrzem przyciśniętym do gardła. Kropla krwi ze skaleczenia spłynęła ku brzeżkowi bluzy, a Jagoda wypuściła nóż i opadła na kolana, wstrząsana torsjami. Nie z powodu czaru Caleba. Blythe zwolnił go, ledwo czarownica osunęła się na

podłogę, powalona przez swoją własną magię.

Złożyła przyrzeczenie, na krew i na magię właśnie, zawarła wiążącą umowę. Obiecała dbać o jego bezpieczeństwo. Nie dotrzymała słowa: sama go zaatakowała.

– Co jej zrobiłeś?! – wydarła się Sonia.

Jagoda, choć w uszach znów narastał jej szum, a przed oczyma fruwały ciemne plamy, wyczuła, że dziewczyna zaczyna formować przekleństwo. Caleb też z pewnością musiał zdawać sobie z tego sprawę, a Zawicka nie miała żadnej szansy w starciu z Uczniem Czarnoksiężnika.

– Wyjdź! – wyrzuciła z siebie Wilczek, zwiijając się z bólu.

Sonia nie posłuchała. Przekleństwo rzucone przez młodą wiedźmę pomknęło w powietrzu, ale Blythe odbił je z łatwością i przykląkł przy Jagodzie. Chwycił ją za ramiona, zmuszając, by się wyprostowała i spojrzała mu w twarz.

– Nic mi nie jest. Nic. Mi. Nie. Jest. Jestem bezpieczny, rozumiesz? Wciąż cię potrzebuję, żeby tak zostało – powiedział pośpiesznie.

W momencie, w którym Caleb zadeklarował, że jest bezpieczny – że nie zrobiła mu krzywdy, nie naruszyła umowy zobowiązującej do dbania o to bezpieczeństwo – aura Jagody przestała szaleć. Czarownica nabrała powietrza w płuca. Jak cudownie było znów zaczerpnąć tchu! Obraz wciąż rozmazywał się przed jej oczami, była też słaba, ale odzyskała władzę nad ciałem, a ból, chwilę temu szarpiący jej wnętrznościami, znikł.

Sonia dopadła ich obojga i odepchnęła ręce Caleba, wyrwijąc kobietę z jego uścisku. Przygarnęła do siebie nauczycielkę, jakby chciała ją osłonić własnym ciałem.

– Nic mi nie jest – powtórzyła Jagoda niby echo Caleba, ostrożnie wyzwalając się z objęć uczennicy.

Czarnoksiężnik podniósł się, podparł o szafki i syknął, krzywiąc się z bólu. Jego to starcie również musiało wiele kosztować. Zwłaszcza ściągnięcie z siebie drugiej klątwy.

– Przecież widzę! – Sonia chwyciła Jagodę pod ramię, pomagając jej stanąć na nogi.

Czarownica niemal natychmiast opadła na taboret. Wspomnienie bólu sprawiło, że jej ciało pozostawało osłabione.

– Nie. Naprawdę. Nic mi nie zrobił – powiedziała, przeciągając dłonią po gardle. Nieświadomie wykonała gest bliźniaczy do ruchu Caleba, który również przesunął palcami po swojej szyi, rozmazując na skórze kroplę krwi.

– Doszło do drobnego nieporozumienia – parsknął, spoglądając przy tym na nóż, wciąż leżący na podłodze. – Zdaje się, że moje żarty zirytowały twoją mistrzynię.

– Już mówiłam. Nie jesteś zabawny – wyszeptwała Jagoda, pochylając się i przymykając oczy. Wciąż było jej niedobrze i czuła się koszmarnie słaba. Bała się wziąć głębszy oddech, jakby mogło to wywołać kolejną falę cierpienia. – Soniu...

– Nie zostawię cię samej z tym psychopata! – wykrzyknęła dziewczyna.

– Psychopata? Hej, to ona przycisnęła mi nóż do szyi.

– Na pewno miała powody!

– Niewystarczające – powiedziała Jagoda. Tylko po części szczerze. Żarty? Czy Caleb naprawdę sobie żartował? Nie, to nie brzmiało jak żart. Bardziej jak wyznanie. Jak obietnica. Jak groźba.

Jak wypowiedziana na głos fantazja.

Wyprostowała się, walcząc z atakiem mdłości. Sonia wciąż stała u jej boku, wodząc za Blythe'em podejrzliwym spojrzeniem.

– Zostaw nas, proszę. Musimy porozmawiać.

– Ale...

– Jeżeli chcesz wiedzieć, co mi się stało, poczytaj o magicznych przysięgach. Przyda ci się to – ucięła Jagoda. Po prawdzie czar Caleba lekko ją poddusił, ale tym, co odpowiadało za jej stan, naprawdę była magia sama w sobie. Obietnica, która omal nie została złamana. – Gdyby chciał mi coś zrobić, to miał ku temu świetną okazję. Wyjdź. Proszę.

– Obiecuję nie rzucać się twojej nauczycielce do gardła – zapewnił Blythe. – Przynajmniej tak długo, jak długo ona nie spróbuje podgryźć mojego.



Sonia nie wyglądała na przekonaną. Uparcie stała w miejscu. Caleb i Jagoda jednak umilkli i oboje patrzyli na nią wyczekująco, aż w końcu się poddała.

– Siadaj. Teraz na pewno będzie podsłuchiwać – wyszeptała Jagoda, wskazując na taboret tuż obok swojego.

– W zasięgu noża? – spytał ironicznie, ale usiadł. Na jego twarzy pojawił się wyraz trudny do zinterpretowania.

Być może było to zakłopotanie.

– To, co mówiłem...

– Nie waż się do niej zbliżyć – przerwała mu Jagoda, wciąż cichym głosem. Trochę ochryplym. Gardło upiornie ją bolało: nic dziwnego, zważywszy na to, że czar Caleba, gdyby został utrzymany chwilę dłużej, mógłby zmiażdżyć jej tchawicę. Blythe był dobry. Naprawdę dobry, skoro zdołał cisnąć paskudne, silne zakłęcie tak szybko, bez choćby jednego słowa. Tuż za okiem czuła nieprzyjemny nacisk, świadczący o tym, że zbliża się atak migreny. – Ostrzegałam cię. Jeżeli jej choć dotkniesz...

Nie dokończyła. Czym mogła mu zagrozić? Śmiercią? Gdyby skrzywdził Sonię, na pewno spróbowałyby go zabić. Tylko czy ta świadomość by go powstrzymała?

– Zrozumiałem aluzję. Nie mówiłem poważnie.

Chciała w to wierzyć. Było jednak coś w jego słowach, co sprawiało, że nawet teraz robiło się jej niedobrze. Na samą myśl, że mógł patrzeć na Sonię i fantazjować o wykorzystaniu jej, narastała w niej furia. Pomyśleć, że zaprosiła pod swój dach bestię! Karmiła go, opatrywała mu rany, rozmawiała z nim. Ba, poprzedniego dnia, gdy narzekał, że się nudzi, nawet przyniosła do salonu laptopa i wspólnie obejrzeli parę odcinków serialu, a potem dyskutowali o fabule i serialowym systemie magii! Spędziła z nim cały wieczór, jakby był zwykłym gościem, ot, dalekim znajomym, który zatrzymał się u nich na parę dni.

Na tyle nawykła do jego obecności, że przez moment niemal zapomniała, z kim ma do czynienia. Nie powinna sobie na to pozwolić.

– Brzmiałeś bardzo poważnie.

– Ja nie... – zaczął i urwał, po czym z jego ust wydobyło się westchnienie. – Cholera, słuchaj, chciałem tylko zrobić naleśniki. Miałem ochotę na normalny obiad. Chciałem się nimi z wami podzielić, bo wbrew temu, co sądzisz, nie jestem odludkiem. Nie mieszkam w opuszczonym zamku, mając za towarzystwo wyłącznie duchy. Sama tu przyszła, tylko rozmawialiśmy. Nikogo ostatnio nie zamordowałem, nie mam zamiaru krzywdzić twojej uczennicy, a powiedziałem, co powiedziałem, bo mnie zdenerwowałaś. I postanowiłem wyprowadzić cię z równowagi. Jesteś cały czas tak cholernie spokojna, że próbowałem sprawdzić, czy to w ogóle możliwe.

W Jagodzie znów się zagotowało, ale tym razem zdołała zapanować nad gniewem. Wzięła kilka głębokich oddechów, powoli licząc w myślach do dziesięciu, nim znów się odezwała.

– Brawo, udało się. Jesteś z siebie dumny?

– Nie – mruknął, odwracając wzrok. – Nie przygotowałaś tych klątw wcześniej.

– Nie, nie przygotowałam. Ale to właśnie się dzieje, kiedy nie jestem „tak cholernie spokojna”. I tak miałaś szczęście. Oboje mieliśmy – rzuciła, zła w równym stopniu na niego co na siebie.

Po raz kolejny przekonała się, że wiara w to, iż w pełni opanowała swoją magię, jest naiwna. Wystarczył moment zapomnienia, sytuacja, w której nie była w stanie kontrolować gniewu albo strachu, i znów była ośmioletnią dziewczynką, mogącą zabić kogoś lub siebie, bo nieopacznie wypowiedziane słowo albo życzenie przemieniło się w zakłęcie.

„Wiedźma Jaga”.

„Uważaj, bo cię przeklnie”.

– Przepraszam.

– Co powiedziałeś? – Spojrzała na niego zaskoczona.

Caleb na nią nie patrzył.

– Nie każ mi powtarzać. Nie powinienem był cię prowokować. Zadowolona?

– Nie.

Objęła się ramionami. Z czego miałyby być zadowolona? Z tego, że zmusiła go do przeprosin?

Wolałaby, aby nie miał powodu, by przeproszać. Byłaby zadowolona, gdyby go nie zaatakowała. Gdyby jej nie sprowokował. Gdyby wcale go tu nie było.

– Nie skrzywdzę jej – zapewnił Caleb. – Tak długo, jak długo ona nie zaatakuje mnie. Masz moje słowo.

– Potwierdzone magią? – podchwyciła natychmiast, choć nie sądziła, że Blythe się na to zgodzi. O dziwo, po chwili zawahania obrócił się ku niej i ujął jej rękę.

– Póki jestem gościem w tym domu, nie skrzywdzę twojej uczennicy, jeśli ona nie zagrozi mnie – powiedział, a magia musnęła skórę Jagody, przeskakując pomiędzy ich złączonymi dłońmi.

Istniało mnóstwo sposobów na obejście tej obietnicy. Mimo to danie słowa stanowiło niezaprzeczalny akt dobrej woli.

– Dziękuję – mruknęła, wyzwalając dłoń z uścisku.

Caleb się odsunął, przypatrując się Jagodzie w zamyśleniu.

– Jednak nie jesteś podobna do prababki.

– Racja. Ona prawdopodobnie nigdy nie przystawiła ci noża do gardła.

– Nigdy nie troszczyłaby się tak o swojego ucznia – odparł beznamiętnie. – Ani zresztą o nikogo innego. Nie poprosiłaś o gwarancję dla siebie.

Jagoda wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, jak prababka traktowała swoich uczniów ani jak wyglądały jej stosunki z Calebem. Wiedziała za to, że był ktoś, o kogo troszczyła się znacznie bardziej niż sama Jagoda o Sonię, a może nawet bardziej niż o Lilianę, choć za siostrę bez wahania oddałaby życie. I ta troska właśnie, żywione wobec kogoś uczucia, pragnienie ochrony ukochanej osoby, złamały Joannę Wilczek i przepelniły goryczą, która być może towarzyszyła jej aż do ostatnich chwil życia. Zatruwając ją i wszystkich wokół. Sprawiając, że już nikogo nie zdołała pokochać. Nawet męża, córki, wnuków i prawnuków.

Caleb odchrząknął.

– Wracając do morderstw. Kto zginął i dlaczego sądziłaś, że to ja?

– Wiedźma. Właściwie trzy wiedźmy. Zabito je... zabito je tak, że... Ktoś prawdopodobnie użył czarnej magii.

– Ach, no tak. Czarna magia, przecież musi chodzić o mnie – stwierdził, a coś w jego spojrzeniu zaalarmowało Jagodę. Jeszcze przed chwilą była skłonna uwierzyć, że Blythe nie miał nic wspólnego z zabójstwami. Teraz nie miała pewności. – Słyszałem o pierwszej – podjął. – Przyjechałem do Polski dwa dni przed tym, jak znalazłem się u ciebie. Już po jej śmierci. Nie, nie mogę tego udowodnić, musisz po prostu uwierzyć mi na słowo, że tego nie zrobiłem, a potem nie ruszyłem się z tego mieszkania. Albo możesz nie wierzyć, tyle że to niewiele zmieni, prawda?

– Niewiele – przytaknęła. Wprawdzie zastrzegła, że nie wplącze się w żadną czarnomagiczną aferę, ale póki nie udowodniłaby mu udziału w takowej, była zobowiązana do udzielenia mu pomocy. Przekonała się na własnej skórze, że nie chce i nie może złamać danego mu słowa. – Po co? Dlaczego przyjechałeś do Warszawy?

– Powiedzmy, że szukam czegoś, co zgubiłem.

Westchnęła i zsunęła się z taboretu. Dlaczego oczekiwała, że odpowie jej szczerze? Może zdołali zawrzeć rozejm po tym, jak omal się nie pozabijali, ale to nie oznaczało, że zostali przyjaciółmi.

– Muszę wyjaśnić parę rzeczy Soni – powiedziała, kierując się do wyjścia.

– Wilcza Jagoda. – Chwycił ją za nadgarstek, nim zdążyła podejść do drzwi. Znowu użył pogardliwego przezwiska, nadanego jej przez rówieśników całe lata temu... a potem używanego chętnie także przez dorosłych. Nie brzmiał jednak, jakby kpił. Głos miał poważny. – Nie chcę być twoim wrogiem.

– Rozumiem. – Zawahała się. – Też przepaszam. Nie powinnam rzucać ci się z nożem do gardła.

– Zapomnijmy o tym – stwierdził, tym razem niefrasobliwie, po czym puścił jej dłoń. Jakby nic się nie stało. Ot, drobna sprzeczka, szybko wyjaśnione nieporozumienie. – Idź pogadać z księżniczką, a potem obie tu wróćcie, co? Naleśniki stygną, a mam jeszcze sporo ciasta do usmażenia.

Zmusiła się do bladego uśmiechu, nim wyszła. Gdy jednak pukała do drzwi Soni, myślała o tym, że może i Caleb nie chciał być jej wrogiem, ale nie oznaczało to bynajmniej, że nim nie był albo że nim

wkrótce nie zostanie.



ROZDZIAŁ 4

**CZAROWNICA WE KRWI**

Sonia naprawdę stała tuż przy drzwiach, nadstawiając uszu, Jagoda i Cal rozmawiali jednak na tyle cicho, że nie dotarło do niej choćby jedno słowo. Niech to szlag, pomyślała z frustracją. Tak chciała wiedzieć, kim był ten mężczyzna i co dokładnie zaszło między nim a Jagodą.

Wzdrygnęła się mimowolnie, gdy pomyślała o wydarzeniach sprzed chwili. Jagoda z ostrzem w dłoni, przyciskająca Cala do lodówki, wibrująca wokół magia... I chwilę potem czarownica na podłodze, bezbronna, śmiertelnie blada...

Pomyśleć, że Cal – tak się przedstawił, gdy wiedziona ciekawością weszła do kuchni, słysząc, że ten tam buszuje – przez moment zdawał się Soni zabawnym, uroczym mężczyzną. Gdyby to on, nie Neo, zaprosił ją na kawę, na pewno by nie odmówiła.

Cofnęła się gwałtownie i rzuciła na łóżko, gdy usłyszała, że ktoś się zbliża do drzwi. Złapała książkę leżącą na biurku, ustawionym koło rozkładanej kanapy. Jej pokój był niewielki: mniej więcej wielkości łazienki, jaką miała do swojej wyłącznej dyspozycji w rodzinnej willi. Oprócz kanapy i biurka mieściły się tu jeszcze tylko fotel i szafa, mimo to Sonia z łatwością przystosowała się do nowych warunków i uwielbiała ten pokój. Jagoda zamontowała dla niej kilka dodatkowych półek, a dziewczyna powiesiła na ścianie wielką tablicę korkową, do której przyczepiała różne rzeczy. Matka nigdy nie pozwoliłaby w swoim domu na takie „bezguście”.

– Wejść!

– Wszystko w porządku? – Jagoda uchyliła drzwi. Wciąż była blada. I na nogach miała kozaki, jakby zapomniała ich zdjąć.

– Mnie się pytasz? – prychnęła Sonia. Spojrzała na książkę i zdała sobie sprawę, że trzyma ją do góry nogami. Pospiesznie rzuciła ją z powrotem na biurko.

– Mogę wejść?

– To twoje mieszkanie. Tylko zdejmij buty, bo będę musiała zaraz zmywać podłogi.

Zmywanie podłóg było jedną z tych konsekwencji wyniesienia się z domu, o których Sonia początkowo nie pomyślała. W pierwszych tygodniach mieszkania u mentorki uczyła się nie tylko kłatw, ale też obsługi pralki, mycia wanny czy prasowania. Jako panienka Zawicka robiła sobie co najwyżej herbatę i rozwieszała ubrania w garderobie. Co rusz było jej wstyd, gdy Jagoda musiała jej pokazywać, jak obsłużyć mikrofalówkę, przypominała o wyłączaniu gazu czy choćby opłukaniu wanny z włosów po kąpieli.

– Och. – Jagoda spojrzała w dół i pozbyła się kozaków. Potem przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi. Najwyraźniej nie chciała, by Cal podsłuchiwał ich rozmowę.

– Wyjaśnisz mi to? – spytała dziewczyna. – Czy usłyszę, że to nie moja sprawa? Albo... sama nie wiem.

– To skomplikowane.

– Ach tak – burknęła. Jeszcze chwilę temu martwiła się o Jagodę. Teraz była na nią zła. – Nie jestem małym dzieckiem! Umieć zrozumieć skomplikowane rzeczy!

– Może ja nie umiem ich wytłumaczyć – odparła Jagoda z rezygnacją. Przeszła przez pokój i usiadła w fotelu. Obróciła się ku Soni. Spoglądała na nią uważnie.

– Okej. Zacznijmy od tego, dlaczego wyglądałaś, jakbyś miała wyzionąć ducha – odezwała się dziewczyna.

– Mówiłam ci, że złożyłam mu obietnicę, potwierdzoną magią. Mam się nim zająć, póki nie wydobrzeje. Próba... podejrzenia mu gardła stanowiła jawne naruszenie tej obietnicy. To dlatego... – Jagoda westchnęła i pokręciła głową. – Nie składaj takich obietnic.

– Zapamiętam – mruknęła Sonia. Usiadła po turecku, obserwując Jagodę. – Byłaś zła, kiedy przyszedł do domu.

– Nie zła. Jedyne... zmartwiona. Czytałaś o Marii Zielińskiej? Właśnie zabito następną osobę.

Mówiła lekkim tonem, ale Sonia nie dała się zwieść. Wiadomość o śmierci jakiejś obcej wiedźmy nie wstrząsnęłaby Jagodą na tyle, że wpadłaby do kuchni, jakby oczekiwała znaleźć tam trupy.

Nie. Zdaniem dziewczyny wparowała tam jak szalona, bo usłyszała, że w pomieszczeniu przebywają Cal i ona. Jagoda naprawdę nie chciała, by mieli ze sobą kontakt.

– Kim on jest? Bez wykrętów.

– Moim gościem. Kimś, komu jestem winna przysługę – powtórzyła dotychczasową śpiewkę. – Bardzo silnym magiem.

Powiedziałam: bez wykrętów, pomyślała Sonia ze złością. To nie była odpowiedź.

– To dlaczego próbowałaś poderżnąć mu gardło?

– Powiedział coś, co mnie... zdenerwowało.

– Co? – naciskała dziewczyna. Syknęła ze złości, gdy nauczycielka nie odpowiadała. – No co takiego powiedział? Kurde, Jagoda, znam cię od paru miesięcy, mieszkamy razem i wściekła to ja cię widziałam raz, kiedy zaatakowała nas wredna wiedźma do spóły z magiem destrukcji. I odkryłaś, że wezwałam na pomoc mojego brata. Ale nawet wtedy nie przystawiłaś nikomu noża do gardła!

– Nie miałam pod ręką noża – odparła czarownica. Mogła to być próba rozładowania napięcia, ale tylko jeszcze bardziej rozgniewała Sonię.

– Masz zamiar cokolwiek mi wyjaśnić? Czy przyszedł tu tylko po to, żeby mnie poklepać po główce i kazać być grzeczną?

– Soniu...

– Aha. – Dziewczyna poderwała się z miejsca. Wyraz twarzy i ton Jagody dobitnie świadczyły o tym, że owo „Soni” nie było wstępem do porządných wyjaśnień. Raczej do kolejnych wymówek albo uzasadnień, dlaczego nie może jej powiedzieć wszystkiego.

Pewnie nawet nie powinna tego oczekiwać. Była uczennicą. Mistrzyni nie miała obowiązku dzielić się swoimi sprawami z adeptką. Jagoda nigdy nie obiecywała, że będzie Soni wyjaśniać cokolwiek oprócz rzeczy związanych z nauką magii, poza tym wyraźnie dbała, aby ich relacja nie przerodziła się w kontakty przyjacielskie. Ale były współlokatorkami, nie dzieliła ich znowu aż tak duża różnica wieku i z czasem dystans między nimi zaczął się zacierać.

Sonia naprawdę chciała wierzyć, że się przyjaźnią.

I że Jagoda nie postrzega jej jako nieodpowiedzialnego dzieciaka.

Cóż, najwyraźniej była w błędzie.

– Załapałam. Pójdę sobie na spacer. Wiesz, jakbyście potrzebowali omówić jeszcze jakieś tajne sprawy.

– Sonia!

Nie zatrzymała się. Wypadła do przedpokoju i pospiesznie założyła buty, złapała czerwony płaszcz i wybiegła na schody. Ubrała się, schodząc. Nie wzięła czapki ani rękawiczek, naciągnęła więc kaptur na głowę, a dłonie ukryła w kieszeniach. Szła szybko, nie zastanawiając się nad tym, dokąd ani po co idzie. Otrzeźwiała dopiero, gdy pokonała dobry kilometr.

Tak naprawdę nie miała dokąd pójść.

Rozejrzała się i skręciła w osiedlową drogę, kierując się ku ławeczce przy piaskownicy. Zanosilo się na deszcz, co w połączeniu z dość wczesną porą sprawiało, że okolica była wyludniona. Starszy pan spacerował z psem, mężczyzna z dwójką małych dzieci dźwigał siaty z zakupami, jakiś chłopak w kapturze wędrował w ślad za Zawicką. Jak na warszawskie realia okolica była niemal pusta.

Sonia usiadła na ławce i otoczyła się ramionami. Dawno nie czuła się tak samotna i tak... żałosa. Chciało się jej płakać. Pociągnęła nawet nosem parę razy i mocno zacisnęła powieki, by powstrzymać wymykające się spod nich łzy. Przecież nic się nie stało. Ot, przytłaczało ją to... wszystko. Wyczerpująca nauka, obcy, niebezpieczny człowiek pod dachem, sekrety nauczycielki. Odrobina tęsknoty za dawnym życiem. Nie, nie żałowała tego, co zrobiła, ale zaczynało jej brakować wyjść z rówieśnikami na miasto, ojca, matki, a nawet brata.

Przetarła oczy, zamrugła. Dostrzegła, że chłopak, który wcześniej za nią szedł, rozsiadł się na ławce w pobliżu i bezczelnie się jej przyglądał. Sonia wiedziała, że to straszliwie niedojrzałe, ale i tak nie zdołała się powstrzymać i pokazała mu język.

– Czyżbyś zgubiła drogę?

Wyprostowała się gwałtownie i spojrzała za siebie. Neo trzymał dłoń na oparciu ławki i uśmiechał się do Soni z przekorą.

– Och. To ty.

– W rzeczy samej – potwierdził. – Wyglądasz jak mała dziewczynka, która nie wie, którędy do

domu.

– Nie jestem małą dziewczynką – zaprotestowała.

– Mój błąd. Ciężki dzień?

– Może trochę – przyznała niechętnie.

– Wiem, co mogłoby ci poprawić humor.

– O, naprawdę? – prychnęła. – Tak dobrze się znamy?

– Nie, ale w pobliżu podają pyszną kawę i jeszcze lepsze ciasto czekoladowe. Przynajmniej jedno powinno podzielać. Ja stawiam.

W pierwszej chwili chciała odmówić. W kolejnej pomyślała, że pyszna kawa i ciasto czekoladowe mogą być dokładnie tym, czego potrzebuje.

Może nie chciała się umawiać ze „zwyčajnym” facetem, ale mogła raz z kimś takim porozmawiać. Zwłaszcza dziś, gdy zdecydowanie niezwyčajny mężczyzna stał się z jej nauczycielką.

Potrzebowała odrobiny normalności.

Tylko odrobiny.

\*

Gdy Sonia wybiegła, Jagodzie przemknęło przez głowę, że może powinna pójść za nią. Nie zrobiła tego jednak. Rzadko ulegała takim impulsom. Poza tym Sonia potrzebowała teraz побыć sama.

Czarownica odwróciła się więc od drzwi, zamierzając przejść do pokoju, sprawdzić skrzynkę mailową i poszukać informacji o ostatnim zabójstwie. Zamarła, widząc, że przy wejściu do kuchni stoi Caleb.

– Przejdzie jej. Nastolatki tak mają.

– Nie jest nastolatką. Skończyła dwadzieścia lat.

– Naprawdę? Nie wygląda. Ale w takim razie może przejdzie jej szybciej. Naleśnika?

Była wykończona: psychicznie i fizycznie. Bolała ją głowa. Marzyła o chwili świętego spokoju. Ale nie miała co na niego liczyć, dopóki Blythe przebywał pod jej dachem, poza tym zrobiła się naprawdę głodna. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadła normalny obiad – nie pizzę, burgera, tosty, kanapki albo pierogi z supermarketu. Chyba dobry tydzień temu, gdy ugotowała kurczaka z ryżem. Pojawienie się Caleba sprawiło, że nie miała czasu ani chęci przygotowywać porządnych posiłków.

I, cholera, te naleśniki naprawdę dobrze pachniały.

– Będziesz próbował sprawdzić, co się stanie, jeśli mnie zdenerwujesz?

– Nie muszę. Już wiem.

Ostatecznie więc ruszyła do kuchni. Jej życie w ciągu ostatniego roku zaczęło stawać się na tyle dziwaczne, że jedzenie naleśników upichconych przez czarnoksiężnika, z którym walczyła ledwo chwilę temu, doskonale wpisywało się w ogólny schemat. Zamyślona żuła kolejne kęsy, wpatrując się bezmyślnie w okno. Dopiero gdy Caleb zamachał jej ręką przed twarzą, dotarło do niej, że coś mówi.

– Hm?

– Nieważne – westchnął zrezygowany. – Nad czym tak dumasz?

– Że powinnam adoptować wilkołaka. Albo smoka – oświadczyła w przyływie szczerości, polewając ciasto sosem.

Caleb zamarł, z widelcem uniesionym w połowie drogi do ust.

– Co?

– Domy czarownic, siostra mojego byłego jako uczennica, stuletnie czarodziejki, rodzinne tajemnice, a teraz jeszcze ty, w dodatku z naleśnikami. Jak nic następny krok to własne smoczątko albo szczenię wilkołaka. Ewentualnie powinnam odkryć, że moim prawdziwym tatusiem był grecki bóg, wybrano mnie do uratowania świata czy coś takiego... albo wybrano do tego Sonię. W takim wypadku pewnie zginę w połowie fabuły. Mistrzowie wybrańców mają krótką przewidywaną długość życia.

Blythe patrzył na nią z nieodgadnioną miną.

A potem odchylił głowę i się roześmiał.

\*

Jagoda po posiłku zamknęła się w pokoju. Łyknęła tabletkę przeciwbólową, sprawdziła skrzynkę mailową i z żalem odrzuciła zlecenie, dobrze płatne, ale wymagające podróży do Gdańska. W tej chwili nie odważyłaby się oddalić od mieszkania na dłużej niż dwie, może trzy godziny. Potem zapoznała się z informacjami na temat zabójstwa Anny Kozłowskiej, do jakich dorwały się magiczne portale informacyjne.

Czarownica mieszkała dwa kilometry dalej. Zaatakowano ją nocą, gdy wracała z imprezy. Zmasakrowane ciało znaleźli nad ranem jej sąsiedzi i Departament Magiczny musiał się natrudzić nad zatuszowaniem sprawy.

Jagoda nie знаła dwóch poprzednich ofiar. Niewiele też istniało między nimi podobieństw. Porównała zdjęcia: Maria i Anita były drobnymi blondynkami koło dwudziestki, ale Anna ukończyła trzydziesty rok życia i była krzepką brunetką. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych pracowała w enklawie. Jej magię klasyfikowano jako przeciętną, nieco lepiej niż w przypadku Marii i Anity, dysponujących bardzo mizernymi zdolnościami.

Wyglądało więc na to, że morderca wybiera kobiety mające małą szansę na obronę, mieszkające w miejscach oddalonych od najważniejszych punktów na magicznej mapie Warszawy.

Niepokój Jagody o Sonię wzrósł. Musiała ją ostrzec. Pytanie, czy dziewczyna zechce teraz wysłuchać ostrzeżeń. Na razie wiedźma nie obawiała się o bezpieczeństwo podopiecznej. Za oknami wciąż jeszcze było jasno, a do dotychczasowych ataków doszło nocą. Ale... Sonia nie wracała od dobrej godziny, co wskazywało na to, że albo pojechała do Jess, albo jest naprawdę, naprawdę wściekła.

Może nie powinno mnie to martwić? – zastanowiła się Jagoda. Jeżeli humory Soni miałyby utrudnić dalszą współpracę, mogły zerwać umowę. Przecież od początku nie chciała brać uczennicy. Nauka Soni zajmowała mnóstwo czasu, a niewygórowana opłata za pomoc sprowadzała się do sumy wystarczającej akurat na opłacenie połowy rachunków za mieszkanie i zakupy. Gdyby Jagoda wynajęła pokój komuś „z zewnątrz”, wyszłaby na tym lepiej finansowo i miałyby znacznie więcej czasu. Nie musiałyby się martwić ciągłymi współlokatorami do niebezpiecznej magii, nie byłaby też odpowiedzialna za jej postępowanie. Nie wspominając o tym, że oszczędziłyby sobie wysłuchiwanie bzdurnych historii rozpowszechnianych przez Karolinę Zawicką, jakoby rzuciła klątwę na jej córkę i ją uprowadziła.

Zabawne, swego czasu zdaniem Zawickiej Jagoda rzuciła klątwę na Antoniego, by zawrócić mu w głowie.

Czy chciała się pozbyć Soni?

Zadawała sobie to pytanie, gdy padła na łóżko, wciąż dręczona przez migrenę. Nie umiała odpowiedzieć. Czuła się odpowiedzialna za uczennicę i uważała, że gdyby ta zrobiła coś głupiego po wydaleniu z nauk, to wciąż byłaby jej wina. Nie chciała, by dziewczynie stała się krzywda. A jeżeli odmówiłaby dalszej pomocy, dziedziczka fortuny Zawickich próbowałaby zgłębiać wiedzę na własną rękę, aż w końcu zraniłaby siebie bądź kogoś. Jednocześnie czarownica nie mogła uczyć Soni, jeżeli ta oczekiwała od niej pełnej transparentności.

Nie były przyjaciółkami. Nie współpracowały na polu zawodowym. W relacji mistrz – uczeń, zwłaszcza gdy szło o magię, o równości nie mogło być mowy. Jagoda zgodziła się uczyć Sonię, nawet przyjmując ją pod swój dach, ale nie obiecała, że otworzy przed nią na oścież drzwi do swojego życia. Polubiła ją, owszem. Troszczyła się o nią, ale Jagoda nigdy nie należała do osób, które łatwo dopuszczają do siebie ludzi. Dziewczyna była kimś obcym, kto wtargnął w uporządkowaną codzienność Jagody i zyskał w niej swoje miejsce, to jednak nie znaczyło, że miał prawo do wglądu we wszystkie jej sprawy. Nawet gdyby się przyjaźniły, wiedźma nie dzieliłaby się z nią wszystkim. O jak wielu sprawach nigdy nie powiedziała Lilianie ani Idze? Jedne rzeczy wolała zachować dla siebie, inne ukrywała, by nie obciążać nimi bliskich sobie osób.

Pełna szczerłość była czymś, co znikło z jej życia wraz z Wawrzyńcem i Antonim.

Jagoda poczuła ukłucie w sercu.

Wtuliła twarz w poduszkę i zamknęła oczy, licząc, że zdoła zasnąć, choć na chwilę osunąć się w otchłań nieświadomości, gdzie nie ma miejsca na myśli o Calebie, problemach z uczennicą i niepokojem wywołanym świadomością, że po warszawskich ulicach grasuje morderca czarownic. Jakiś czas przewracała się z boku na bok, w końcu jednak wyczerpanie po scysji w kuchni oraz ból głowy



zwyciężyły.

Obudziła się kilka godzin później. Śpiąc bez przykrycia, przemarzała i odrętwiała, a ból głowy, chociaż złagodniał, nie minął zupełnie. Usiadła na łóżku, wciąż zaspana. Śniła o czymś, o kimś – ale nie mogła sobie przypomnieć szczegółów. Wiedziała tylko, że nie był to dobry sen.

Przynajmniej podczas drzemki Jagoda zregenerowała energię magiczną i odzyskała siły. Dźwignęła się powoli i podeszła do okna. Na zewnątrz zrobiło się już zupełnie ciemno. Która była godzina? Zapaliła lampkę i zerknęła na zegarek: po dwudziestej trzeciej.

Świetnie. Przespała prawie osiem godzin. Po poprzedniej, niemal bezsennej nocy jej organizm zażądał odpoczynku. W najmniej odpowiednim momencie.

Starając się poruszać bezszelestnie, Jagoda wyszła do przedpokoju. Mieszkanie tonęło w ciszy i ciemności. Salon był zamknięty, nie paliło się tam światło. Drzwi od sypialni Soni pozostawały jednak uchylone. Czarownica poczuła ukłucie niepokoju, kiedy dostrzegła, że na wieszaku przy wejściu nie ma płaszcza Zawickiej. Zajrzała do pokoiku uczennicy i zorientowała się, że jest pusty.

Nie wróciła na noc.

Postanowiła spać u Jess? Pójść do rodziców?

Oby, pomyślała Jagoda, wracając do siebie po komórkę. Pospieszenie wybrała numer Soni. Wciąż miała w uszach słowa brata na temat Anny Kozłowskiej, która zginęła ledwie kilka ulic dalej.

Sonia nie odbierała.

Może śpi, łudziła się w myślach Jagoda. Mimo to i tak wyciągnęła broń ze schowka, a potem wypadła z powrotem do przedpokoju i zaczęła się ubierać. Nie była pewna, gdzie powinna szukać uczennicy, nie mogła jednak po prostu siedzieć w mieszkaniu i czekać, aż ta się pojawi. Nie miała numeru Jessiki, ale restauracja jej rodziców, Syrenia Pokusa, jeden z najelegantszych lokali w enklawie, była otwarta do północy. Istniała szansa, że się tam dowie, czy Sonia spędzała noc u koleżanki. Zmuszenie o tej porze obsługi do skontaktowania się z właścicielami będzie zapewne wymagać trochę zachodu, ale powinno się udać.

Sprawdzenie, czy dziewczyna nie wróciła do rodziców, wymagało zadzwonienia do Antoniego. Jagoda wiedziała, że właśnie to powinna zrobić, a jednak zamiast wybrać jego numer, założyła kurtkę i wybiegła z mieszkania. Uparcie próbowała się dodzwonić do Soni.

Brak odpowiedzi.

Wystukała SMS-a: „Odezwij się, do cholery”, pospiesznie idąc pomiędzy blokami. Kierowała się ku parkowi, przez który mogła pójść na skróty w stronę jednego z wejść do enklawy. O tej porze jedyny autobus kursujący z jej osiedla w tamtym kierunku odchodził co godzinę.

Piętnaście minut później była w połowie drogi. Nieomal biegła, chcąc zdążyć do Syreniej Pokusy przed zamknięciem. Strach, zamiast maleć, tylko rósł. Wiedziała, że to irracjonalne, ale otaczająca ją ciemność, nagie gałęzie drzew poruszające się na wietrze i odgłosy miasta, tak ciche o tej porze w porównaniu z dniem, tworzyły atmosferę rodem z horrorów, podsycającą lęki. Jagoda wypadła właśnie z parku, gdy jej telefon zawibrował. Sięgnęła ku niemu i prędko spojrzęła na ekran. Nowa wiadomość. Od Soni.

„Chwilę temu wróciłam. Dlaczego cię nie ma?”

Bo cię szukam, idiotko, pomyślała Jagoda, opierając się o najbliższe drzewo, by zaczerpnąć tchu. Poczowała, jak ogarnia ją ulga. Dała się ponieść wyobraźni. Przecież ryzyko, że ze wszystkich czarownic w Warszawie ofiarą napastnika padnie właśnie Sonia, było naprawdę niewielkie.

Wystukała odpowiedź: „Zaraz wracam”.

Jeszcze przez moment tkwiła oparta o klon, nim ruszyła z powrotem w głąb parku. Nie pierwszy raz pokonywała tę drogę w ciemnościach. Wiedziała, że wiele osób potraktowałoby to jako prośenie się o nieszczęście, w myśl idiotycznego i szkodliwego przekonania, że winna napaści jest nie dość ostrożna ofiara. Ale każdego, kto postanowiłby zaatakować silną wiedźmę kłątów, czekałaby przykra niespodzianka.

Dlatego nie myślała o zagrożeniu. Choć martwiła się o Sonię, nie przyszło jej nawet do głowy, że sama mogłaby stać się celem.

I nie stała się nim.

Ale najwyraźniej stał się nim ktoś inny.

Jagoda zdążyła przemierzyć niemal cały park, gdy gdzieś w oddali rozległ się krzyk. Odruchowo poruszyła palcami prawej dłoni i wyszeptowała kilka słów, zaczynając tworzyć klątwę. A gdy krzyk się powtórzył, ruszyła w stronę, z której dobiegł, wciąż splatając przekleństwo.

Trzeci wrzask urwał się nagle, jak ucięty nożem. Jagoda przyspieszyła.

Spodziewała się zobaczyć pechową dziewczynę wracającą z imprezy i jakiegoś gnoja, który postanowił skorzystać z okazji. Nim jednak kogokolwiek dostrzegła, włoski na karku stanęły jej dęba, bo najpierw wyczuła... nie magię. Coś... złego? Zaraz potem w oddali zobaczyła zarys potężnej sylwetki. Monstrualna istota pochylała się nad czymś – nad kimś – kulącym się na ziemi.

W ciemnościach nie miała szans przyrzeć się olbrzymowi, ale wiedziała jedno: to nie mógł być człowiek.

Pierwszy oddech.

Nie chodziło tylko o jego rozmiar. Również nie o sposób, w jaki się poruszył, i nieproporcjonalną budowę ciała – gdy się wyprostował, zwieszona luźno ręce niemal sięgnęły do ziemi. Decydujące było odczucie, jakie wywołał w niej jego widok: atawistyczne pragnienie ucieczki.

Zwalczyła je. Była szybka, ale to coś pewnie okazałoby się szybsze. A jeżeli nawet pozwoliłoby jej uciec, niechybnie rozerwałoby swą ofiarę na strzępy.

Drugi oddech.

Stworzenie obróciło się ku niej, szykując do skoku, a Jagoda wypuściła przekleństwo. Istota wykonała sus, pokonując dobre dwa metry, ale niezgrabnie upadła i przetoczyła się po ziemi.

Trzeci oddech.

Z palców wiedźmy spłynęła kolejna klątwa, mniej skomplikowana i mało szkodliwa, ale nadająca się do błyskawicznego rzucenia. U zwykłego człowieka spowodowałyby potykanie się i pozostawało mieć nadzieję, że w wypadku stwora, w połączeniu z poprzednią, wywołującą skurcze w mięśniach, znacznie go spowolni. Coś wewnątrz Jagody wyło, by uciekać, ale zwalczyła ten impuls. Zaczęła się cofać, sięgając do torebki. Gdy tylko namacała broń, pozwoliła torbie upaść i odbezpieczyła pistolet akurat w momencie, w którym napastnik stanął na nogach.

Czwarty oddech.

Wystrzeliła sześć naboju, jeden za drugim. Nie widziała, czy wszystkie sięgnęły celu, ale stworzenie zaryczało z bólu i obróciło się, znów robiąc długi, acz niezgrabny sus – tym razem jednak nie w stronę Jagody, lecz w bok, pomiędzy drzewa i krzewy.

Piąty oddech.

Aura czarownicy szalała, formowały się w niej nici przekleństw i teraz sięgnęła po jedno z nich – nieukończony do końca, którego działania sama nie mogła być pewna – po czym posłała je za potworem.

Czas, który wcześniej zdawał się płynąć w nienaturalny sposób, jakby każda chwila rozciągała się w nieskończoność, odzyskał zwykły bieg. Jagoda podbiegła do osoby leżącej na ziemi, choć nie miała pewności, czy bestia nie powróci. Wpakowała w nią przynajmniej trzy naboje, ale trudno stwierdzić, jak skuteczne były zwykłe pociski przeciwko takiemu przeciwnikowi.

Zaczęła kreślić na ziemi znaki, formułując krąg ochronny. Stworzony w pośpiechu, bez możliwości przygotowania, w ciemnościach, nie mógłby powstrzymać kogoś uzbrojonego w arsenał silnych czarów. Wawrzyniec, który nauczył ją tych run, zabiłby wiedźmę śmiechem. Ale w razie gdyby bestia wróciła, krąg powinien dać Jagodzie czas na rzucenie kolejnej klątwy.

Zakłęła głośno, gdy pomyliła się przy jednej runie. Traciła czas. Bestia mogła wrócić. Ktoś leżący obok niej – zapewne jakaś nieszczęsna, słaba czarownica – najpewniej właśnie umierał.

Albo już umarł, a ona próbowała ochraniać trupa.

Gdy znaki zabłysły, Jagoda zdała sobie sprawę, że jej torebka pozostała poza kręgiem. Zakłęcie pozwalające przywołać przedmiot pochłonęło kolejną, cenną porcję energii. Nigdy nie opanowała w pełni inkantacji przywoływania światła, wykorzystwała więc równie skuteczny sposób, czyli wydobyła z torebki komórkę i odpaliła latarkę.

Na ziemi leżała kobieta. Cała we krwi. Jej płaszcz był porwany, po bluzce zostały strzępy. Jagoda

sięgnęła do jej szyi i z ulgą wyczuła puls. Spróbowała ocenić, jak poważne są rany, ale ubrania to uniemożliwiały.

Nie wiedziała, czy nie zaszkodzi kobiecie, lecz sądząc po ilości krwi, bez natychmiastowej pomocy nieznajoma mogła się szybko wykrwawić. Jagoda wyszeptwała więc inkantację uzdrawiania, którą kilkakrotnie wykorzystywała w ostatnich dniach na Calebie i której dzięki temu nauczyła się na pamięć. Z nerwów omal nie pokręciła słów, czar jednak chyba zadziałał. Nie mogła zobaczyć efektów, ale nagły wpływ energii sprawił, że w głowie jej zawirowało.

Jeżeli tu zemdleje, a ta bestia wróci...

Walcząc z mdłościami, wybrała alarmowy numer Wydziału do spraw Mrocznej Magii. Ktoś odebrał dopiero po dziesiątym sygnale, gdy Jagoda zdążyła w myślach przekląć Mariusza Olchę, osobę odpowiedzialną za przyjmowanie zgłoszeń i cały wydział. Numer alarmowy, na który dzwonicz, gdy stykasz się z czarną magią? Odbierzemy już po kilku minutach, kiedy ten miły czarnoksiężnik skończy cię patroszyć...

– Wydział do spraw Mrocznej Magii, Milen...

– Park Szczęśliwicki – przerwała dyspozytorce Jagoda. – Zostałam zaatakowana. Mam ranę.

Przez dwie sekundy po drugiej stronie panowało milczenie.

– Proszę podać swoje dane personalne.

– Jagoda Wilczek. Kod MR to WAR92043001. Mam tu czarownicę całą we krwi.

– Co panią zaatakowało?

– Nie wiem! – krzyknęła z wściekłością, wodząc spojrzeniem pomiędzy drzewami. Gniew sprawiał, że z trudem panowała nad swoją magią. Czar leczniczy, niekompatybilny z jej zdolnościami, pochłonął zbyt wiele energii, ba, nawet więcej niż wtedy, gdy leczyła Caleba i miała wrażenie, że zaraz straci przytomność. Tymczasem gdzieś w pobliżu czaił się potwór.

– Proszę opisać, co się stało.

Czuła, że tu jest. Że ją obserwuje. I choć nie pozostało jej dużo sił, posłała dodatkową porcję energii do kręgu. Znaki zaślniły jaśniejszym światłem. A Jagoda, chociaż nie modliła się od lat, teraz zmówiła krótką modlitwę do dowolnego bóstwa, które zechciałoby jej słuchać: aby nikt poza nią nie wybrał się do parku na nocną przechadzkę. By nie zainteresował się dziwnym błękitnym blaskiem.

By nie padł ofiarą bestii o błyszczących oczach, bo Jagoda nie zdoła jej drugi raz zatrzymać.

– Siedzę w cholernym, byle jak nakreślonym i w połowie naładowanym kręgu, z umierającą czarownicą, którą coś próbowało poszatkować – wycedziła, nie zwracając uwagi na to, że kobieta próbowała powiedzieć coś jeszcze. – Napastnik wciąż może tu być, a ja wykorzystałam większość sił na próby utrzymania jej przy życiu. Przyślijcie tu wreszcie kogoś, do jasnej cholery.

Kolejnych kilka sekund ciszy. Jagoda była już bliska rozłączenia się i zadzwonienia do babki, gdy dyspozytorka odezwała się ponownie.

– Wysyłam grupę i przesyłam zawiadomienie do Batorego. Czy ofiara jest przytomna?

– Nie.

– Może pani ocenić obrażenia?

– Nie. Ma na sobie kurtkę. Dużo krwi. Puls ledwo wyczuwalny.

– Widziała pani napastnika?

– Słabo – powiedziała. Nie chciała wdawać się w szczegóły, bo gdyby dyspozytorka usłyszała słowo „potwór”, mogłaby uznać, że ktoś stroi sobie z niej żarty. – Kiedy nadejdzie pomoc?

– Patrol dotrze do pani za kilka minut.

– Niech wypatrują błękitnego światła. Krąg lekko świeci.

– Czy...

Jagoda się rozłączyła.

Potarła o siebie opuszki palca wskazującego i kciuka, formułując kolejne przekleństwo. Ból głowy narósł i wiedźma wiedziała już, że będzie to w najlepszym razie przedostatni czar, jaki zdoła rzucić. Nie odzyskała w stu procentach sił po starciu z Calebem. Mogła mieć jedynie nadzieję, że napastnik – ranny albo na tyle inteligentny, by zrozumieć, że nie pokona szybko magicznego kręgu, a jedna z niedoszłych ofiar wezwała pomoc – nie zdecyduje się już na atak.

Zerknęła na nieruchomą kobietę, ale nie potrafiła jej już bardziej pomóc. Powróciła więc do błądzenia wzrokiem pośród drzew i wypatrywania zagrożenia. Sekundy zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Jagodzie zdawało się, że upłynęła dobra godzina, nim w oddali zabłyśło światło, a potem w alejce pojawiło się trzech funkcjonariuszy, dwóch mężczyzn i kobieta. Jagoda nawet z daleka wyczuwała otaczającą ich aurę czarów ochronnych.

– Zerwij krąg! – zawołała funkcjonariuszka. Jagoda ją rozpoznała: Maeve, mag bojowy Wydziału do spraw Mrocznej Magii. Irlandka z pochodzenia, ciemnoskóra i ciemnowłosa, o mocnej budowie. Skoncentrowała spojrzenie na dziewczynie leżącej na ziemi. – Stefek, wzywaj wsparcie. Żółw?

Jagoda wyciągnęła rękę i zamazała jeden ze znaków. Mężczyzna nazwany Żółwiem przeskoczył linię run i przykląkł przy rannej. Czarownica odsunęła się, robiąc mu miejsce. Stefek wyciągnął telefon i – jeżeli Wilczek słyszała – domagał się ściągnięcia drugiej grupy oraz obudzenia szefa. Najwyraźniej dyspozytorka albo była kretynką i nie skojarzyła faktów, albo nie wierzyła, że zgłoszenie może dotyczyć mordercy, którego szuka cały wydział.

Maeve stała w pobliżu, wypatrując zagrożenia.

Jagoda zaś usiadła na ziemi, wciąż trzymając nici kłątwy, gotowej do rzucenia. Teraz jedyne, co mogła zrobić, to czekać.

\*

– Gdzie ty jesteś?

Grupa funkcjonariuszy, tym razem znacznie większa, pojawiła się kwadrans później. Jeden z przybyłych krótko wypytał Jagodę o wydarzenia, po czym kazał jej czekać – choć nie uściślił na co. Czarownica usiadła więc na najbliższej ławeczce i obserwowała, jak pracownicy WMM najpierw zabierają na noszach ofiarę napaści (wciąż żyła, choć wyglądało na to, że może nie potrwać to długo), a potem rozchodzą się pomiędzy drzewami. Wokół unosiły się echa rzucanych czarów, rozbłyskiwały też światła latarek i magicznych pochodni. Jagoda zastanowiła się przelotnie, czy mieli przygotowane jakieś zaklęcia, które chroniły to zgromadzenie przed oczyma postronnych.

Wtedy zadzwoniła Sonia. Najwyraźniej nawet jeśli była zła, zaczęła się martwić, gdy nieobecność nauczycielki się przedłużała.

– Mówiłaś, że zaraz wracasz! – zawołała zdenerwowana.

– Coś... mnie zatrzymało – wymruczała wiedźma, patrząc na Maeve kłócącą się z jakimś mężczyzną.

– O północy?

– Wpadłam... na kogoś znajomego – stwierdziła, dostrzegłszy, że w zasięg światła wchodzi Mariusz „Mario” Olcha. Szef Wydziału do spraw Mrocznej Magii podszedł do dyskutującej dwójki. Oboje wyprostowali się i natychmiast przerwali kłótnię, po czym wymienili z szefem kilka cichych zdań.

– O północy? – powtórzyła Sonia.

– Wyjaśnię, gdy wrócę.

– Yhym... słuchaj, czy wszystko w porządku?

– Można tak powiedzieć – rzuciła, widząc, że Mario zmierza w jej stronę. – Muszę kończyć. Nie czekaj na mnie, nie wiem, ile to potrwa. Porozmawiamy rano. Nie wychodź z domu... – Zreflektowała się i zaraz dodała: – Wiesz, ktoś powinien pilnować naszego gościa, żeby nie zrobił nic głupiego. Nie powinien zostawać sam.

W tej ostatniej uwadze było trochę wyrachowania. Przykaz „zostań w domu” mógł wywołać chęć złamania nakazu z samej chęci buntu. Chociaż w zasadzie nie podejrzewała już Caleba o to, że jest mordercą. Jego oczy nie świeciły żółtym blaskiem, a ręce miały normalny kształt.

– Ale... – zaczęła Sonia.

Jednak Jagoda się rozłączyła.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony, że cię tu widzę? – spytał Mario. Omiótł spojrzeniem jej sylwetkę i przelotnie zatrzymał wzrok na kolanie.

Odruchowo również popatrzyła w dół. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że w pewnym momencie – pewnie gdy na kłęczkach rysowała krąg ochronny – rozdarła spodnie i poharatała sobie

skórę.

– Postanowiłeś zostać wróżką? – odparła chłodno, podnosząc się. Nie zamierzała pozwolić, by Olcha patrzył na nią z góry. Choć, niestety, i tak musiała unosić wzrok, by na niego spojrzeć: przerastał ją niemal o pół głowy.

Mariusz Olcha był od niej o cztery lata starszy. Znali się od dziecka, choć raczej przelotnie. Wywodzili się z podobnych kręgów: rodziny ich obojga znajdowały się na liście szesnastu najstarszych i najbardziej prominentnych magicznych rodów w Polsce, jako dzieci trafiali więc na te same przyjęcia urodzinowe, potem przez jakiś czas chodzili do tej samej szkoły – jednej z niewielu przeznaczonych dla magicznej młodzieży. Ale ponieważ Wilczkowie i Olchowie za sobą nie przepadali, Mario i Jagoda od najmłodszych lat automatycznie przyjmowali postawy rodziców, nie pomagał też fakt, że on był ogólnie lubiany, ona zaś – od zawsze traktowana przez otoczenie z niechęcią, na którą (jak musiała przyznać) w pewnym stopniu zasłużyła. Do tego rodzina Jagody była zamieszana w półlegalne interesy, a sam Mariusz zaczął pracę w jednostce zajmującej się zwalczaniem przestępczości.

Mimo wszystko nie byli wrogami – przynajmniej do jesieni. Współpraca podczas próby pozbycia się Śpiącej Królowy, stuletniej czarodziejki siejącej zamęt w mieście i polującej na Wilczków, zakończyła się konfliktem. Jagoda podała Olsze cel poszukiwań niemalże na tacy, a on spróbował wykluczyć ją z ostatecznej walki. Uwięził Jagodę, nie pozwalając na udział w starciu, choć wiedział, że przygotowywała czar, że walka zostanie stoczona w jej rodzinnym domu, że w razie gdyby on zawiódł, zginęłaby bez szans na obronę.

Nie chciała i nie potrafiła mu tego wybaczyć.

– Co tu się stało?

– Już mówiłam.

– Opowiedz mnie.

Rozmowa z Mariem była jedną z ostatnich rzeczy, na jakie miała ochotę. Ale wiedziała, że ten nie odpuści. Prawdopodobnie jako jedyna zobaczyła napastnika i przeżyła, a teraz mogła o nim opowiedzieć. Uznała więc, że najszybszym sposobem na uwolnienie się i powrót do domu jest streszczenie historii ponownie.

– Wraciałam przez park. Usłyszałam krzyki. Zaczęłam splatać kłótwę i ruszyłam w tę stronę. Zobaczyłam leżącą kobietę i... stworzenie, które się nad nią pochylało.

– Stworzenie – podchwycił Mario, choć Jagoda nie wierzyła, że nie przekazano mu jej zeznania. Najwyraźniej funkcjonariusze wciąż sądzili, że coś sobie uroiła.

– To nie był człowiek – powiedziała ze spokojem. – Za duży. Za szybko się poruszał. Miał nieproporcjonalne ręce. Błyszczące oczy.

– Dobrze. Co dalej?

– Rzuciłam w niego kłótwę. Zaczęłam strzelać.

– Masz pozwolenie na broń?

Jagoda wzruszyła ramionami. Na całe szczęście Mario nie pracował w niemagicznej policji. Mógł skonfiskować broń, ale w prawie magicznym nie istniał paragraf, na mocy którego mógłby ukarać kogokolwiek za jej posiadanie. Poza tym utrata broni nie była dla Jagody znowu aż tak dotkliwa – wystarczy telefon do Sebastiana, by ten załatwił jej nową. A jeśli wspomni, że została zaatakowana, brat dostarczy jej nowy pistolet w ciągu godziny.

– Kule go raniły, ale chyba niezbyt poważnie. Skoczył między drzewa. Podbiegłam do tej kobiety, stworzyłam krąg, wezwałam pomoc. Ja... – Zawahała się. O tym nie wspomniała, gdy przesłuchiwał ją jeden z towarzyszy Maeve. – Wydaje mi się, że potem ten stwór nas obserwował. Może czmychnął w bok, by potem zaatakować z innej strony, ale kiedy zrozumiał, że wzywam pomoc, wycofał się. Swoją drogą, powinienś zwolnić dyspozytorkę. Myślałam, że się nie doczekam, aż odbierze, nie mówiąc o wysłaniu pomocy.

– Nie zranił cię? – spytał Olcha, ignorując ostatnią uwagę.

Pokręciła głową. Nie dała mu szansy nawet się zbliżyć. Choć teraz, gdy Mario zadał pytanie, dotarło do niej, jak było blisko. I ile rzeczy mogło pójść źle. Gdyby zaatakował ją z zaskoczenia, nie miałyby szans. Gdyby nie zabrała ze sobą broni, w najlepszym wypadku skończyłaby ranna.

– Co to było? – spytała. Nie wierzyła, że dotąd nie znaleźli żadnych tropów, które mogłyby wskazywać na zabójcę. Musiało coś zostać: tkanka, ślad obcej magii, cokolwiek.

Mario wymownie milczał. Jagoda głęboko odetchnęła, tłumiąc narastającą złość. W sumie mogła się tego spodziewać. Jeżeli nie był skłonny do dzielenia się informacjami, gdy ktoś polował na jej rodzinę, dlaczego miałby cokolwiek zdradzić teraz? To, że przypadkiem zobaczyła napastnika, niczego nie zmieniało.

– Tak, rozumiem – skwitowała. – Śledztwo trwa. Mogę wrócić do domu czy zabieracie mnie do biura?

– Odprowadzę cię.

Miała ochotę zaprotestować, ale wiedziała, że byłoby to z jej strony głupotą. Nie mogli pozwolić, by wracała sama, i powinna być wdzięczna za eskortę. Istniała spora szansa, że stwór wciąż gdzieś się tu kręci, czekając na okazję, a ona, zmęczona po starciu, nie zdołałaby drugi raz stawić mu czoła. Kiwnęła więc tylko głową i poczekała, aż Mario wymieni kilka słów z podwładnymi, którzy mieli pozostać na miejscu.

Pierwszych kilkadziesiąt metrów pokonali w milczeniu. Ciszę przerwał Mario, gdy zbliżali się już do jej osiedla.

– Co robiłaś sama nocą w parku? – spytał. Nie patrzył na nią. Wodził wzrokiem wokół, nieustannie wypatrując zagrożenia.

– Spacerowałam.

Nie lubiła kłamać, a to nie była nawet półprawda. Mariusz Olcha był jednak ostatnią osobą, której chciała opowiadać, że szukała nocą swojej uczennicy po tym, jak doszło między nimi do scysji. Zwłaszcza że powodem spięcia był Uczeń Czarnoksiężnika.

– Spacerowałaś – powtórzył Mario, przeciągając sylaby. – Nie przyszło ci do głowy, że to głupie? Że ktoś może cię napaść?

– Daj spokój, Olcha. Nie jesteś moją matką – prychnęła, przyspieszając kroku.

Mario złapał ją za łokieć tak gwałtownie, że ledwo utrzymała równowagę. Spróbowała wyszarpnąć się z uścisku, trzymał jednak mocno. W dodatku na tym nie poprzestał: chwycił też jej ramię i potrzęsnał Jagodą niby szmacianą lalką.

– Oszalałeś?! – warknęła, odpychając go. – To się chyba nazywa napaść!

– Ja oszalałem? Coś poluje nocą w odludnych miejscach na warszawskie czarownice mieszkające poza enklawą. A ty co robisz? Spacerujesz nocą w odludnym miejscu, poza enklawą – wycedził. Zazwyczaj całkiem nieźle panował nad wyrazem twarzy, ale teraz jego mina wyrażała wściekłość. Nie rozluźnił uchwytu, wciąż mocno zaciskał palce na ręce Jagody. – To coś niemal rozerwało trzy czarownice na strzępy. Masz cholerne szczęście, że jeszcze żyjesz.

– Nie. Cholerne szczęście ma ta wiedźma, którą faktycznie zaatakował – syknęła, po czym wyrwała mu się z uścisku.

Wiedziała, że Mario ma sporo racji, nie zamierzała jednak tego przyznawać ani wdawać się w szczegóły.

– Demon.

– Jaki demon?

– To był demon – powiedział Mario. – Przynajmniej tak podejrzewam. Na miejscach zbrodni użyto mrocznej magii, a ciała naprawdę wyglądały, jakby coś je rozszarpało. Znaleźliśmy dziwne ślady. Pazurów i zębów. To, co widziałaś, do tego pasuje.

Milczała przez chwilę, masując ramię.

Demon.

– W pełni materialny – wyszeptała i choć jej głos brzmiał spokojnie, była daleka od opanowania.

Istniały różne teorie na temat pochodzenia demonów – a dokładniej tej ich odmiany, która nie wpisywała się w folklor i nie egzystowała od dawien dawna u boku śmiertelników, kryjąc się przed ich oczyma. Zdaniem niektórych demony przybywały z innego, równoległego świata. Kolejna hipoteza głosiła, że były bytami astralnymi, które czasem na skutek działania magii zyskiwały formę cielesną. Niezbyt popularna teoria wiązała ich pojawienie się z samą magią: zgodnie z nią demon nie istniał, póki

nie został stworzony przez czarodziejów. Wreszcie wedle starej legendy, którą Jagodzie opowiedział ktoś – nie pamiętała już kto – gdy była małym dzieckiem, niegdyś żyły pośród śmiertelników, ale setki lat temu zamknięto je w czymś na kształt enklawy.

Tak czy inaczej, czasem pojawiały się w świecie niemagicznych. Były to przypadki sporadyczne, ale niemal zawsze kłopotliwe. W niektórych miejscach dochodziło do „samoistnych manifestacji”, taki demon był jednak nie w pełni materialny, a jego możliwości pozostawały ograniczone. Jagoda czytała też historię o demonie, który prawdopodobnie został związany w starożytnym grobowcu, po czym – uwolniony w okolicach siedemnastego wieku – zaczął siać spustoszenie.

Demon mógł również zostać przywołany – czy też stworzony – przez maga. Rozpowszechnianie wiedzy na ten temat było jednak tępione i bezwzględnie zakazane.

– Tak, w pełni materialny – powtórzył Mario. – Nie rozerwał cię na strzępy tylko cudem – skwitował ponuro. – Idziemy.

Ruszyła za nim, wytrącona z równowagi. W całym swoim życiu miała do czynienia z demonem raz, jako nastolatka. W dodatku był to demon nie w pełni materialny i raczej słaby, ale i tak narobił sporo problemów jej i Wawrzyńcowi. Ledwo uszli wtedy z życiem, mimo całego talentu jej starszego brata.

Naprawdę miała dziś szczęście. Może napastnik nie był w pełni sił albo klątwa zadziałała silniej, niż powinna.

– Ktoś musiał go przywołać – wyrzuciła z siebie, gdy zbliżyli się już do bloku, w którym mieszkała. Światło w pokoju Soni się paliło. Albo nie mogła spać, albo jednak czekała na powrót nauczycielki. – Nasyła go na te kobiety, żeby... się wzmocnił?

– Prawdopodobnie – mruknął Mario, przystając. – Zostawia aurę wskazującą na... kradzież sił życiowych. Nie wychodź z domu po nocy, jasne? Nie bez powodu apelujemy o to od trzech dni.

– Jasne – obiecała. Z pewnością nie planowała wychodzić już z mieszkania po zmierzchu. Ani pozwolić na to uczennicy. Choćby miała ją przywiązać do kaloryfera.

– Jagoda... – Mario się zawahał. – Czy twoja... rodzina... nie miała ostatnio kontaktu z Calebem Blythe'em?

Czarownica, która już zamierzała się odwrócić i ruszyć do klatki, zamarła. Coś zimnego przekręciło się jej w żołądku, a potem wypełniło żyły lodem. Spojrzała Mariuszowi w oczy, starając się nie okazać niepokoju. Lata ćwiczeń w tłumieniu emocji i panowaniu nad sobą sprawiły, że gdy przemówiła, głos miała spokojny, może odrobinę zabarwiony zaskoczeniem.

– Z Uczniem Czarnoksiężnika? – spytała. – Zniknął całe lata temu. Babka pewnie dałaby radę się z nim skontaktować, ale wątpię, by to ostatnio robiła. Skąd pytanie? Sądzisz, że to on przywołał tego demona?

– Mam informację, że przybył do Polski – odparł Mario niechętnie. – A potem zaczęły się te ataki. Zdumiewający zbieg okoliczności, prawda? I... nie powtarzaj tego nikomu, proszę.

– Nie powtórzę.

– Gdyby próbował się z tobą skontaktować, powiadom mnie.

– Ze mną? – zdziwiła się, tym razem całkiem szczerze.

Caleb znalazł się na jej progu, ale tylko dlatego, że łączyła ich umowa. Umowa, o której Mario nie miał pojęcia. Jediną osobą wiedzącą, że Jagoda rozmawiała z Uczniem Czarnoksiężnika w ostatnich miesiącach, była babka. A Joanna Wilczek pilnie strzegła swoich sekretów.

Dlaczego w takim razie Olcha podejrzewał, że Caleb mógł próbować nawiązać kontakt z Jagodą?

– Czemu sądzisz, że miałby się ze mną kontaktować? Chyba prędzej z moją babką, chociaż też nie wiem po co...

– Znałaś go, gdy byłaś dzieckiem.

– To było ponad dwadzieścia lat temu! Równie dobrze mógłby się odezwać do Sebastiana albo Liliany...

Nawet go nie pamiętała. Jedynym wspomnieniem z dzieciństwa, które mogło dotyczyć Caleba, był widok nastolatka wędrującego przez ogród posiadłości Wilczków za prababką. Było to też jedyne wspomnienie Jagody dotyczące samej prababki.

Mimo to Mario nie wydawał się przekonany i Jagoda czuła, że coś jest nie tak. Olcha wiedział za

wiele. Czyżby ktoś zobaczył Caleba na jej osiedlu...?

– Twoje mieszkanie jest dobrze zabezpieczone? – spytał, unosząc głowę, by spojrzeć ku oknom.

– Tak. Osłony są mocne.

Ulga z powodu zmiany tematu była jednak krótkotrwała. Kolejne słowa Olchy sprawiły, że Jagoda zapragnęła się zdematerializować. I szczerze żałowała, że teleportacja nie jest tak prosta jak w świecie Harry’ego Pottera.

– Wolałbym je sprawdzić – mruknął. – Nie wiemy, czy demon nie przyjdzie twoim tropem.

Niektóre ich rodzaje upierają się na... konkretną ofiarę.

– Byłeś tam – przypomniała, starając się nie okazać paniki.

Co zrobiłby Mario, gdyby w jej mieszkaniu znalazł Ucznia Czarnoksiężnika? Może nie miałby powodów, by go aresztować, ale zadawałby dużo niewygodnych pytań, a jego ludzie pewnie prędzej czy później rozsiałyby plotki.

– Pół roku temu.

– Nic się nie zmieniło – uparła się. – Standardowy czar ochronny trzeciego stopnia i dodatkowo osłona drugiego. Poza tym znaki wyryte na parapetach i progu. Do tego autorska kłątwa i drzwi antywłamaniowe. Dodam dziś sól, jeśli to cię uspokoi. Ale do mojego mieszkania naprawdę trudno się dostać, niezależnie od tego, czy jesteś człowiekiem, czy demonem.

Mario zmarszczył brwi. Przypatrywał się jej, wyraźnie nieprzekonany, a Jagodę ogarniała coraz większa desperacja.

– Moja babka jest specjalistką od zabezpieczeń – przypomniała pośpiesznie. – Tak jak mój brat.

Nauczyli mnie podstaw lata temu, a Sebastian osobiście pomagał mi stawiać ochronę. Jest w pełni stabilna i regularnie doładowywana.

– Moglibyśmy dodać coś od siebie...

– O nie – zaprotestowała, tym razem nie tylko dlatego, że na górze przebywał Caleb. – Nie będziesz rzucać żadnych czarów w moim mieszkaniu!

Mariusz pokręcił głową, ale się nie kłócił. Pewnie spodziewał się takiej odpowiedzi. Jagoda mu nie ufała i miała ku temu powody. Stawiając dodatkowe osłony, mogliby podrzucić też jakąś niespodziankę. Na przykład sprawić, że magia ochronna nie uwzględniałaby konkretnej osoby. To pozwoliłoby Mariuszowi w razie potrzeby z łatwością przeszukać jej mieszkanie tak, by się o tym nie dowiedziała.

– Chodźmy.

– Dokąd? Jesteśmy pod moją klatką – uświadomiła go. Czy Mario naprawdę planował odprowadzić ją pod drzwi? Niepokój Jagody narastał.

Czy Olcha coś podejrzewa?

– Tak, a ja mam zamiar się upewnić, że wejdiesz do mieszkania i zamkniesz za sobą drzwi – oznajmił.

Jagoda zacisnęła zęby i pośpiesznie wsunęła klucz do zamka. Początkowo planowała zatrzasnąć Mariuszowi przed nosem drzwi od klatki, ale złapał je, ledwo przekroczyła próg.

– Nie zaproszę cię na kawę – oświadczyła cicho, gdy pokonali dwa piętra i dotarli pod jej mieszkanie.

Mario uśmiechnął się krzywo.

– Pewnie doprawiłabyś ją cyjankiem – stwierdził. Mimo to nie zamierzał się wycofywać.

Jagoda zakłęta w myślach i otworzyła drzwi. Caleb przecież nie czekał na nią za progiem. Za to...

Błyskawicznie weszła do przedpokoju, stawiając osłony w tej samej sekundzie, w której się uniosły, by ją przepuścić. Od ich starcia Blythe prawdopodobnie nie używał magii, ale gdyby to zrobił, istniała szansa, że Mario, stojąc tuż przy drzwiach, mógłby wyczuć jego moc w momencie zdjęcia zabezpieczeń. Czy dlatego przyszedł tu za nią?

Nie wpadaj w paranoję, nakazała sama sobie, zamykając za sobą najpierw drzwi, a potem oba zamki. Sonia wypadła ze swojego pokoju ledwie chwilę później.

– Gdzieś ty była?!



– Szukałam cię – poinformowała Jagoda, obracając się ku dziewczynie. – Nie wracałaś. Nie odbierałaś telefonu.

Niepokój na twarzy Zawickiej zamienił się w zdumienie.

– Mnie?

– A kogo? – zirytowała się Jagoda. Miała ochotę nawrzeszczyć na Sonię. – Przebywałaś na zewnątrz po zmroku, choć w Warszawie grasuje morderca, a do tego ignorowałaś wiadomości. Myślałam, że coś ci się stało.

– Ja... ja byłam na randce – wydukała Sonia, spuszczać wzrok. Wyglądało na to, że ogarnęło ją jeśli nie poczucie winy, to przynajmniej zakłopotanie. – Przepraszam. Pewnie powinnam dać znać.

– Powinnaś. A od jutra chodź na randki tylko w dzień – mruknęła Jagoda, kierując się do swojego pokoju. – Doszło do kolejnej napaści, tutaj, w parku.

Może i Mario kazał jej nie wspominać o Calebie i demonach, ale na pewno miała zamiar ostrzec Sonię przed niebezpieczeństwem. Zwłaszcza że najwyraźniej demon uczynił ich okolicę swoim obszarem łownym.

– O mój... Jak? Dlatego tak długo nie wracałaś? Czy...

– Chodź do mnie – przerwała jej Jagoda. – Wyjaśnię ci. Nie chcę budzić C... naszego gościa.

– Ale... – Sonia się zawahała. – Dlatego dzwoniłam. Słuchaj, on gdzieś znikł. Gdy wróciłam, już go nie było.



ROZDZIAŁ 5

**PANI ZAKŁĘTEGO DOMU**

Starcie z Calebem. Kłótnia z Sonią i obawa o jej bezpieczeństwo. Walka z demonem i czarownica we krwi, co do której Jagoda nie była pewna, czy przetrwa noc. Rozmowa z Olchą. Wreszcie zniknięcie Blythe'a. To wszystko razem stawało się ciężarem nie do udźwignięcia. Jagoda była wykończona zarówno psychicznie, jak i fizycznie – i nie wiedziała, co robić.

Widok istoty z parku sprawił, że uwierzyła w niewinność Caleba. Teraz nieobecność czarnoksiężnika niemalże ją przekonała, że miał coś wspólnego z tą napaścią. Może nie zabijał osobiście, ale mógł przywołać demona. Wszystko zdawało się pasować. Zabójstwa zaczęły się mniej więcej wtedy, gdy Blythe przybył do Warszawy. Twierdził wprawdzie, że do pierwszego doszło, nim dotarł do stolicy, ale nie było na to żadnego dowodu. Uczeń Jacoba Reda z pewnością potrafił przyzwać demona.

Jagoda biła się z myślami. Jeżeli Caleb był mordercą i opuścił jej dom, nie była mu już nic winna. Przecież na samym początku zastrzegła, że nie wmixa się w żadną czarnomagiczną aferę. Tylko w jakim stopniu tak naprawdę pętało ją złożone przyrzeczenie? Czy jeśli spróbuje powiadomić Mariusza Olchę, własna magia znów obróci się przeciwko niej?

I czy chciała go powiadamiać? Przetrzęsnałby jej mieszkanie – co zapewne nic by nie dało; Blythe nie był na tyle głupi, by zostawić tu coś ważnego – a potem prawdopodobnie wykorzystał tę sprawę do własnych interesów. Udowodnił już, że nie mogła mu ufać. Poprzednie próby współpracy jasno pokazały, że Mariusz oczekuje szczerości i wsparcia, sam jednak gotów jest oszukiwać, knuć za plecami i zerwać zawarty układ w dowolnym, dogodnym dla siebie momencie.

Nie położyła się. Wiedziała, że nie zaśnie mimo wyczerpania walką. Sprawdziła osłony otaczające mieszkanie, a potem usiadła na podłodze sypialni i spróbowała medytować. W przeszłości wielokrotnie pomagało jej to w trzymaniu emocji na wodzy, ale teraz nie przyniosło efektu. W głowie Jagody rozpętała się burza i za nic potrafiła się wyciszyć.

Zawarła umowę z czarnoksiężnikiem. By ratować siebie, swoją rodzinę, wszystkich, którzy mogli paść ofiarą mrocznej czarodziejki. Teraz płaciła za to cenę.

Czy było warto?

Dochodziła czwarta nad ranem, gdy ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Jagoda, choć odrętwiała od długiego siedzenia w pozycji lotosu, poderwała się błyskawicznie. Walcząc ze słabością nóg, w paru susach pokonała tonące w mroku sypialnię i przedpokój, po czym dopadła wejścia. Drzwi pokoju Soni się otworzyły, zaniepokojona dziewczyna wyjrzała na korytarz. Jagoda przytknęła oko do wizjera, ktokolwiek stał na progu, nie zapalił jednak światła.

– Kto tam? – spytała. Sięgnęła do osłon mieszkania, by się upewnić, że pozostały nienaruszone. Palce prawej dłoni wygięła niemal odruchowo, w geście rozpoczynającym tkanie jednej z jej ulubionych kłatw. Tej samej, którą potraktowała wcześniej demona.

– To ja. Otworzysz czy mam spać na wycieracze?

Głos Caleba wcale jej nie uspokoił. Po chwili wahania otworzyła drzwi, ale nie ściągnęła osłon. Blythe mógł bez przeszkód wyjść, nie mógł jednak wejść z powrotem bez zgody właścicielki. Spróbował przekroczyć próg i zetknął się z niewidzialną barierą.

– Co do...

– Gdzie byłeś? – spytała cicho, nie chcąc ściągnąć uwagi sąsiadów. Namacała włącznik światła. Gdy przedpokój zatonął w jasnym świetle, Caleb odruchowo przymknął oczy.

– Przepraszam, mam, że wracam późno z imprezy, to się więcej nie powtórzy – zakpił, opierając się o framugę. Zdawał się zmęczony. Poza tym rany musiały mu dać w kość, bo był blady, a na czole błyszczały mu krople potu. Jagoda nie dostrzegła jednak krwi ani śladów wskazujących na to, że ponownie wdał się w walkę.

– Gdzie byłeś? – powtórzyła.

– Naprawdę mam ci się tłumaczyć? – mruknął. – Nie przyjechałem do Warszawy bez powodu. Szukam czegoś, miałem sprawę do załatwienia.

– Gdzie. Byłeś.

– Będziemy o tym rozmawiać na korytarzu? – spytał, wymownym gestem wskazując drzwi sąsiadów.

W innym wypadku to wystarczyłoby, aby przekonać Jagodę. Wścibska sąsiadka z naprzeciwka

była prawdziwym utrapieniem, a gdyby obudziła się i usłyszała rozmowy na klatce schodowej, natychmiast podbiegłaby podsłuchiwać, a potem zrobić awanturę.

Jeżeli jednak Caleb stanowił zagrożenie, Jagoda nie miała zamiaru wpuszczać go za próg. Nie zdołałaby stawić mu czoła w takim stanie.

– Dziewczyna w parku – wycedziła. – Doszło do ataku. Akurat gdy zniknąłeś. Przypadek?

Z twarzy Caleba odpłynęła resztką krwi.

– Gdzie?

– Park Szcześliwicki. Ledwo kilka minut stąd... hej, a ty dokąd?

Niemalże odruchowo wyciągnęła ręce i chwyciła Blythe'a za łokieć, gdy się odwrócił. W tej chwili, gdyby zechciał, mógłby bez trudu wyciągnąć ją z mieszkania. Spojrzał jednak na nią tylko przez ramię, próbując strząsnąć palce wpijające się w jego rękę.

– Sprawdzić to.

– Nie bądź głupi – warknęła. Wahala się jeszcze przez sekundę, nim pociągnęła go do siebie. – Roi się tam od WMM. Ten blok pewnie też obserwują. Jeżeli cię zobaczyli...

Caleb syknął, ale wszedł wraz z nią do mieszkania. Jagoda zamknęła drzwi i przekręciła zamki. Kątem oka dostrzegła, że Sonia wciąż stoi w progu swojego pokoju, częściowo ukryta za drzwiami. Milczała, jakby nie chcąc przypominać o swojej obecności, ale słuchała każdego słowa.

– Dlaczego obserwują ten blok? – spytał. Teraz to on wyciągnął ręce, chwycił ją za ramiona i zacisnął palce na tyle mocno, by sprawić jej ból. – Powiedziałaś im coś? Wspomniałaś, że trzymasz tu Ucznia Czarnoksiężnika?

Aury ich obojga zafalowały, starły się, ale byli teraz zbyt zmęczeni na walkę. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i w oczach Caleba Jagoda dostrzegła coś, co sprawiało, że mogła uwierzyć w zawarty przez niego pakt z demonem.

– Nic im nie powiedziałam – wycedziła. – Byłam w pobliżu. Szef WMM mnie dopadł i pytał, czy coś widziałam. I czy przypadkiem z moją rodziną nie kontaktował się Uczeń Czarnoksiężnika. Ciekawe, skąd przyszło mu to do głowy? A teraz zabierz ręce, zanim ci je połamię.

– Sądzisz, że byś zdołała?

– Wystarczy najpierw walnąć w pęknięte żebro – syknęła, zbyt wściekła, by przejąć się groźbą w jej głosie.

Caleb w pełni sił byłby silniejszy fizycznie od niej. Jagoda biegała i ćwiczyła z Igą, a jako nastolatka przez kilka lat wraz z rodzeństwem brała udział w zajęciach ze sztuk walki, ale daleko jej było do wojowniczkki. Nie zdołałaby powalić mężczyzny potężniej zbudowanego i zapewne doskonale potrafiącego się bronić, gdyby ten był w pełni sił. Blythe jednak wciąż nie wydobrał, a nocna wycieczka, dokądkolwiek się udał, wyraźnie go wycieńczyła.

– Powinnaś się zastanowić, komu grozisz, myszko – wycedził Caleb, pochylając się ku niej, ale zaraz potem opuścił ręce, uwalniając ją.

Jagoda odwróciła wzrok. Nie uciekała spojrzeniem: popatrzyła na Sonię, w stronę, z której wyczuła drgnienie magii. Pokręciła głową, a dziewczyna bardzo powoli rozprostowała palce, uwalniając nici tkanego przekleństwa. Jeszcze tego brakowało, by Zawicka zaatakowała i tym samym zwolniła Caleba ze złożonej obietnicy. Dopiero teraz Blythe również zerknął w tamtym kierunku, zaskoczony. Dotarło do niego, że w razie starcia miałyby przeciwko sobie dwie przeciwniczki. I nawet jeżeli w normalnych warunkach obie zapewne z łatwością by rozdeptały, teraz mogły mieć nad nim przewagę.

– Miałeś coś wspólnego z tym atakiem? – spytała Jagoda, znów zwracając spojrzenie na jego twarz. Nie cofnęła się. Jak dobrym był aktorem? Czy stał przed nią ktoś, kto przywoływał demony? Jakże miała szansę przyłapać go na kłamstwie? Mizerne, musiała to przyznać. Znała go za słabo, by móc wyłapać drobne oznaki świadczące o mówieniu nieprawdy. I to doprowadzało ją do szału.

– Nikogo nie zaatakowałem.

– A kazałeś zaatakować?

– Co? – Tym razem zdawał się skonsternowany. Oskarżenia o morderstwo go nie zaskakiwały, pytanie o to, czy komuś zlecił atak, już tak. – Kontrola umysłów nie należy do moich talentów.

– Dlaczego Olcha mnie o ciebie pytał? – naciskała. Zbiła go z tropu. I musiała to wykorzystać. –

Skąd mu przyszło do głowy, że możesz być w to zamieszany? Albo kontaktować się z moją rodziną? Ze mną...?

– Mario?

Tym razem to on zdołał ją zaskoczyć.

– Znasz go?

Caleb się skrzywił, a potem delikatnie ją odepchnął. Powoli, utykając, ruszył do salonu. Niewiele myśląc, Jagoda pospieszyła w ślad za nim.

– Oczywiście, że go znam. Przecież kiedyś tu mieszkałem. Joanna robiła interesy z jego dziadkiem.

– Wilczkowie i Olchowie się nie cierpią.

– Tak, i zaczęło się od tych interesów – oświadczył Caleb, opadając na kanapę. Jęknął cicho i zaczął ostrożnie zdejmować kurtkę. Potem przeciągnął przez głowę także bluzę. Bandaż spowijający jego tułów był nasiąknięty świeżą krwią.

– Brawo, rana ci się otworzyła. Coś ty wyprawiał? – spytała, podchodząc bliżej, by przysiąc na skraju posłania. Krwi, na całe szczęście, nie było dużo. – Jak mam zapewnić ci bezpieczeństwo, skoro sam robisz sobie krzywdę? Nie dam rady cię teraz uzdrowić.

– Nasze małe starcie aż tak cię wykończyło? – prychnął. Podparł się o zagłówek i przymknął oczy.

Jagoda nie zamierzała przyznawać się Calebowi, co dokładnie ją wydrenowało. Ani mówić w obecności Soni – która oczywiście pospieszyła za nimi i stała tuż przy drzwiach; Jagoda widziała jej cień – o rozmiarach niebezpieczeństwa. Oboje zadawaliby pytania, a obiecała Mariuszowi, że nie piśnie ani słowa o demonach.

Przypatrywała się Calebowi w milczeniu. Było jasne, że potrzebuje jeszcze przynajmniej kilku dni odpoczynku i paru zaklęć uzdrawiających, nim dojdzie do siebie. W jej mieszkaniu jednak przestał być bezpieczny. Jagoda była pewna, że Mario zostawił w pobliżu czujkę – na wszelki wypadek, gdyby demon próbował ją zaatakować... i gdyby zechciał się z nią skontaktować Caleb Blythe. Teraz być może wzięli go za lokatora powracającego późną porą. A może wcale nie.

Poza tym jeżeli Blythe miał coś wspólnego z tymi morderstwami, Jagoda nie zdołałaby dopilnować, by nie doszło do kolejnych. Musiałaby nie odstępować go na krok, nie wychodzić z mieszkania, nie pracować, nie spać.

– Jutro wyjeżdżamy – podjęła decyzję.

– Dokąd?

– Do domu mojej prababki.

Caleb otworzył oczy i się wyprostował. Trochę zbyt gwałtownie, bo jęknął z bólu, chwytając się za bok.

– Nie.

Będę spokojna, obiecała sobie Jagoda. Nie zacznę krzyczeć. Nie będę mu grozić. Nie nazwę go idiotą. Nie pozwolę, żeby znowu mnie sprowokował. Spokój. Jestem oazą spokoju. Jestem jebanym kwiatem lotosu na pierdolonej tafli jeziora.

– Nie chciałeś, by ktoś cię znalazł – przypomniała beznamiętnym tonem. – Jestem pewna, że WMM obserwuje mnie i to mieszkanie. Prędzej czy później Mario może złożyć mi wizytę. Już dziś ledwo pozbyłam się go przed drzwiami. Masz jakąś alternatywę? Bo to jedyne miejsce, gdzie ja mogę cię ukryć. W enklawie prababki będziesz całkowicie bezpieczny.

I przede wszystkim mieszkające tam ubożę będzie miało na ciebie oko, dodała w myślach.

– Nie chcę iść do tego przeklętego domu!

– Nie przesadzaj – skarciła go. – Chyba że jednak masz coś wspólnego z tymi napaściami? Boisz się, że tkwiąc w enklawie poza Warszawą, nie zdołasz znaleźć kolejnej ofiary?

Przypatrywali się sobie w ciszy. Jagodzie przeszło przez myśl, że jeżeli Caleb się uprze, dosypie mu czegoś do herbaty. Magia nie powinna na to zareagować – w końcu będzie działała w jego najlepszym interesie.

Tylko jak wtedy przetransportuje go pod nosem czujki?

– To przeklęte miejsce, Jagoda – powiedział Caleb, nieoczekiwanie łagodnym tonem. – Może zdawać się domem z baśni, ale takim nie jest.

Swego czasu zaproponowała mu umowę: klucz do enklawy Joanny Wilczek w zamian za późniejsze przejście tego miejsca. Sądziła, że taka propozycja skusi każdego, on ją jednak odrzucił.

Być może miał ku temu dobre powody.

– Jest – odparła. – Jest domem ze złych baśni. Takich, jakimi były na początku.

Dom wiedźmy. Dom czarnoksiężnika. Jagoda nie знаła może jego pełnej historii, ale wiedza, co się tam stało przed stu laty, wystarczyła. Enklawą władał czarownik parający się mroczną magią. W ręce prababki dom przeszedł prawem zdobywcy: gdy zadała śmierć poprzedniemu właścicielowi. Cokolwiek działo się tam wcześniej, ten budynek był miejscem, w którym używano ciemnych mocy, przyzywano demony, więziono niewinną dziewczynę, sprowadzając ją na drogę do piekła, i o który walczone na śmierć i życie.

To wszystko sprawiało, że odczucia Jagody wobec dziedzictwa prababki były ambiwalentne. Enklawa należała do niej w sposób, w jaki nie były jej własnością ani rodzinny dom, ani nawet to mieszkanie. Łączyła je magia, stara i potężna. Przerażało to Jagodę i fascynowało jednocześnie.

Jagoda rzadko odwiedzała dom wiedźmy – tak nazywała go w myślach. Głównie dlatego, że nie pasował do jej uporządkowanego życia, które budowała przez ostatnich parę lat.

– I chcesz, żebyśmy tam pojechali. Do domu ze złych baśni – upewnił się Caleb.

Jagoda wygięła wargi w gorzkim uśmiechu.

– Jestem wiedźmą rzucającą klątwy, a ty potężnym czarnoksiężnikiem, Blythe. Dom z mrocznych baśni to miejsce dokładnie dla nas.

\*

Jagoda wyszła z domu skoro świt. W osiedlowym sklepiku zrobiła zakupy – ubożę nie wybaczyłoby jej, gdyby się pojawiła bez mleka – i obeszła okolicę, starając się zorientować, czy w pobliżu nie czuć magii. Zdawało się jej, że owszem, ale ślad był albo stary, albo zbyt dobrze zamaskowany, aby mogła za nim podążać.

Przypadkowy mag? Ludzie Olchy czatujący na demona? Ochroniarz od Sebastiana? A może demon lub jego pan, szukający jej... albo Caleba? Tę ostatnią teorię odrzuciła po chwili zastanowienia. Większość demonów nie mogła chodzić po świecie w blasku dnia, z kolei czarnoksiężnik, jeśli kręcił się teraz wokół niej, równie dobrze mógłby pójść prosto do WMM. Nawet jeżeli grasował w pobliżu, nie powinien znowu czegoś próbować tuż pod jej blokiem.

Czuła się obserwowana, mogła jednak ponosić ją wyobraźnia, bo w pobliżu nie dostrzegła nikogo podejrzanego. Ukradkiem zerknęła po oknach, czy ktoś nie spogląda zza firanki, ale stała pośród wielopiętrowych bloków, przedsięwzięcie było więc z góry skazane na niepowodzenie.

Gdy wróciła, Sonia, wciąż nieprzyzwyczajona do rannego wstawania, wywlekła się właśnie ze swojego pokoju w piżamie, a pogońiona przez nauczycielkę, ruszyła do łazienki, klnąc pod nosem. Caleb też już nie spał: kiedy Jagoda zajrzała do salonu, stał przy regale, przyglądając się książkom. W ostatnich dniach korzystał z jej biblioteczki bez krępacji, a że gdy czytał klasykę albo powieści fantastyczne, nie domagał się uwagi, nie próbowała protestować.

– Czyżbyś chciał coś pożyczyć?

– Kto wie. – Wzruszył ramionami i się cofnął. – W domu Joanny można umrzeć z nudów. Najmłodsze książki w jej bibliotece mają chyba z dwieście lat. Poza tym skandalicznie zaniedbała takie sprawy jak kupno telewizora, konsoli czy pakietów streamingowych.

– I tak nie ma tam sygnału telewizyjnego ani internetu – odparła, siadając na fotelu.

– Jak mówiłem: śmiertelna nuda – oświadczył marudnym tonem. – Obiecałaś, że obejrzymy Dobry omen, a teraz? Nici.

– Daj spokój. – Miała wrażenie, że od chwili, w której zapowiedziała, że musi się przenieść do enklawy prababki, Caleb stał się podwójnie nieznośny. Niechętnie ustąpił przed jej argumentami, ale zaczął się zachowywać niewiele lepiej od nastolatka, który ma spędzić wakacje na wsi. – Albo brak Dobrego omenu, albo prędzej czy później znajdzie cię tu Mario.

Mario lub „przyjaciół”, który usiłował wydrzeć Calebowi serce.

– To trudny wybór, ale Olcha prawdopodobnie próbowałby mnie aresztować za samo istnienie – stwierdził Blythe, o dziwo poważniejąc. Przysiadł na podłokietniku fotela. – Nigdy nie sądziłem, że tam wrócę.

– Nigdy nie sądziłam, że będę gdziekolwiek zabierać Caleba Blythe’a.

– Ucznia Czarnoksiężnika – sprostował.

– Nie powiedziałam tego.

– Ale pomyślałaś.

– Nie wiesz, o czym myślę.

– Pewnie o tym, że będzie ci mnie brakować?

– O tym, że odetchnę z ulgą, kiedy znikniesz – odparowała. I naprawdę przyjęłaby to z ulgą: niepewność co do tego, w co był wplątany, to jedno, ale poza tym wprowadzał w jej życie za wiele chaosu.

Pochylił się ku Jagodzie, aż znalazł się zdecydowanie za blisko, aby mogło to być dla niej komfortowe. Powstrzymała się przed reakcją, niemal pewna, że zrobił to tylko po to, by ją wytrącić z równowagi – i, do diabła, udało mu się!

– A myślałem, że zaczynamy się zaprzyjaźniać – zamruczał.

Drzwi łazienki trzasnęły, po mieszkaniu poniósł się głos Soni i zaledwie sekundę później dziewczyna stanęła w progu salonu.

– Okej, jestem gotowa, żeby ruszać! Aaa... sorry, zły moment. To ja czekam u siebie!

Jagoda poderwała się, z trudem powstrzymując syknięcie pełne złości, niepewna, czy bardziej zirytował ją komentarz uczennicy, czy śmiech Caleba.

\*

Jagoda nie była stuprocentowo pewna, czy Mario pozostawił czujkę przy jej mieszkaniu, ale wolała nie ryzykować, że ktoś zobaczy Caleba albo pojedzie za nią do domu prababki. Jako pierwsza blok opuściła więc Sonia. Wsiadła w samochód Jagody, by później pozostawić go pod parkiem i udać się na długi spacer.

Czarownica wyszła jako druga, pół godziny później, i skierowała się na przystanek tramwajowy. Podjechała pod centrum handlowe, gdzie pokręciła się jakiś czas, a wreszcie, kiedy upewniła się, że zgubiła ewentualny ogon, udała się po auto. Przy jednej z bocznych uliczek zgarnęła Caleba, który opuścił mieszkanie pod osłoną zaklęcia. Jak sam twierdził, nieomal niewykrywalnego.

Miała nadzieję, że nie przeceniał swoich umiejętności.

Na drodze do Bromierzyka, nieistniejącej już wsi położonej kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy, Jagoda co rusz zerkała we wsteczne lusterko. Nikt jednak za nimi nie jechał. Albo myliła się i Olcha nie sądził, że demon wróci skończyć dzieło, a cała szopka była niepotrzebna, albo znów udało jej się zgubić ogon.

Pierwsze kilka minut jazdy minęło w ciszy. Blythe siedział z odchyloną głową i półprzymkniętymi oczyma: wczorajsza „wycieczka” i zaklęcie ukrywające przed wzrokiem postronnych musiały go kosztować naprawdę sporo. Rano Jagoda rzuciła na niego czar leczący, ponownie zasklepiając rany, ale obrażenia wciąż dawały się mu we znaki. Wiedźma sądziła, że zasnął, ale gdy zbliżali się do wyjazdu z miasta, Caleb przerwał milczenie.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? W domu Joanny?

Zawahała się. Odpowiedź na to pytanie była skomplikowana.

– Tak – mruknęła w końcu. – Znalazłam.

Informacje o czarodziejce, na którą prababka przed wiekiem rzuciła klątwę stuletniego snu. To i wiele, wiele więcej. Historię, której nawet po tylu miesiącach nie potrafiła wyrzucić z pamięci.

Jagoda powtarzała sobie, że ta opowieść nie ma już znaczenia. Los czarowniwej czarodziejki i dzieje prababki należały do przeszłości. W tamtych czasach działo się wiele złego i cokolwiek spotkało Izabelę i Joannę, nie było gorsze niż to, przez co musiały przejść dziesiątki tysięcy ludzi w Polsce i całej Europie.

A jednak dręczyło ją to bardziej, niż powinno.

– Było warto?

– Nie bardzo rozumiem.

– Informacje, do których dotarłaś – wyjaśnił Caleb. Skupiała się na drodze, czuła jednak na sobie jego wzrok. – Były warte umowy z Uczniem Czarnoksiężnika?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Na razie nie mam pojęcia, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi – odparła sucho, skręcając w jedną z bocznych uliczek.

– Kim była ta biedna dziewczyna? Mam na myśli... ofiarę Joanny.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie. W pierwszej chwili miała chęć spytać, skąd Blythe wie o istnieniu dziewczyny. Potem uświadomiła sobie, że po pierwsze, na podstawie informacji, jakich mu udzieliła, mógł się domyśleć tego i owego, a po drugie o całej sprawie pisano przecież w gazetach. Nie tylko krajowych. Była to jedna z tych historii, które prasa kochała: czarna magia, stuletni sen, walka na przedmieściach, kilka zgonów i wreszcie szczęśliwy finał. O aferze rozpisywano się tygodniami, co z jednej strony przełożyło się u Jagody na ruch w interesie, a z drugiej przysporzyło jej sporo kłopotów i niechcianego zainteresowania.

Nie wierzyła, że Blythe o tym nie słyszał. Zwłaszcza jeśli zaplanował podróż do Warszawy. Mógł łatwo odgadnąć, kto rzucił zaklęcie na Izabelę.

– Sprawdzasz mnie?

– Może trochę – przyznał bez oporów. – Ale naprawdę jestem ciekaw. Była taka, jaką ją przedstawiała prasa? Zaprzedała duszę demonom?

Mocniej zacisnęła palce na kierownicy. Dlaczego tak go to interesowało?

Pomyślała o Izabeli. O jej potężnej mocy, której źródłem była czarna magia, może też demoniczne pakt. O tym, jak silny był Blythe, który mimo ran zdołał otworzyć portal...

– Była szalona. I na pewno stosowała czarną magię.

– Ciekawe, że Joanna jej nie zabiła.

– Nie masz o niej najlepszego zdania – odparła wymijająco.

Caleb niby nie zadał pytania, ale ono i tak zawisło w powietrzu. A Jagoda nie miała najmniejszej ochoty wyjaśniać mu, kim naprawdę była Śpiąca Królowna i dlaczego Joanna Wilczek Starsza zesłała ją w otchłań stuletniego snu.

– Byłem jej uczniem ponad cztery lata. Miałem okazję poznać ją lepiej, niżbym chciał.

Na końcu języka miała pytanie, czy prababka traktowała go aż tak źle. Nie odezwała się jednak. Czuła, że nie ma do tego prawa. Sama знаła prababkę jedynie ze skąpych opowieści rodzinnych.

A przynajmniej tak było kiedyś. Choć wciąż nie otworzyła dzienników Joanny, teraz była też opowieść domowika, księgi z enklawy i ukradzione wspomnienie. Właśnie one sprawiały, że czuła, iż Joanna Wilczek mogła być złą nauczycielką dla młodego chłopaka, nieomal całkowicie na nią zdanego. Nawet jeżeli nie z okrucieństwa, to dlatego, że nie potrafiła inaczej.

– Nie miałeś szczęścia do nauczycieli.

– Mówisz o Jacobie? – rzucił i Jagoda zaklęła w myślach. Próbowwała zrećznie zmienić niewygodny temat, a zamiast tego zamotała się jeszcze bardziej. – Nie zapytasz mnie, czy asystowałem mu przy jego... eksperymentach? Czy nie zabijałem i nie torturowałem tych dziewcząt razem z nim?

– Nie.

– Nie?

– Nie – powtórzyła. – Nie wiedziałabym, czy mówisz prawdę.

A gdyby się przyznał, nie miałyby pojęcia, co dalej. Sama deklaracja, złożona w takich warunkach, nie wystarczyłaby, aby Jagoda mogła zrobić cokolwiek w celu ukarania Caleba za zbrodnię. Co gorsza, przyrzeczenie wciąż by ją zobowiązywało. Dopóki nie odzyskał pełni sił, a ona nie miała dowodów, że para się czarną magią, była mu winna przysługę. I musiała dbać o jego bezpieczeństwo.

– Nie jestem święty. Ale nie pomagałem mu w dręczeniu ofiar.

Milczała. Chciała, bardzo chciała, by była to prawda. Aby nie okazało się, że pomaga potworowi



w ludzkiej skórze. Lecz przecież nawet jeżeli nie brał udziału w eksperymentach, mógł o nich wiedzieć. Mógł pomagać w chwytaniu „obiektów”. W myleniu tropów.

– Chyba nie powinno mnie dziwić, że mi nie wierzysz? – rzucił, a gorycz w jego głosie zaskoczyła Jagodę.

– Prawie cię nie znam – odparła, nagle czując potrzebę wyjaśnienia swojej podejrzliwości.

Chociaż czy nie była ona oczywista? Blythe terminował u najpotężniejszego maga ostatniego stulecia, geniusza cenionego na całym świecie, który ostatecznie okazał się bestią i zwyrodnialcem. Zapewne połowa magicznej populacji z tego powodu traktowała Caleba z rezerwą. Jagoda pewnie nie podchodziłaby do tego w ten sposób, gdyby nie fakt, że w jej życie wkroczył stosunkowo niedawno, w okolicznościach niesprzyjających budowaniu wzajemnego zaufania.

– Można powiedzieć, że znamy się od dwudziestu paru lat – rzucił. Powrócił do swojego zwykłego tonu: zabrzmiało to niemal żartobliwie.

– Z dwudziestoletnią przerwą – wytknęła. – Nie pamiętam cię. A nawet gdybym pamiętała? Co z tego? Ludzie się zmieniają.

Była dzieckiem, gdy uczył się u prababki, a stosunki obu Joann Wilczek dało się opisać facebookowym „to skomplikowane”. Podobno prababka u schyłku życia odwiedzała córkę, ale raczej sporadycznie, Jagoda zakładała więc, że jako dziecko nie widywała Blythe’a zbyt często.

– To prawda – przyznał w zamyśleniu. – Zmieniłaś się. Było cię wszędzie pełno. Łatwo się śmiałaś, łatwo się złościłaś.

– Tego też nie pamiętam – skłamała.

– Masz słabą pamięć.

– Być może.

Blythe westchnął.

– Dobrze, porozmawiajmy o czymś innym. Dlaczego wyprowadziłaś się z domu Wilczków?

Zacisnęła wargi, tak że utworzyły wąską linię. Uświadomiwszy sobie, co robi, rozluźniła mięśnie twarzy, starając się przybrać obojętną minę.

Zastanawiała się, czy Caleb, poszukując neutralnego tematu, walnął kulą w płot, czy też znów wiedział więcej, niż mówił – i ponownie ją testował.

– Dorosłam. Nie odpowiadało mi mieszkanie z babką i wujem – odparła w końcu. To nie było kłamstwo. Ot, podawała mu tylko jeden z powodów. Chęć uniezależnienia się i wyrwania spod kurateli babki i tak prędzej czy później pewnie sprawiłyby, że Jagoda opuściłaby rodzinny dom.

Śmierć Wawrzyńca i interesy wuja tylko przyspieszyły tę decyzję.

– A ty? – rzuciła, nim zdążył zadać kolejne niewygodne pytanie.

– Ja?

– Gdzie mieszkasz?

– Tu i tam – odparł wymijająco.

Oczywiście. Uczeń Czarnoksiężnika nie chciał zdradzać swoich sekretów. Jagoda uczepiła się tematu: nie dlatego, że naprawdę pragnęła wydobyć z Caleba jego tajemnice, ale by on przestał wypytywać ją.

– Żadnego miejsca, które mógłbyś nazwać domem?

– Lubię podróżować – mruknęła. – W Anglii spędzam może pięć, sześć miesięcy w roku. Należę do... pewnej grupy, która ma stałą kwaterę, ale zazwyczaj mieszkam w hotelach.

Pewna grupa ze stałą kwaterą. W uszach Jagody zabrzmiało to niemal jak „sekta czarowników z własną kryjówką, w której składają ofiary z ludzi i przywołują demony”. Odetchnęła głęboko, odpychając od siebie tę wizję.

– Albo w domach osób, które są ci winne przysługę.

– Może – stwierdził z rozbawieniem. – Twoje mieszkanie jest dla mnie bardzo... dogodne. Leży poza główną warszawską enklawą i zostało doskonale zabezpieczone. Nawiasem mówiąc, dlaczego wybrałaś taką lokalizację?

Większość magów decydowała się na zamieszkanie w jednej z enklaw: obszarów dla wtajemniczonych. Niektóre bogate rodziny magicznych miały domy w innych częściach miasta – jeżeli

było je stać na odpowiednie zabezpieczenia.

Mieszkanie na zwyczajnym osiedlu nie było czymś zupełnie niespotykanym, ale tacy jak Jagoda stanowili wyjątki. Najczęściej wybór był podyktowany związkiem z niemagiczną osobą albo posiadaniem mizernih umiejętności.

– Po pierwsze, finanse. Mieszkania w enklawie są droższe. Tutaj było mnie stać na trzypokojowe z rynku wtórnego, tam wystarczyłoby ledwo na kawalerkę.

Swoje lokum kupiła za pieniądze ze spadku po prababce i ojcu. Teraz na tę myśl poczuła się dziwnie. Krewna, niegdyś będąca tylko pustym imieniem i nazwiskiem, stała się dla niej w ostatnich miesiącach bardziej... realna. Wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej uświadomiła sobie, komu zawdzięcza własne cztery kąty.

– Po drugie... wolę, kiedy sąsiedzi nie wiedzą, kim jestem.

– Chyba rozumiem – powiedział ku jej zaskoczeniu. – Też bym wołał, żeby sąsiad nie wiedział, że za ścianą mieszka Uczeń Czarnoksiężnika.

– Nie mam aż tak złej reputacji jak ty, ale zgadza się, chodzi o anonimowość.

Jej rodzinę powszechnie znano. Mogłaby skończyć, mieszkając drzewi w drzwi z sekretarką brata albo funkcjonariuszem poszukującym haków na wuja. Niektórzy próbowaliby wykorzystać znajomość z Jagodą, u innych budziłaby niezdrowe zainteresowanie jako przedstawicielka wpływowej rodziny magicznej. Stałaby się obiektem plotek, ktoś pewnie donosiłby o jej poczynaniach bratu albo babce.

A przede wszystkim każde spotkanie na schodach, każdy pryszcz na twarzy, każdy wypadek wywoływałyby podejrzliwe spojrzenia. Była wiedźmą kłatw, a wszyscy wiedzieli, że na tych, którym wiedźmy kłatw źle życzą, spada pech.

Ci, którym źle życzyła mała Jagoda, mieli okazję się o tym przekonać.

„Wiedźma Jaga”.

„Uważaj, bo cię przeklnie”.

– Nie cierpię tego miejsca – wyznał Caleb, gdy dotarli na skraj opuszczonej wsi, od kilkunastu lat powoli pochłanianej przez las.

Pośród drzew widać było pozostałości po chałupach: zarośnięte fundamenty, resztki kamiennych schodków, krzewy, być może rosnące niegdyś w czymś ogródku. Blythe zwrócił spojrzenie ku podniszczonej murowanej piwniczce, obecnie służącej pewnie jedynie dzikim zwierzętom. W oddali wznosiła się ściana modrzewi i sosen.

– Wyczuwasz tu magię? – spytała Jagoda, wyciągając siatkę z tylnego siedzenia. Też czuła się w opustoszałej wiosce nieswojo. I nijak nie potrafiła tego wyjaśnić. Nie wyczuwała żadnych zaklęć, ale zawsze gdy się tu pojawiała, przechodziły ją dreszcze i miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje.

Ktoś albo coś.

– Nie. I to naprawdę mnie niepokoi, bo jakaś musiała tu działać. Jeśli nie teraz, to kiedyś, jeszcze przed Bromierzykiem. I powinna zostawić ślad – mruknął Blythe, wodząc spojrzeniem pomiędzy drzewami. – Wolę już dom Joanny od tej wsi.

– W takim razie chodźmy.

Ruszyła ku lasowi. Caleb postępował w ślad za nią, utykając. Z pewnym niepokojem pomyślała, że enklawa może nie zechcieć wpuścić Ucznia Czarnoksiężnika. Nie dlatego, że była nieposłuszna woli Jagody. Wręcz przeciwnie: bo była posłuszna za bardzo. Wyczuwając podświadomą niechęć właścicielki, mogła zatrasnąć bramy... Jagoda jeszcze nie do końca potrafiła sobie z tym radzić.

Wyciągnęła rękę do Blythe'a, gdy zbliżyli się do enklawy. Ujął jej dłoń, a wtedy zrobiła krok w przód i pociągnęła go za sobą: przez granicę między światami.

Do domu wiedźmy.

Puściła rękę Caleba, jak tylko znaleźli się za murem, w ogrodzie otaczającym dom. Na zewnątrz ledwo skończyła się zima, szara, chłodna i ponura, niemrawo przechodząc w deszczową wiosnę. Tutaj trwała pełnia lata. Gałęzie jabłoni zwisały nisko, ciężkie od jabłek, drzewa wiśni czerwieniły się od owoców. Zieleniła się trawa. Róże kwitły na krzewach ciągnących się wzdłuż wyłożonej kamieniami ścieżki. Droga prowadziła do domu: dużego, dwupiętrowego budynku o szarych ścianach, zwieńczonego niewysoką wieżyczką.

Jagoda postąpiła parę kroków, nim się zorientowała, że Caleb nie idzie za nią. Rozglądał się, oszołomiony. Dotąd nie widziała u niego takiego wyrazu twarzy. Wyglądał jak zagubiony chłopiec, który nagle trafił do obcej krainy i nie może zdecydować, co o niej myśleć. A przecież znał to miejsce.

– Coś nie tak? – spytała.

– Nie. Tak. Nie wiem.

– Aha, to już wszystko rozumiem – skwitowała. – Wejdziemy do środka?

Poza enklawą jego dezorientacja by ją zaniepokoiła. Tutaj jednak Jagoda była u siebie. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale więzi łączące ją z tym domem były zbyt głębokie, aby bała się, że niebezpieczeństwo nadciągnie niezauważone.

Otworzyła przed Calebem drzwi, jednocześnie zdejmując zakłęcia ochronne. Wnętrze zmieniło się od czasu, gdy weszła tu po raz pierwszy. Teraz okna były pootwierane, zasłony powiewały poruszane wiatrem, w pomieszczeniach pachniało lawendą. Na starym drewnianym stole stały misa pełna owoców i wazon wypełniony polnymi kwiatami. Dom, pogrążony we śnie i stagnacji, przebudził się.

– Shit.

– Jeśli lubisz bardziej nowoczesne wnętrza, faktycznie, to może nie odpowiadać twoim gustom. Chodź na górę, pokażę ci pokój. Uważaj, w najniższym stopniu...

– ...jest kłątwa, tak, wiem – wymamrotał Blythe. – To miejsce...

– Co z nim? – spytała Jagoda, zatrzymując się przy schodach. – Byłeś tu już przecież.

– Tak, byłem. – Caleb zawahał się, jakby niepewny, jakich użyć słów. – Parę razy. O różnych porach roku. Zawsze trwała tu zima. Wszystko było... martwe.

Zmarszczyła brwi. Sądziła, że za pierwszym razem zastała tu zimowy ogród, bo dom przez lata był opuszczony. Babka umarła dobre dwie dekady temu: od tego czasu enklawa była pozbawiona pana. Jeśli Blythe mówił prawdę, trwanie zimy nie było związane z brakiem właścicielki.

Jagoda zdecydowała, że to w tej chwili nieistotne. Wspięła się na piętro, a Caleb po parunastu sekundach zrobił to samo. Otworzyła przed nim drzwi pierwszego pokoju przy schodach.

– Myślę, że możesz spać tutaj. Kupiłam ci zapasową koszulę. Tym razem bez królika. Czarną, pasującą czarnoksiężnikowi. Wpadnę w najbliższych dniach i jeżeli będziesz czegoś potrzebował, podrzucę ci rzeczy. Przyniosę ci zaraz kilka książek...

– Jest tu biblioteka.

– Tak, do której cię nie wpuszczę – stwierdziła z żelaznym spokojem. – Zamknę część pokoi.

Spojrzał na nią, trochę zaskoczony, trochę chyba rozczarowany. Przyjęła to z pozorną obojętnością. Nie znała go na tyle, by dać mu dostęp do biblioteki, w której były książki nie tylko babki, ale też wiekowego czarnoksiężnika.

– Daj mi moment, zaraz wrócę – oświadczyła, po czym zbiegła po schodach.

Szybko przecięła salon, by dostać się do jadalni: prostokątnego pomieszczenia z wielkimi oknami zajmującymi jedną ze ścian i wychodzącymi wprost na ogród.

– Domowiku! – zawołała, zamykając za sobą drzwi. Nie chciała, by Caleb przypadkiem podsłuchał rozmowę.

Ubożę jak zwykle pojawiło się zniecka. Człowieczek o splecionych włosach i gęstej brodzie zakrywającej rysy twarzy wychynął spod długiego drewnianego stołu.

– Mleko przyniosła? – spytał. Głos miał chrapliwy, nieprzyjemny.

– Przyniosłam.

Wsunęła dłoń do torby, by wygrzebać butelkę. Ubożę porwało ją i pokiwało głową ukontentowane.

– Mam też trochę innych rzeczy – oświadczyła, kładąc siatkę na stole.

W enklawie jakimś cudem zawsze było trochę jedzenia, ale nie dało się przewidzieć, co to będzie. Nigdy nie brakowało owoców i warzyw, o inne artykuły bywało jednak trudniej. Na pewno o mleko, który które ubożę uwielbiało. Jagoda przywoziła mu je więc, ilekroć tu przyjeżdżała.

– Miesiąc jej nie było – burknął oskarżycielsko domowik.

– Wiem – odparła, ani myśląc się tłumaczyć. – Przywiozłam gościa.

– Chłopiec pani Joanny.

– Pamiętasz go?

– A co mam nie pamiętać? – obruszyło się ubożę. – Pamięć to ja mam dobrą.

Przygryzła wargę. Miała do domowika wiele pytań, ale teraz nie była najlepsza pora na ich zadawanie. Musiała wrócić do Caleba. I zabezpieczyć bibliotekę oraz inne pomieszczenia.

– Rozmawialiście kiedyś? Wie o twoim istnieniu?

– Nie wie.

– Dobrze – odetchnęła. – Posłuchaj, bo to bardzo ważne. Caleb zostanie tu kilka dni. Chciałabym, żebyś go obserwował, ale mu się nie pokazywał. Nie jestem... nie jestem pewna, co może próbować zrobić. Przyglądaj mu się. Sprawdź, czy nie używa magii. Albo nie próbuje wejść do pomieszczeń, które przed nim zamknę.

– Niebezpieczny? Niebezpiecznych ludzi tu przyprowadza!

– Jestem mu coś winna, poza tym nie sądzę, żeby cokolwiek zniszczył – wyjaśniła. – Po prostu go obserwuj, dobrze? Nie ingeruj. Przyjadę pojutrze i mi wszystko opowiesz. Możesz to zrobić?

– A pewno, że mogę – mruknięła domowik po chwili wahania. – Niech jej będzie. Zaraz jedzenie podam.

– Nie trz...

Nie zdążyła dokończyć. Ubożę wpełzło pod stół i Jagoda była pewna, że znikło. Westchnęła i udała się na piętro.

Zabrała z biblioteki kilka książek. Potem obeszła sypialnię prababki, gabinet i pokój, w którym trzymała trochę własnych rzeczy, choć jeszcze nie potrafiła nazwać go „swoim”. Zamykała kolejne drzwi. Zatrzaszkiwały się, posłuszne jej woli. Caleb zdołałby pewnie je sforsować, ale musiałby je wyważyć i się przy tym natrudzić.

– Skończyłaś wytyczać mi wybieg? – rzucił Blythe ironicznym tonem, gdy do niego wróciła. Siedział na łóżku, z nogą na dosuniętym do niego krześle. Kostka musiała dawać mu się we znaki.

– Musimy jeszcze przymierzyć łańcuch – odbiła piłeczkę.

– Nie wiedziałem, że interesują cię takie zabawy.

– Na pewno nie z tobą – prychnęła, kładąc książki na stoliku. – Czego ty ode mnie oczekujesz, Blythe? Zaufania? Wyjaśnij mi, z kim walczyłeś, to może je dostaniesz.

Mierzyli się wzrokiem. Ku jej zaskoczeniu Caleb ustąpił pierwszy.

– Nie. Masz rację, nie ma powodu, żebyś mi ufała – oświadczył głosem wyzutym z emocji.

– W porządku – mruknęła, odwracając głowę. Na ułamek sekundy zrobiło się jej głupio. A przecież naprawdę nie miała powodów, by mu ufać. – Jedzenie...

– Zwykle pojawiał się tu samo, na stole w jadalni.

– Tak będzie – potwierdziła. – Zaraz... pojawi się obiad. Ale jeżeli wolisz nie schodzić...

– Zejdę.

Na dole już czekał posiłek. Domowik musiał wykorzystać artykuły, które przywiozła ostatnio, bo na płaskim półmisku leżał świeżo upieczony chleb, a obok kilka jaj na twardo. Do wazy nalano gęstej zupy warzywnej. Nie zabrakło też ciasta i sałatki owocowej. Jagodzie przyszło na myśl, że domowik musi chyba gotować regularnie – z myślą o tym, że tego dnia może się pojawić właścicielka. I poczuła się z tego powodu źle. Jakby sprawiała mu nieustanny zawód.

A może było to mylne wrażenie? Jagoda przyjechała tu zaledwie parę razy, by przejrzeć książki prababki i zbadać magię enklawy. Nadal nie rozumiała w pełni jej działania. Może raz zrobiony obiad mógł tkwić tu w piecu i przez dekadę, wciąż tak samo smaczny i gorący?

Zajęła miejsce. Blythe pojawił się, gdy zdążyła nalać sobie zupy, ukroić chleba i zabrać się do jedzenia. Wątpiła, by dziś znalazła dość czasu na gotowanie, nie zamierzała więc odmawiać sobie domowego posiłku.

– Powinniśmy coś ustalić – oświadczył Caleb, opadając na jedno z krzeseł.

Zamarła, z łyżką uniesioną do ust. Czego ten człowiek jeszcze od niej oczekiwał? Zajęła się jego ranami, ukrywała, wywiozła do cholernej enklawy. Kryła przed Olchą. Na Twardowskiego, kupiła mu nawet ubrania!

– Aha?

– Nie waż się mnie tu uwięzić – powiedział Blythe, a w jego głosie zadźwięczała stal. – Jeżeli zamkniesz przejście, zrobię, co mogę, aby się wydostać. Choćbym miał rozwalić cały ten dom.

Odetchnęła, odkładając łyżkę. Dała sobie chwilę: na dobranie właściwych słów, na uspokojenie się, przemyślenie sprawy. W pierwszej chwili żądanie Caleba ją zdenerwowało. Zaraz potem jednak dotarło do niej, że gdyby sama została gdzieś zamknięta, zdana na czyjąś łaskę i niełaskę, byłaby wściekła. Gdy Mario ją tak potraktował, miała ochotę go udusić.

– Rozumiem – odparła szczerze. – Masz rację, nie mogę cię więzić. Ale powinniśmy wyjaśnić sobie coś jeszcze. Nie zamknę przejścia. Będziesz mógł wychodzić do ogrodu, a nawet opuścić enklawę, kiedy zechcesz. Ale nie będziesz mógł tu wrócić.

– Doprawdy?

– Tak – potwierdziła. – Miałam zapewnić ci bezpieczeństwo, póki nie odzyskasz sił. Jeżeli zdecydujesz się stąd odejść, będzie to znaczyć, że je odzyskałeś, przynajmniej we własnej ocenie. Nie mogę cię chronić przed samym sobą.

Wypowiadając te słowa, czuła, że ma rację. Że w tym przypadku magia nie obróci się przeciwko niej.

I miała zamiar to wykorzystać.

– Twarda z ciebie negocjatorka – skwitował Caleb, przysuwając sobie wazę z zupą. – Tak naprawdę nie mam zamiaru stąd wychodzić. Potrzebuję jeszcze kilku dni. Wolałbym móc znów normalnie chodzić.

– Rozsądnie – odparła krótko, pochylając się nad talerzem. Przez chwilę jedli w milczeniu, ale cały czas czuła na sobie wzrok Caleba.

– Czujesz się tu chyba jak w domu – ocenił, kiedy zdążyła się już uporać ze swoją porcją.

Jagoda wzruszyła ramionami. Czy czuła się tu jak w domu? Chyba nie do końca. Ale...

– To miejsce należy do mnie.

– Myślałem, że do ciebie i twojego rodzeństwa?

Pokręciła głową.

– Nie. Okazało się, że dom zostawiła mnie – wyjaśniła, po czym potoczyła spojrzeniem po jadalni. – Może podejrzewała, że odziedziczyłam jej talent.

Gdy tylko o tym pomyślała, odżyła w niej wściekłość na prababkę. Gdyby Joanna wspomniała komukolwiek o zdolnościach prawnuczki, Jagoda i otaczający ją ludzie mogliby uniknąć wielu problemów. Jej magia należała do tych, które trudno zaobserwować i sklasyfikować, a które jednocześnie mogą łatwo skrzywdzić innych. Długo posługiwała się nią nieświadomie, nie potrafiąc w pełni kontrolować własnej mocy.

– No proszę. Czyli cała ta mała enklawa mogła należeć do mnie? – spytał Caleb.

Gdy kilka miesięcy temu nawiązała z nim kontakt, taką właśnie złożyła mu propozycję: informacje o lokalizacji domu prababki w zamian za zrzeczenie się swoich w nim udziałów. Wciąż nie umiała zdecydować, czy żałuje, że nie przystał na tę ofertę. Gdyby tak się stało, nie miałyby go teraz na głowie. Z drugiej strony myśl o tym, że mógłby przejąć ten dom, zdawała się jej dziwna.

– Ale nie należy – ucięła.

– Jeszcze jakieś oczywistości?

– Jedna. Naprawdę ciężko cię znieść, Blythe.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, wyraźnie rozbawiony.

– Pokazujesz pazurki?

– A masz nóż przy gardle? – spytała ze spokojem, sięgając po serwetkę. Miała ochotę na ciasto, ale zdecydowała, że lepiej zebrać się stąd jak najszybciej.

– Nie, ale dzień się jeszcze nie skończył.

– Na szczęście nie planuję zostać tu do wieczora. Mam spotkanie – oświadczyła i odsunęła talerz.

– Spotkanie?

– Wyobrażałeś sobie, że całe dnie spędzam zamknięta w mieszkaniu? – spytała retorycznie. – Albo, jak to ująłeś, w mrocznej jaskini?

– Może trochę – przyznał. – Nie wydajesz się zbyt towarzyska.

Nie była towarzyska. Ale to nie znaczyło, że nie miała życia prywatnego. Zresztą nawet gdyby tak było, nie przyznałaby się do tego Calebowi.

– Wiesz, gdzie co jest? Łazienka, kuchnia...?

– Pamiętam – mruknął. – Mieszkałem tutaj jakiś czas.

Zaskoczył ją. Z drugiej strony, przecież wiedziała, że prababka, choć nie odwiedzała enklawy całe lata, pod koniec życia zaczęła tu bywać. Miała wprawdzie także mieszkanie w Warszawie – babka sprzedała je dawno temu – ale dlaczego nie mogła mieszkać tu?

– To dobre miejsce do ćwiczenia niektórych zaklęć, klątw i rytuałów – wyjaśnił Blythe, najwyraźniej dostrzegłszy jej zdziwienie. Głos miał chłodny. – Zwłaszcza z uczniem trudnym do opanowania.

– Zamknęła cię tu.

Słowa wymknęły się Jagodzie, nim zdążyła się nad nimi zastanowić. Caleb uśmiechnął się do niej, ale tym razem krzywo, niechętnie, niezadowolony, że powiedział za wiele, a ona połączyła fakty.

Już rozumiała, dlaczego nie chciał pozwolić, aby zamknęła bramę.

Jak mogłaś to zrobić? – pomyślała Jagoda, zmroźona myślą o nastolatku, który tkwił tutaj wbrew własnej woli. Uwięziony w domu wiecznej zimy, martwym od dnia, w którym prababka zabiła poprzedniego pana, uwolniła przetrzymywaną tu kobietę i odeszła.

A potem zrobiła to samo co czarnoksiężnik. Zamknęła w enklawie chłopca, tak jak kiedyś zamknięto w niej młodą dziewczynę.

Nic dziwnego, że nienawidził tego miejsca.

Nic dziwnego, że uciekł od nauczycielki.

Czy prababka miała powody? Raz już Jagoda sądziła, że ta była mroczną wiedźmą. Że skrzywdziła niewinną osobę i z nienawiści sprowadziła na nią stuletni sen. Później się okazało, że sytuacja była bardziej złożona.

– Na jakiś czas – odparł. – Przyprowadziła cię tu parę razy.

Miała zamiar wstać, ale jego słowa zatrzymały ją w miejscu. Nie odezwała się. W głowie wirowało jej mnóstwo pytań, ale nie wiedziała, które zadać najpierw. Przypomniała sobie, że gdy pojawiła się tu pierwszy raz, ubożę ją rozpoznało. Znało jej imię i upierało się, że już tutaj była. Jagoda puściła to mimo uszu, uznając, że istota mówi od rzeczy. Nie pamiętała tego domu. Nie pamiętała zbyt dobrze nawet prababki, musiała rzadko ją widywać, przynajmniej w okresie tuż przed jej śmiercią. Jagoda miała wtedy sześć czy siedem lat i choć wspomnienia z tego czasu były zamazane, bynajmniej nie stanowiły w jej pamięci białej plamy.

– Kazała mi cię pilnować. Paskudne zadanie – stwierdził, uśmiechając się, choć uśmiech nie sięgnął oczu. – Po godzinie jedynym miejscem, do którego się nie dostałaś, był dach. I to nie z braku chęci.

Powoli pokręciła głową. Jej twarz skamieniała, zamieniając się w maskę. Po raz kolejny dosięgnął ją cień Joanny Wilczek. Prababka nie żyła od dwudziestu lat, a jej poczynania raz po raz dościgały Jagodę, wpływały na teraźniejszość.

W końcu, ze wszystkich pytań, jakie chciała zadać, wybrała jedno. Zdawało się najmniej ważne, a jednak to ono wypychało się gdzieś na początek.

– Dlaczego mi to mówisz?

Zawahał się.

– Nie wiem – odpowiedział. – Tak po prostu, wpadło mi to do głowy.

Kłamiesz, pomyślała. Prawdopodobnie Blythe chciał ją wytrącić z równowagi. Albo znów poddać próbie, przekonać się, jak zareaguje. Zjednać sobie sympatię, wzbudzić współczucie?

A może nie?

Mogłaby wezwać ubożę. Zapytać o swoją pierwszą wizytę tutaj. Mogłaby spytać też o Caleba – i wiedziałaby, jak długo był tu zamknięty, czego uczyła go babka, co robił. Ubożę miało dobrą pamięć i chętnie dzieliło się swoją wiedzą z panią domu.

Czy powinna?

Czy chciała?

– To nie ma znaczenia. Byłam dzieciakiem.

– Tak. Teraz pewnie nie próbowałabyś wejść na dach – przytaknęła.

Przez chwilę przypatrywali się sobie w milczeniu. W końcu Jagoda odważyła się zadać pytanie, które dręczyło ją od dawna. Być może Caleb był jedynym, który mógł na nie odpowiedzieć.

– Blythe? Czy babka naprawdę wiedziała? – spytała powoli, starannie ważąc słowa. – Że odziedziczyłam jej talent?

– Prawdopodobnie – odparł z wahaniem. – Nic mi na ten temat nie powiedziała, ale nigdy nie przyprowadziła tu nikogo z twojego rodzeństwa. Może nie zabrzmiało to dobrze, ale nie bardzo wierzę, że zostałaś ulubienicą Joanny bez powodu.

Opuściła wzrok na pusty już talerz. Nawet nie pamiętała, że była ulubienicą prababki. Obrazy w pamięci były nieliczne, zamazane. Ten dom... Od początku czuła się tu jak u siebie. Czasem się domyślała, co znajdzie za tymi czy innymi drzwiami. Drzewa w ogrodzie zdawały się znajome. Ale nie miała żadnego konkretnego wspomnienia związanego z tym miejscem. Była za młoda, aby teraz zdawały się czymś więcej niż snem.

– Ta. Też w to nie wierzę – przyznała. – Jakoś wątpię, żebym mogła ją czymś szczególnie ująć.

– Chodzi o nią, nie o ciebie. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł ująć Joannę, nieważne, jak byłby uroczy – odparł Blythe. – Ale nie dziwi mnie, że zależało jej na jedynej krewnej, która odziedziczyła po niej talent. Zawsze była dumna. Wzięła mnie na ucznia chyba tylko dlatego, że kiedy okazało się, że Wawrzyniec ma talent do magii osłon, straciła nadzieję...

Umilkł i się skrzywił. Jagoda w pierwszej chwili nie była pewna, co miał na myśli i dlaczego nagle zrobił tak skwaszoną minę.

Dopiero po dobrej minucie dotarło do niej, co naprawdę znaczyły jego słowa. Córka Joanny Wilczek odziedziczyła talent do magii ochronnej po ojcu. Obaj jej synowie, wnuki wiedźmy kłatw, władali tą samą mocą co matka. Wawrzyniec, najstarszy prawnuk, zaczął przejawiać podobne zdolności bardzo wcześnie, kiedy jeszcze jako mały chłopiec instynktownie wyczarował osłonę, spadając z drzewa. Joanna Wilczek Starsza wzięła pierwszego ucznia dopiero u schyłku życia. Zapewne sądziła, że pozostałe prawnuki również nie mają szans odziedziczyć jej zdolności. Gdy Caleb zaczął u niej terminować, bliźniaki miały zaledwie rok czy dwa. W dodatku aura Sebastiana przypominała tę Wawrzyńca, a ta Lil od małego była ledwo wyczuwalna i nie spodziewano się po dziewczynce zbyt wiele.

– Zaczęła cię uczyć, bo straciła nadzieję na ucznia ze swojej krwi. A potem... odkryła, że ja...

Caleb uśmiechnął się do niej.

– O parę lat za późno. Nie miała dość czasu, żeby cię wyszkolić. Twoje szczęście, Wilcza Jagodo.

Nie odpowiedziała. Siedziała sztywno, niepewna, co o tym wszystkim myśleć. Czy Joanna zaczęła gorzej traktować ucznia, kiedy odkryła, że jednak ktoś w rodzinie odziedziczył jej zdolności? Że za jakiś czas może przekazać swoją wiedzę komuś z własnej krwi? A może Blythe właśnie tak sądził? Czy ją o to obwiniał?

Jeżeli tak, to albo przeszło mu z wiekiem, albo dobrze to ukrywał. Był zgryźliwy i lubił kpić, ale nie odnosiła wrażenia, że czuje do niej urazę.

– Chociaż, cokolwiek by mówić, dużo mnie nauczyła – stwierdził Caleb lekkim tonem, gdy cisza się przedłużała. – Nie mogę powiedzieć, że żałuję, że do niej trafiłem. Choć może lepiej, że ciebie to ominęło?

– Lepiej? – spytała z niedowierzaniem. – Nie zaczęła mnie uczyć i nikomu nie powiedziała o mojej magii. Nie robił więc tego nikt inny. Nikt nie wiedział, że tego potrzebuję.

– Pewnie nie chciała, by babka albo rodzice znaleźli ci innego nauczyciela. To by do niej pasowało.

– Znaleźli. I zrobili to za późno – odparła, siląc się na spokój. Narastała w niej wściekłość. Jagoda zakładała, że prababka mogła coś podejrzewać na temat jej zdolności magicznych, ale nie sądziła, że miała co do nich pewność. I że celowo zataiła swoje odkrycie.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Caleb.

Jagoda używała kłatw instynktownie, odkąd była małą dziewczynką. Sama nie wiedziała, jak

wielu jej rówieśników, osób należących do służby czy znajomych ucierpiało tylko dlatego, że ją zdenerwowało. Do ilu wydarzeń doszłoby i tak, a ile spowodowały jej kłątwy? Babka zorientowała się, co się dzieje dopiero, kiedy wnuczka miała jakieś dziewięć lat i niechcący rzuciła kłątwe na brata. Ucierpiał nie tylko Wawrzyniec, ale i Jagoda, użyła bowiem za wiele energii. Przytomność odzyskała dopiero po kilku godzinach.

Nauczenie ją, w jaki sposób nie rzucać przekleństw, zajęło trzy lata. Przez pierwszy rok prawie nie była wypuszczana z pokoju, z obawy przed tym, co może zrobić. Pamiętała ten okres słabo, ale doskonale rozumiała, dlaczego Blythe mógł nienawidzić nauczycielki za uwięzienie go w enklawie. Jagoda przynajmniej miała towarzystwo Tadeusza i babki, zabierającej ją czasem do ogrodu, a także Wawrzyńca, uparcie przemykającego do siostry mimo zakazów ojca.

Oraz nauczyciela. Choć rzeczony nauczyciel, niebędący jej mistrzem w takim znaczeniu, w jakim ona była mistrzynią Soni, okazał się mało dyskretny. Babka, gdy się o tym dowiedziała, wyrzuciła go i zadbała, by nie znalazł innego zatrudnienia, plotki zaczęły się jednak rozchodzić. W konsekwencji szybko każda magiczna rodzina w Warszawie wiedziała, że młoda Wilczkówna jest nieopanowana i niebezpieczna.

W kolejnych latach Jagodzie zdarzało się stracić panowanie nad sobą. Z perspektywy czasu nie mogła nawet winić rówieśników i ich rodziców za to, że traktowano ją z nieustanną podejrzliwością. Jedynymi dziećmi, które się jej nie bały, byli bracia, siostra i Antoni. Nie zawsze umiała nad sobą zapanować, a miesiące izolacji sprawiły, że nie potrafiła dogadać się z rówieśnikami. Dopiero w wieku piętnastu lat doczekała się nauczyciela, którego faktycznie mogła nazwać mistrzem i który przez zaledwie dwa lata nauki zrobił z niej wiedzmnę kłątwe. Jako osiemnastolatka panowała nad swoimi zdolnościami, ale cieszyła się złą reputacją. I nieustannie musiała uważać, aby nie dać się ponieść emocjom. Własna magia omal nie zniszczyła jej życia – i nawet teraz, po tylu latach, Jagoda nie przestała bać się samej siebie.

Tego wszystkiego może udałoby się uniknąć, gdyby Joanna Wilczek raczyła poinformować rodzinę, że zauważyła talent prawnuczki.

– Nie miałam szczęścia, że mnie nie uczyła – wydusiła w końcu. – Jej nauki byłyby lepsze niż żadne.

– Jaga...

Podniósł się, wyciągnął ku niej rękę. Poderwała się z miejsca, uykając przed tym gestem. Rozmowa, to miejsce, jego słowa i zachowanie wytrącały ją z równowagi do tego stopnia, że pragnęła umknąć. Powiedziała za wiele. I bała się przyjąć pocieszenie, które mogło być częścią starannie zaplanowanego przedstawienia.

– Muszę iść, inaczej się spóźnię.

– Zatem miłej zabawy, Wilcza Jagodo! – zawołał za nią Caleb.

Nie odpowiedziała. Odeszła tak szybko, jak mogła, by nie wyglądało to na ucieczkę.

\*

Ktoś próbował sforsować osłony otaczające mieszkanie.

A przynajmniej takie wrażenie odniosła Jagoda.

Stała przed drzwiami na tyle długo, że sąsiadka z naprzeciwka wyjrzała na korytarz i zmierzyła ją nieprzychylnym spojrzeniem. Jagoda w końcu przekroczyła więc próg i z ulgą stwierdziła, że bariera pozostała nienaruszona. Ktokolwiek tu był, nie zdołał się przedrzeć. Wyczuwała jednak na osłonach niewielkie rysy, które teraz powoli się zasklepiały. Jakby ktoś starał się je zniszczyć albo sprawdzić, jak są mocne.

Tylko kto?

Zaglądała po kolei do pomieszczeń i upewniała się, że magia chroni wszystkie okna.

Czyżby to Mario chciał sprawdzić trwałość osłon? Możliwe – demon jak nic zwróciłby uwagę któregoś z sąsiadów. Nie wspominając o tym, że większość demonów nie mogła przebywać długo na słońcu, a wciąż trwał dzień. A może „przyjaciół” Caleba natrafił na jego ślad?

Zgarnęła z kuchni kilo soli, a potem posypała nią każdy próg i każdy parapet, szepcząc inkantację.



Był to stary, wręcz prymitywny sposób, ale wzmacniał ochronę mieszkania. Gdy skończyła, wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Soni.

– Gdzie jesteś? – spytała, ledwo dziewczyna odebrała.

– W mieście. Na randce. Przewiozłaś paczkę?

Kąciki warg Jagody uniosły się lekko na to określenie.

– Przerzucona i zabezpieczona.

– I na pewno nie zostajesz na miejscu? – upewniła się Sonia.

– Nie mogę pilnować go dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Oj, ostatnio spędzaliście razem tyle czasu, że pewnie będzie ci go brakować.

– Sonia – syknęła Jagoda, zirytowana po pierwsze słowami uczennicy, po drugie tym, że mogła mieć trochę racji.

– Ej, no co? Spoko, każda kobieta przechodzi okres, gdy lubi złych chłopców. A tobie się chyba jeszcze nie zdarzyło, skoro chodziłaś z moim bratem...

– Pewnego dnia cię uduszę i każdy sąd mnie uniewinni. O której wrócisz?

Po drugiej stronie zapadło krótkie milczenie. Sonia była tym pytaniem albo zaskoczona, albo zezłoszczona. Jagoda domyśliła się, że pewnie jedno i drugie. Kontrolowana całe życie przez rodziców, źle reagowała na próby ograniczania jej wolności.

– Ktoś nam złożył wizytę – wyjaśniła czarownica. Nie chciała Soni niepotrzebnie straszyć, ale wolała też, by dziewczyna zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. – Nie wszedł do środka, ale wiem, że tu był. Nie chcę, żebyś wracała po ciemku sama.

– Och... – W głosie Soni zabrzmiało zaniepokojenie. – Wiesz kto?

– Nie.

– Mhm... Kolega mnie odprowadzi.

– Lepiej zadzwoń do mnie, jeżeli wracałabyś późno – powiedziała Jagoda, starannie ważąc słowa. Ten „kolega” mógł jej słuchać, poza tym nie chciała, aby Sonia przyjęła postawę „na złość mamie odmrozę sobie uszy”. – Zaraz wychodzę na spotkanie z Igą i Lilianą. Wrócę koło dwudziestej pierwszej. Mogę wpaść po ciebie po drodze.

– W porządku. – Sonia ustąpiła z wyraźną niechęcią. – Dam znać.

Jagoda pożegnała się, zabrała torbę ze strojem sportowym i ponownie wyszła z mieszkania. Na zewnątrz rozglądała się przez chwilę, próbując dostrzec coś podejrzanego albo wyczuć ślady magii. Jeżeli jednak w pobliżu kręcił się niedoszły włamywacz lub ktoś wysłany przez Olchę, skutecznie się maskował.

Demony, czarnoksiężnicy, potencjalni włamywacze. Kolejne kamyczki składające się na lawinę wściekłości wobec prababki. W tych okolicznościach zapewne powinna odpuścić siłownię i knajpę, czuła jednak, że potrzebuje towarzystwa kogoś innego niż Caleb albo Sonia. Poza tym wiedziała, że jeżeli przegapi środowe spotkanie, bez bardzo dobrego usprawiedliwienia, siostra urwie jej głowę. Od dwóch lat tradycyjnie w środę najpierw spędzała dwie godziny na siłowni z Igą Wiśniewską, współpracowniczką i współlokatorką Liliany, a potem we trzy odwiedzały którąś z warszawskich kawiarni.

Chodziły do niewielkiej siłowni położonej w pobliżu jednego z przejść do głównej enklawy. Iga już siedziała w szatni, przebrana w markowy strój sportowy. Rysy twarzy, karnacja, czarne oczy i krucze, lśniące włosy zdradzały mieszane pochodzenie. Jej babka przyszła na świat w Japonii, a małżeństwo dziadków swego czasu wywołało skandal w obu rodzinach. Iga była wysoka, umięśniona i dobrze zbudowana, biły od niej upór i pewność siebie. Za sprawą swej piekielnej inteligencji siała spustoszenie na sali sądowej. Całe lata chodziła na zajęcia krav magi, a kilka miesięcy temu przerzuciła się na boks. Jeżeli do czegoś się brała, chciała być w tym najlepsza. I była, w naprawdę wielu dziedzinach.

Ale nie w magii. Chociaż przyszła na świat w starej rodzinie magicznej, której wszyscy członkowie mieli przynajmniej przeciętne umiejętności, pozostawała pozbawiona mocy. Nie wydawała się tym przejmować, choć Jagoda nawet po latach znajomości nie wiedziała, czy ta po prostu nie jest dobra w maskowaniu się. Liliana niedostatki magii nadrabiała szaleńczą nauką i walką o zostanie

gwiazdą palestry. Może w przypadku Igi było podobnie.

– Spóźniłaś się, Wilczek – rzuciła, wiążąc buta.

– Miałam coś do załatwienia, Wiśniewska – odbiła piłeczkę Jagoda. Odłożyła torbę na ławkę i zdjęła bluzę.

– Mam nadzieję, że tym razem nie były w to zamieszane żadne stuletnie czarodziejki ani młodocieni przestępcy, chcący wysadzić pół miasta? – spytała Iga, nawiązując do wydarzeń sprzed paru miesięcy.

– Ten chłopak nie był przestępcą. Został wykorzystany – sprostowała.

– Szczegóły! – prychnęła Iga. – Trzymasz formę?

– Patrzysz na mnie jak nauczycielka, która pyta, czy odrobiłam pracę domową.

– Ha! Czyli nie trzymasz!

– Daj spokój, poganiaczko niewolników. Pracowałam – rzuciła Jagoda, uśmiechając się blade.

Zazwyczaj dbała o formę. Regularnie biegała, co tydzień wpadała na siłownię i od wielu lat ćwiczyła jogę – regularna praktyka pozwalała jej wyciszyć emocje i zapanować nad magią.

Tyle że naprawdę ciężko zacząć ćwiczyć, kiedy zużywasz energię na leczenie, starcie z czarnoksiężnikiem albo walkę z demonem. A nie wyjdiesz z mieszkania pobiegać, gdy się boisz, że rzeźniony czarnoksiężnik wykręci jakiś numer. Tego jednak Jagoda nie zamierzała Idze tłumaczyć.

– To co? Dziś rozgrzewka, motylek, sztanga, bieżnia i rowerek w finale? – wyliczyła Iga. – Trzeba cię rozruszać, leniwcu.

– Jasne – mruknęła, wrzucając okulary do futerału, a ten do sportowej torby.

– Dobra. Jeśli uda ci się nie zostać w tyle, to na bieżni opowiem ci o moim nowym kliencie świrze, a ty możesz mi opowiedzieć, co nowego wykręciła twoja uczennica.

– Skąd pomysł, że coś wykręciła?

– To uczennica – powiedziała Iga z naciskiem. – Uczennice czarodziejek zawsze coś wykręcają. Przynajmniej jeżeli są utalentowane, a ty nieutalentowanej byś na naukę nie wzięła. No, widzimy się przy bieżniach.

Jagoda uśmiechnęła się szerzej, ruszając na salę, by zacząć rozgrzewkę. Wystarczyło parę minut w towarzystwie koleżanki i trochę ćwiczeń, by napięcie ostatnich dni z niej opadło. Wreszcie choć przez chwilę nie myślała o Calebie i demonie grasującym po osiedlu.

Temat powrócił jednak trzy godziny później, gdy wraz z Lilianą zasiadły w Piosence Feniksa. Była to jedna z niewielu knajp położonych w enklawie: niezbyt elegancka, w porze obiadowej będąca zwykle miejscem stołowania się pracowników pobliskich korporacji, a wieczorami – spotkań na drinka tej samej klienteli. Zazwyczaj przyjaciółki spotykały się w niemagicznej części Warszawy, na zmianę wybierając miejsca – tym razem jednak Liliana zaproponowała właśnie Feniksa.

Powód stał się jasny, ledwo Jagoda opadła na czerwoną kanapę u boku siostry.

– Pewnie zaraz ktoś się przyplącze i będę musiała was na niego nasylać, ale jakoś wolałam się nie włóczyć nocą po mieście – oświadczyła Liliana, otwierając menu.

Zamiast garsonki albo garnituru miała na sobie luźną bluzę i dzinsy. Zmyła makijaż, a jasne włosy zaczesła w dwa warkocze, przez co – ze swoją buzią laleczki, niskim wzrostem i bladą cerą – wyglądała tak, że nikt nie sprzedałby jej piwa bez dowodu. Lilka wdała się w matkę, też charakteryzującą się urodą wiecznej dziewczynki, i nie przypominała ani siostry, ani brata bliźniaka.

– Morderstwa – podchwyciła Iga, rozsiadając się na pufie. – Trzy zgony, a pół miasta panikuje.

– Bo to nie Nowy Jork, gdzie policja codziennie bada sprawę nowego zabójstwa – prychnęła Liliana.

– Nawet w Nowym Jorku nie mordują się chyba codziennie na każdym rogu. To tylko tak przedstawiają w serialach – stwierdziła Iga. – Jak się boisz, że będą napadać na ulicach, to po co ściągałaś tutaj Jagę?

– No jeżeli morderca ją zaatakuje, to sam będzie sobie winien, nie? – rzuciła lekko Liliana. Gdy jednak przeniosła spojrzenie na siostrę, wzrok miała poważny. – Uważasz na siebie, prawda?

– Jasne – zapewniła Jagoda, myśląc, że gdyby wspomniała o spotkaniu z mordercą, siostra dostałaby udaru, a w najlepszym razie zmyłaby jej głowę. Zaraz jednak pomyślała, że Liliana i tak może

się dowiedzieć... a wtedy najpierw dostanie udaru, a potem obedrze ją ze skóry.

– To dobrze, bo powinnaś – oświadczyła Iga złowieszczym tonem. – Znając ciebie, zaraz wpakujesz się w kłopoty i skończysz w lesie sam na sam z mordercą.

– W lesie? Prędeż w parku. On przecież grasuje w mieście – wymamrotała Jagoda.

Powiedzieć, nie powiedzieć...?

Nie mówiła siostrze o wielu rzeczach. Obecnie na czele tej listy znajdował się punkt: „Mieszka u mnie Uczeń Czarnoksiężnika”. W tym przypadku jednak problem polegał na tym, że o napaści Liliana mogła usłyszeć od kogoś innego.

Mariowi zależało na ukryciu całej sprawy. Ale magiczna prasa miała świetne źródła. Lilka zaś obracała się w towarzystwie, które często dysponowało informacjami nieprzeznaczonymi dla opinii publicznej.

– Hm... chyba zaszaleję i wezmę Syk Smoka – zdecydowała Iga, gdy podeszła kelnerka. Był to jeden z mocniejszych drinków, łączył w sobie między innymi wódkę, gin i rum.

– Nie jestem aż tak odważna. Herbatka Kapelusznika dla mnie – rzuciła Liliana, zamawiając drinka na bazie mrożonej herbaty.

– Herbatę cytrynową proszę – zdecydowała Jagoda. Liliana przewróciła oczami.

– Boże, Jaga, świat się nie zawali, jak napijesz się łyka alkoholu.

– Może i nie, ale wolę być trzeźwa – stwierdziła, oglądając się za kelnerką, by sprawdzić, czy odeszła na tyle daleko, że nie usłyszy rozmowy. Nabrała powietrza niczym pływak szykujący się do skoku i powiedziała szybko przyciszonym głosem: – Wczoraj zaatakowano kolejną osobę. Na moim osiedlu.

Iga syknęła. Liliana zbladła i się wyprostowała.

– Ktoś zginął?

Jagoda pokręciła głową.

– Dziewczyna przeżyła. Ja... ja ją znalazłam.

Nie była to cała prawda, ale przynajmniej jeżeli Liliana dowie się o jej udziale w tej akcji, nie będzie aż tak wściekła.

– Kurwa. – Iga złapała za telefon i pospieszenie zalogowała się do MAGnetu. – Nic nie piszą.

– Mario chce zachować sprawę w tajemnicy. Tak że bardzo proszę, trzymajcie buzie na kłódkę – poprosiła Jagoda cicho.

– Co tam się stało? – spytała Liliana ostrym tonem, przechylając się nad stolikiem. – No? Jaga? Coś ci groziło...?

Wielki demon o świecących oczach szarżował w moją stronę, ale nie, skąd, to nic wielkiego...

– Raczej tej dziewczynie – odparła wymijająco. – Nieźle ją poszarpał. Nie wiem, jak się to dla niej skończy.

– Oby przeżyła. Może powie, kto za tym stoi... – mruknęła Liliana, a Jagoda odetchnęła z ulgą.

Siostra łyknęła przynętę.

– Jakiś czarnoksiężnik – skwitowała Iga, ścisząc głos. – Jedna z ofiar została dosłownie rozszarpana. Na miejscu nawet Czytacz nie wyczuł żadnych konkretnych czarów, tylko ślad czegoś paskudnego. Może to mistrz maskowania zakłęb?

– A ty skąd to wiesz? – zdumiała się Liliana.

– Mam swoje źródła. – Iga wzruszyła ramionami.

– I nic do tej pory nie powiedziałaś, małpo jedna! Dobra. Jaga, słońce, niedługo twoje urodziny. Mam nadzieję, że w tym roku nie zapomnisz, co? Nie obchodzą mnie żadne protesty, wyciągamy cię na miasto.

Jagoda zachowała neutralny wyraz twarzy, choć przyszło jej to z trudem – i to wcale nie z powodu wizji rajdu po klubach z okazji urodzin. Przypomniała sobie Caleba, opuszczającego rano mieszkanie pod osłoną zakłęcia. Zapewniał, że wycucie go będzie bardzo trudne.

Mistrz maskowania.

Coś ciężkiego i zimnego opadło na dno jej żołądka. Tego chłodu nie mogła rozproszyć nawet gorąca herbata przyniesiona przez kelnerkę. Jagoda próbowała się skupić na rozmowie i nie okazywać

niepokoju ani roztargnienia. Myślami była jednak daleko stąd: w domu wiedźmy, w którym zostawiła Ucznia Czarnoksiężnika.



ROZDZIAŁ 6

**NIECHCIANI GOŚCIE**

W kwietniu ciemno robiło się już koło dziewiętnastej, gdy więc Jagoda po dwudziestej czekała na Sonię w pobliżu kina, mrok rozpraszały tylko światła latarni. Ulicami wciąż jednak chodziło wielu ludzi i wiedźma miała nadzieję, że demon nie wyjdzie na żer, póki ruch nie zmaleje.

Sonię dostrzegła już z daleka; jej rozpuszczone jasne włosy i czerwony płaszcz rzucały się w oczy. Dziewczyna rozmawiała z wysokim brodatym mężczyzną.

– Sorry, musiałam się go pozbyć – rzuciła uczennica, gdy dopadła do Jagody. – Koniecznie chciał mnie odprowadzić.

– Boisz się, że bym go odstraszyła? – spytała czarownica, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Mężczyzna zdawał się jej dla Soni za stary, ale nie planowała prawić uczennicy kazań. Odniosłaby efekt odwrotny od zamierzonego, a życie prywatne dziewczyny, dopóki nie rzutowało na postępy w nauce, nie było sprawą mistrzyni.

– Nie. Ale to... – Zawicka zamilkła, szukając odpowiedniego określenia. – Cywil. Jeśli jakiś czarnoksiężnik ma nas zaatakować i próbować przerobić na papkę, to niech on się nie włóczy obok, nie? Tylko by przeszkadzał.

Cywil. Sonia Zawicka umawiająca się ze zwykłym człowiekiem! Jagoda nie była pewna, czy Karolina Zawicka w ogóle uważa niemagiczne osoby za ludzi. Nawet ona sama czarno widziała ten związek. Przy kimś takim Sonia nieustannie musiałaby udawać kogoś, kim nie jest.

– Masz rację – przyznała. – Ale nic nas nie zaatakuje. Nie ma nawet dwudziestej pierwszej, poza tym do tej pory napadał tylko na samotne osoby.

– A jeśli zmieni taktykę? – dopytywała Sonia. Nie była przerażona, ale wydawała się co najmniej zaniepokojona. I to mimo tego, że nie wiedziała, kim jest napastnik.

Może należało jej powiedzieć o demonie. Wtedy zrezygnowałyby z wieczornych wyjść.

– Wtedy uciekniesz, a ja go zastrzelę – poinformowała rzeczowo Jagoda.

O dziwo, wyglądało na to, że deklaracja uspokoiła Sonię. Dziewczyna już po chwili zaczęła paplać o filmie, który właśnie obejrzała, o Neo („uroczy, ale za zwyczajny, no i za bardzo się stara”), o kawiarni, którą odwiedzili. Jagoda słuchała jej jednym uchem, skupiając się bardziej na obserwacji otoczenia niż na wywodach uczennicy. Między palcami lewej dłoni przesuwiała nitki kłatwy, prawą zaś trzymała tak, by móc w miarę możliwości szybko sięgnąć do torebki po broń. Wprawdzie naprawdę nie sądziła, by ktoś je zaatakował – ulice jeszcze nie opustoszały, poza tym musiałaby mieć ogromnego pecha, by natknąć się na demona dwukrotnie – ale wolała być przygotowana.

Tym bardziej więc zaskoczyła ją bomba, którą Sonia rzuciła, gdy szły między blokami:

– No dobra, to może mi teraz powiesz, dlaczego ochraniasz Ucznia Czarnoksiężnika?

Jagoda stanęła jak wryta. Przypatrywała się dziewczynie, jakby wyrosła jej trzecia głowa. Po chwili z jej ust wydobyło się pełne rezygnacji westchnienie.

Przynajmniej nie złamała warunków umowy. Nie zdradziła Zawickiej, kim jest Caleb. Dziewczyna odgadła to sama.

– Jak się domyśliłaś?

– Nie musiałam. – Na ustach Soni pojawił się triumfalny uśmiech. – Sam to powiedział. Kiedy kłóciliście się w korytarzu. Wspomniał o Uczniu Czarnoksiężnika, więc... dziś trochę poszperałam. Znalazłam zdjęcie.

– Nie wspominaj o tym nikomu – nakazała Jagoda, ruszając z miejsca.

– Mhm... Jagoda? – Sonia się zawahała. – Nie myślisz... że to on... te kobiety...

– Nie wiem – westchnęła wiedźma. – Naprawdę nie wiem. Nie wydaje mi się, ale w świetle tego, czego się dowiedziałam, muszę to brać pod uwagę. Póki przebywa w mojej enklawie, nikogo nie skrzywdzi.

W głębi ducha nie sądziła, by to on mordował warszawskie czarownice, ale rozsądek podpowiadał jej, że nie może tego wykluczyć. Przecież mordercy, gwałciciele, pedofile i damscy bokserzy nie mają wypisanego na czole słowa „przestępca”. Mało to razy sąsiedzi i koledzy mówili o najgorszych zwyrodnialcach, że na co dzień byli spokojnymi, uczynnymi ludźmi? Czy nie zdarzało się, że szanowany mąż i troskliwy ojciec okazywał się gwałcicielem? Czy ludzie katujący swoje żony nie żartowali ze współpracownikami, nie głaskali psa sąsiada, nie uśmiechali się do kasjera? Owca

To, że Caleb bez protestów założył bluzę z Królikiem Bugsem, oglądał z nią Merlina i Sherlocka, a do tego nakarmił ją naleśnikami, o niczym nie świadczyło.

– W takim razie dlaczego mu pomagasz?

– Dom prababki. To on podał mi lokalizację. Złożyłam obietnicę, że pomogę mu w przyszłości. Zażądał zagwarantowania mu bezpieczeństwa. Efekty złamania tej umowy sama miałaś okazję obserwować – wyjaśniła Jagoda.

Skoro Sonia domyśliła się tożsamości niechcianego gościa, nie było potrzeby dalszego zatajania informacji. Uczennica była z nią w enklawie. I doskonale wiedziała, dlaczego uzyskanie informacji o domu Joanny Wilczek było na tyle ważne, aby złożyć taką obietnicę.

– Aha – skwitowała tylko, kiwając głową.

Skręciły pomiędzy bloki i Jagoda najpierw zwolniła, potem zaś przyspieszyła. Sonia, która w jednej chwili wysforowała się nieco do przodu, a w drugiej omal nie została w tyle, spojrzała na nią zdezorientowana.

– Nie oglądaj się – poleciła Jagoda cicho. – Ktoś za nami idzie.

Sonia oczywiście zaczęła odruchowo obracać głowę, ale Jagoda chwyciła ją pod ramię i pociągnęła za sobą w stronę bloku. Szła szybkim, choć wciąż spokojnym krokiem.

– Jesteś pewna?

– Zatrzymał się, kiedy ja stanęłam, gdy spytałaś o Caleba. Skręcił za nami, zwolnił, przyspieszył – wyjaśniła szeptem.

Oczywiście, mogła się mylić. Być może któryś sąsiad przypadkiem szedł dokładnie w tym samym tempie co one. Bardzo prawdopodobne było też to, że towarzyszył im ktoś z ludzi Olchy.

Po raz kolejny wyrzucała sobie, że swego czasu nie skupiła się bardziej na nauce demonologii. Edukację w tym zakresie zakończyła na podstawowym kursie.

– Idź spokojnie – nakazała uczennicy, starając się wyczuć magię. Żałowała, że nie może się obejrzeć: może zdołałaby wypatrzeć choćby ślad aury.

Zdało się jej, że wyczuła jakieś drgnienie. Coś magicznego? Zakłęcie? Nie potrafiła powiedzieć. Mogłaby przysiąc, że za nimi idzie mag... lub magiczne stworzenie... ukrywające swoją naturę.

Mistrz maskowania?

– Jaga... – wymruczała Sonia, tak cicho, że Wilczek ledwo ją słyszała. – Ja... jak wybiegłam wcześniej z domu, to też... szedł za mną jakiś chłopak. I wydawało mi się, że potem, jak byłam na randce, znowu go widziałam...

Cholera. Cholera jasna, pomyślała Jagoda, ale gdy przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie.

– Jak powiem „już”, pobiegiesz do klatki – szepnęła, kiedy ich blok znalazł się w zasięgu jej wzroku.

Niestety, tuż obok niego znajdował się spory plac zabaw, o tej porze tonący w ciemnościach. Z dwóch latarni jedna była popsuta, druga oświetlała jedynie część pobliskiego parkingu. I nikogo nie było w pobliżu: tylko spomiędzy budynków dobiegał czyjś śmiech i przepity głos. Jeżeli ten, kto za nimi szedł, zamierzał zaatakować, to był najlepszy moment. A jeżeli nie... Cóż, Jagoda chciała się przekonać, z kim ma do czynienia. Nie zamierzała potem tkwić godzinami przy oknie, zastanawiając się, kto czai się w ciemności.

– Co chcesz zrobić? – spytała Sonia, a w jej głosie pobrzmiwała panika.

– Sprawdzić, co się stanie – przyznała uczciwie Jagoda. – To może być ktoś od Mario.

– Ale...

– W takich sytuacjach robisz to, co każę. To część naszej umowy – przypomniała wiedźma ostrym tonem, gdy zbliżyły się do parkingu. – Gotowa? Raz, dwa, trzy... już!

Sonia wystartowała. Jagoda obróciła się, spoglądając prosto ku sylwetce znajdującej się kilka metrów dalej. Gdy przyjrzała się człowiekowi, który również się zatrzymał – bo to chyba był człowiek – dostrzegła, że cień wokół zdawał się nienaturalnie głęboki. Nie mogła dostrzec twarzy. Istniało zakłęcie pozwalające osiągnąć taki efekt, czarownica nawet je znała, choć nie potrafiła utrzymać go dłużej niż minutę. Było trudne do rzucenia, ale nie na tyle, aby jego zastosowanie stanowiło coś zastanawiającego.

Co innego sprawienie, że nie była w stanie go wyczuć. Potrafiła wychwytywać nie tylko kłątwy,

całkiem sprawnie wyczuwała w zasadzie każdy rodzaj magii. Tu wyłapała jedynie nieznaczne drgnienie.

Zmierzyła nieznajomego wzrokiem, próbując dostrzec cokolwiek, co umożliwiłoby jego identyfikację, ale mrok i czar sprawiały, że człowiek zdawał się plamą ciemności.

O ile to był człowiek.

– Słucham? – spytała głośno, nawijając na palce niteczki klątwy, gotowa wypuścić ją w każdym momencie. Nie mogła zaatakować pierwsza. Nie miała przecież pojęcia, z kim ma do czynienia.

Przez chwilę stali naprzeciwko siebie i była pewna, że mężczyzna na nią patrzy.

A potem wybuchnął śmiechem. Jagoda, zaskoczona, przez moment nie wiedziała, jak zareagować. Człowiek tymczasem wycofał się i znikł jej z oczu za vanem jednego z sąsiadów. Wiedźma zakłęta pod nosem i szybkim krokiem ruszyła jego śladem. Okrążyła auto szerokim łukiem, świadoma, że może to być pułapka.

Nie była. Kiedy Jagoda obesła samochód, dostrzegła, jak mężczyzna znika za pobliskim blokiem.

– Cholera jasna! – syknęła.

Chciała rzucić się za nim biegiem, rozsądek podpowiadał jej jednak, że byłby to szczyt głupoty. Jeżeli facet chciał się ukryć, miał dość czasu, by schronić się w którejś z klatek. Jeśli zaś ciągnął ją w pułapkę, weszłaby mu prosto w ręce.

Wściekła jak osa odwróciła się i pobiegła ku wejściu do bloku, a potem na piętro. Drzwi otworzyły się, nim zdążyła do nich dotrzeć: Sonia musiała obserwować sytuację przez okno. Jagoda wpadła do środka, zamykając za sobą osłony.

– Co...

– Później! – ucieła, szukając w torebce telefonu. – Zamknij drzwi, posyp próg solą.

Wybrała numer Mariusza Olchy. Za pierwszym razem włączyła się skrzynka odbiorcza. Za drugim odebrał po kilku sygnałach, gdy wiedźma była pewna, że zaraz wydepta ścieżkę na środku swojego pokoju.

– To nie jest dobry...

– Kazałeś komuś mnie śledzić? – przerwała mu bezceremonialnie. Po drugiej stronie rozległo się westchnienie.

– Dobrze wiesz, że nie mogę...

– Ktoś za mną przed chwilą szedł – powiedziała.

Początkowo nie miała zamiaru się do tego przyznawać – jeżeli Mario nie przydzielił jej ogona do tej pory, na pewno zrobi to teraz – ale musiała wykluczyć ewentualność, że człowiek spowity przez cienie został wysłany przez Olchę.

– Jak to?

– Tak to! Chcę wiedzieć, czy to twój człowiek – oznajmiła ostrym tonem. – A jeżeli tak, to dla twojej informacji, następnego, który spróbuje za mną łązić, potraktuję taką klątwą, że Adrian będzie ją zdejmować przez tydzień!

– Ktoś ma oko na twoje mieszkanie, ale teraz nikt za tobą nie szedł – przyznał Mario z oporami.

– Teraz spokojnie i powoli. Kto cię śledził? Zrobił coś? Zauważyłaś coś?

Zawahała się. Ukrywała przed Olchą zbyt wiele, aby mogła iść na współpracę.

– Po prostu ktoś za mną szedł i uciekł, kiedy się obróciłam – odparła. – Tyle. Dzięki za informację.

– Nie waż się rozłąć...

– Dobrej nocy – rzuciła i czym prędzej wyłączyła telefon. Była pewna, że Mario zaraz spróbuje zadzwonić. – Soniu, chodź tutaj.

Uczennica oczywiście podsłuchiwała, stojąc tuż przy drzwiach. Przesunęła się w pole widzenia Jagody, opuszczając odruchowo wzrok, jak dziecko przyłapano na łamaniu zakazów. Teraz jednak Jagoda nie myślała o ganieniu dziewczyny.

– Powinnaś wrócić do rodziców.

– Co?! Chyba żartujesz!

Sonia poderwała głowę, a na jej twarzy odmalował się szok. Oświadczenie nauczycielki



wstrząsnęło nią chyba bardziej niż starcie Jagody i Caleba czy rewelacje o dziewczynie zaatakowanej w pobliskim parku.

– Na jakiś czas – wyjaśniła Jagoda niemal łagodnie.

Nigdy o tym nie rozmawiały, ale wiedziała, że Sonia nie chce wracać do rodziny. Gdyby nie była wystarczająco zdeterminowana, nigdy by tutaj nie trafiła. Jagoda właśnie za to ją szanowała. Młoda Zawicka zaczęła nowe życie i przecięła dotychczasowe więzy, by zyskać możliwość decydowania o sobie. Jej starszemu bratu zabrakło do tego sił... albo chęci.

– Nie zrobisz mi tego, nie ma mowy!

– Ja nie tylko znalazłam tamtą dziewczynę – przyznała Jagoda, opadając na łóżko. – Powstrzymałam napastnika. Postrzeliłam go.

Nagle ogarnęło ją koszarne znużenie i jedyne, o czym marzyła, to pójście spać. Tymczasem czekała ją przeprawa z uczennicą.

– Co z tego? – prychnęła Sonia. Albo nie chciała zrozumieć, albo udawała, że nie rozumie. Jagoda nie wierzyła, że Zawicka nie potrafi się domyślić, o co chodzi.

– Możliwe, że teraz poluje na mnie.

Nie miała pewności. Człowiek na zewnątrz nie przypominał demona. Mógł to jednak być zmiennokształtny bądź śledził ją czarnoksiężnik, który potwora przywołał. Co bardzo prawdopodobne, był owym „przyjacielem” Caleba i może teraz się zorientował, gdzie go szukać.

Albo...

To był sam Blythe. Skryty pod płaszczem zaklęcia, niemożliwy do rozpoznania.

– To nie powód, żeby wracała do matki – upierała się Sonia. Skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej i spoglądała na nauczycielkę z wojowniczą miną. – Wręcz przeciwnie, nie powinnaś zostawać sama.

Oczywiście, że bym musiała się martwić o nas dwie, pomyślała wiedźma z irytacją.

– W jaki sposób chciałabyś mi pomóc, gdyby zaatakował? – spytała.

Sonia w pierwszej chwili się spłoszyła, w drugiej tupnęła, na podobieństwo małej, rozłoszczonej dziewczynki.

– Nijak, bo nie uczysz mnie niczego, co mogłoby się przydać! – Nie krzyczała jeszcze, ale wyraźnie podniosła głos. – Najgroźniejsza klątwa, jaką znam, sprawia, że ktoś się potknie!

Miała rację. Do diabła, miała rację, i Jagoda świetnie o tym wiedziała. Ale istniały powody, dla których nie uczyła Soni rzucania silniejszych przekleństw. Była za młoda, zbyt nieodpowiedzialna i niecierpliwa. Jagoda nie uczyła jej niebezpiecznych klątw właśnie dlatego, że Sonia za bardzo tego pragnęła.

Wiedziała, że uczennicy to doskwiera. Początkowo milczała, pełna obaw, że straci nauczycielkę i dach nad głową, ale po kilku miesiącach nabrała pewności siebie, za to jej cierpliwość zaczęła się kurczyć. Konfrontacja była nieunikniona i Jagoda się jej spodziewała, niestety, do starcia doszło w najgorszym możliwym momencie.

– A czego byś chciała? – spytała. – Klątwy sprowadzającej trąd? Sprawiającej, że serce zaczyna szwankować? Wywołującej problemy z oddychaniem? Mam cię nauczyć skutecznego zabijania ludzi?

– Ja nie... – Sonia się zawahała, wyraźnie zbита z tropu. – Nie chcę sprowadzać trądu! Ale nie chcę być bezradna, gdy ktoś mnie atakuje.

– Kup sobie więc gaz pieprzowy – wycodziła wiedźma, starając się opanować narastającą złość. – Ostrzegałam cię. Klątwy to nie magia żywiołów ani zaklęcia bojowe. Specjalista od nich nie jest kimś, kto je rzuca, ale kimś, kto je zdejmuje.

Uczennicanie odpowiedziała. Mierzyły się wzrokiem długo, w ciszy. Sonia – zaczerwieniona ze złości, z gniewem wypisanym na twarzy. Jagoda – pozornie spokojna, z rysami zastygłymi w nieruchomą maskę, wbijająca w uczennicę chłodne spojrzenie.

Zawicka odwróciła się i pobiegła do swojego pokoju. Trzasnęły drzwi. Jagoda nie czuła satysfakcji. Wiedziała, że to zaledwie chwilowa wygrana. Sonia za bardzo potrzebowała wsparcia mistrzyni, by zrezygnować albo postawić sprawę na ostrzu noża, jednak wiedźma nie miała wątpliwości, że konflikt będzie narastał.

Albo zacznie uczyć Sonię bardziej skomplikowanych przekleństw, albo będzie musiała jej wkrótce oznajmić, że przestaje ją uczyć.

Przymknęła oczy. Czuła, że nadciąga kolejny atak migreny, i to pomimo tego, że w ostatnich godzinach nie nadużywała magii. Zlekceważyła zaczątki bólu rodzącego się gdzieś za lewym okiem, wstała i przeszła do salonu. A potem zaczęła ściągać z półek encyklopedie, by dogrzebać się do swego jedyne go podręcznika demonologii. Zawierał zaledwie podstawową wiedzę, ale Jagoda łudziła się, że znajdzie w nim jakieś przydatne informacje. Miała na głowie demona i potencjalnie czarnoksiężnika – albo nawet dwóch czarnoksiężników. Nie było teraz czasu na rozmyślanie o krnąbrnej uczennicy.

\*

W podręczniku do demonologii, którego Jagoda nie tykała od lat, nie było żadnej przydatnej informacji. Wiedźma odświeżyła sobie podstawy – podział na istoty demoniczne w rodzaju domowików i rusałek oraz na demony, nieegzystujące naturalnie na Ziemi; przepatrzyła klasyfikacje, opisy przypadków opętania i powtórzyła najprostsze czary ochronne. Przyjrzała się rycinom przedstawiającym kilka stworów, ale jeżeli był tam „jej” demon, to nie zdołała go rozpoznać. Znalazła dwa zmiennokształtne, żaden jednak nie pasował do sytuacji – i żaden pod ludzką postacią nie zdołałby spowić się mrokiem.

W końcu uznała za bardziej prawdopodobne, że demon nie wyrwał się na świat samodzielnie. Znajdował się pod kontrolą czarnoksiężnika i ten szedł za nią wieczorem, ponieważ jego podopieczny mógłby wzbudzić za duże zamieszanie. Nijak nie polepszało to jej sytuacji. A nawet ją pogarszało, bo jeśli się nie myliła, miała przeciwko sobie nie tylko demona, ale też jego pana.

Czy chciał sprawdzić, kto uratował ostatnią dziewczynę? Czy wziął ją na celownik? Czy demon będzie teraz krążyć nocami po osiedlu, czekając na jej nieostrożny ruch? A może czarnoksiężnik patrzył po zmroku w okna jej mieszkania? Może to on sprawdzał wytrzymałość barier, gdy odwoziła Caleba do enklawy, i teraz szykował się do ich pokonania?

Świadomość zagrożenia niepokoiła Jagodę, ale nie przerażała. Zmuszała do większej czujności i pobudzała do działania. Gdzieś w duszy wiedźmy narastał gniew. Śmiech czarnoksiężnika wciąż rozbrzmiewał jej w uszach. Bawiła go? Sądził, że może ją zagonić w kąt, z którego nie ma ucieczki? Zrobić z niej mysz do ścigania, jak z tych biednych martwych czarownic?

Niedoczekanie. Nie była słabiutką wiedźmą, zmuszoną do życia pośród zwykłych ludzi, bo zabrakło jej talentu do wywalczenia sobie pozycji wśród magicznych.

Nie mogąc znaleźć informacji o demonach, z samego rana zaczęła szukać wiadomości o napadniętych kobietach. Ostatni incydent Departamentowi Magicznemu udało się zataić, Jagoda nie wiedziała więc, kogo zaatakowano. Poprzednie ofiary wcześniej sprawdziła jedynie pobieżnie, ale teraz zaczęła dokładniejsze badania. Przejrzała artykuły na temat ataków, poszukała też profilów kobiet zarówno na Facebooku, jak i MagConver. Tylko jedna z nich, Anna, miała konta na obu tych portalach. Zdawało się, że funkcjonuje na obrzeżach dwóch światów: pracuje w enklawie, ale prywatnie obraca się pośród niemagicznych, co należało do rzadkości. Maria założyła konto na Facebooku, ale nie miała Anny w znajomych. Anita korzystała z MagConver, jednak wszystkie jej dane pozostawały ukryte. Anita pracowała w firmie znajomych Jagody, a dokładniej rodziców jej dalszej znajomej. Jagoda zadzwoniła więc do niej, zadała kilka pytań i uzyskała odpowiedzi. Kolejny na liście był Maciejak, zastępca Sebastiana w firmie WilCom. Po dwóch minutach rozmowy została przekierowana do pracującej tam krewnej Marii Zielińskiej. Korzystając z przywileju bycia siostrą szefa, Jagoda wypytała ją o kuzynkę, wyciągnęła informacje o talentach Marii, jej adres oraz listę najbliższych znajomych. Wyglądało jednak na to, że to ślepy zaufek. Maria była słabiutką wiedźmą, ledwo radziła sobie z podstawowymi zaklęciami. Odcięła się od magicznego świata, pracowała jako barmanka i nie miała pośród magów żadnych przyjaciół.

Jedynym możliwym powiązaniem byłby bar. Istniała niewielka możliwość, że wszystkie się tam spotkały. Jagoda miała jednak wrażenie, że kobiety się nie znały: zginęły, bo były wiedźmami i znalazły się w złym miejscu o złym czasie. Demon – lub czarnoksiężnik – wybierał sobie konkretny typ ofiar.

Pytanie brzmiało: dlaczego.

Miejsca ataków zostały starannie oczyszczone. Jagoda mogła się włamać do mieszkań Anity albo Marii, ale wątpiła, czy coś w nich znajdzie, a gdyby ludzie Olchy zdołali ją wyśledzić, wpadłaby w kłopoty. Pozostawał jeszcze jeden trop. Dziewczyna z parku. Problem polegał na tym, że Jagoda nie wiedziała, jak ta się nazywa ani czy żyje. I szła o zakład, że Olcha ani żaden z jego współpracowników nie zechce udzielić jej tej informacji.

Gdyby zadzwoniła do babki albo wuja, ci prawdopodobnie zdołaliby ustalić tożsamość napadniętej dziewczyny – w końcu Jagoda wiedziała, jakie mniej więcej ma obrażenia i koło której trafiła do Batorego. Po pomoc do wuja nie chciała się jednak zwracać, z kolei prośenie o wsparcie babkę przypominało sesję na fotelu dentystycznym bez znieczulenia. Taką z rwaniem zęba na żywca, kanałówką i niebotycznie wysokim rachunkiem do opłacenia. Nie – to było rozwiązanie, po które sięgnęłaby tylko w ostateczności. Na razie miała kłopoty, ale nie znalazła się jeszcze w sytuacji bez wyjścia.

Na szczęście całkiem nieźle znała jednego z uzdrowicieli w Batorym, Maksa Michałowicza. Kontaktował się z nią raz na jakiś czas, gdy do szpitala trafiał ktoś obrzucony kłutwą, z którą magomedycy nie mogli sobie poradzić. Nie mieli własnego specjalisty od kłutw – Maks i dwóch innych uzdrowicieli znali jedynie podstawy.

Dobre źródła informacji stanowią połowę sukcesu, pomyślała, wybierając jego numer.

– Cześć – przywitała się, gdy uzdrowiciel odebrał telefon.

– Cześć. Czegoś potrzebujesz? – spytał Maks prosto z mostu. Kontaktowali się ze sobą zwykle w sprawach zawodowych, nie bawił się więc w uprzejmości, pewien, że Wilczek raczej nie dzwoni w ramach towarzyskiej pogawędki. I cóż, nie mylił się przecież.

– Trzy dni temu, koło północy, WMM przywiozło do was ciężko ranną wiedźmę.

– Nic o tym nie wiem – odparł Maks. Za szybko.

– Ja ją znalazłam – wyznała Jagoda. – W parku Szczęśliwickim. Te marne próby zalecenia jej ran to też moje dzieło. Chciałam po prostu wiedzieć, czy przeżyła.

Maks milczał. Wahał się. Stłumiła westchnienie. Mógł wpaść w kłopoty przez udzielanie takich informacji. Nie powinna liczyć, że dostanie je za darmo.

– Dwa przypadki pro publico bono – rzuciła.

– Trzy – podchwycił natychmiast Maks.

– Jeśli podasz mi jej nazwisko. Zaatakowano ją prawie pod moim mieszkaniem – wyjaśniła szybko. Nie chciała, by uzdrowiciel nabrał podejrzeń. – Nie chciałabym być następną.

– Grzebiesz w tym, prawda?

– Cztery i to moja ostatnia oferta.

– Powiedział diabeł, targując się o duszę – westchnął Maks.

Zapadła cisza. Jagoda czekała cierpliwie. Dobrze wiedziała, że propozycja jest kusząca. Naprawdę paskudnych przekleństw nie rzucano codziennie, ale się zdarzały, a uzdrowiciele nie zawsze umieli sobie z nimi poradzić. W takich sytuacjach Maks polecał Jagodę i wzywał ją do szpitala – niestety nie każdego było stać na usługi prywatnego specjalisty. Ona zaś, po tym, jak w przeszłości zdarzyło się jej ulec w podobnej sytuacji, nauczyła się, że albo będzie żądać wynagrodzenia bez względu na okoliczności, albo szybko zabraknie jej na rachunki. Kiedy zgadzasz się pracować za darmo raz i drugi, ludzie zaczynają oczekiwać, że będziesz tak postępować zawsze. Mogła dać upust albo zgodzić się na wymianę przysług, ale nie planowała umrzeć z głodu w imię walki z reputacją pozbawionej serca suki. Zwłaszcza że, jeśli przypadek nie był skomplikowany, nie brała dużo więcej, niż policzyłyby sobie za prywatną wizytę lekarz specjalista.

Maks zaś, choć pracował w Batorym od siedmiu lat, wciąż bardzo przejmował się swoimi pacjentami. Sytuacja, w której nie mógł komuś pomóc, nieodmiennie go frustrowała. Cztery darmowe zdjęcia kłutw w zamian za jedną informację – nie potrafił odrzucić takiej propozycji.

– Dziewczyna żyje. Udało się nam ją odratować, w zasadzie cudem. Pewnie gdyby nie twoje leczenie, choć faktycznie nieudolne, nie dowieźliby jej tutaj. Nazywa się Maja Dziurawiec.

– Dzięki.

– Cztery przypadki – przypomniał Maks. – Właściwie możliwe, że jeden już dla ciebie mam.

– Och. Świetnie – mruknęła bez entuzjazmu, bo przy obecnym nawale problemów darmowe ściąganie klątw było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że mógł to być świetny pretekst, aby spróbować odwiedzić Maję. Albo przynajmniej pociągnąć Maksa za język, gdy stanie z nim twarzą w twarz. Natychmiast się ożywiła. – Co to za przypadek?

– Dzieciak, leży w śpiączce od tygodnia, słabnie z dnia na dzień. Nie umiemy znaleźć magicznej ani pozamagicznej przyczyny. Organy pracują bez zarzutu, krew i ciśnienie w normie, tomograf niczego nie wykazał. Skanery wykrywają śladowe ilości magii nieustalonej natury. Może to jakaś podstępna klątwa? Na pewno nie klątwa snu, pod tym kątem go sprawdzaliśmy.

– Macie świetny skaner. Powinien wykryć klątwę, jeśli jest aktywna – powiedziała ostrożnie. Nie miał szans na rozpoznanie konkretnego przekleństwa, ale samo wychwycenie emanacji nie stanowiło problemu w przypadku urządzenia tak wysokiej jakości.

– Jest świetny, ale tym razem to coś trudniejszego do wykrycia. Nie dzwoniłem po ciebie, bo ani nie wiem, czy to na pewno klątwa, ani rodzina nie jest zainteresowana prywatnymi konsultacjami, chociaż je sugerowałem... Nie mam już pomysłu, co robić.

– Więc spadłam ci z nieba? – odgadła Jagoda.

– Z nieba? Ty wylazłaś z piekła! – odparł Maks, ale w jego głosie rozbrzmiewało rozbawienie. – Dasz radę pojawić się dzisiaj? Dopiero zacząłem dyżur.

– Będę za pół godziny.

Nim wyszła, przystanęła pod pokojem Soni. Dziewczyna zamykała się rzadko i zatrzaśnięte drzwi stanowiły jasny komunikat: nie chcę z tobą rozmawiać. Jagoda rozważała zapukanie. Nie chciała zostawiać uczennicy samej w mieszkaniu i bała się, co może jej wpaść do głowy. Ale nie mogła być strażnikiem Soni. Pilnowanie dziewczyny przez cały czas nie wchodziło w grę. Natomiast prośba, by nie wychodziła z domu, wywołałaby efekt odwrotny do zamierzonego.

Jagoda, wpatrując się w klamkę, pomyślała, że to zupełnie tak, jakby miała zbuntowaną nastoletnią córkę. Mimo to – czego sama nie potrafiła do końca wytłumaczyć – nie żałowała, że zdecydowała się przyjąć adeptkę. Choć zdawała sobie sprawę, że konsekwencje tego wyboru zaczynają ją przerastać.

\*

„Przypadek” Maksa okazał się bladym, wychudłym nastolatkiem na skraju śmierci. Badając jego aurę, Jagoda stwierdziła, że po pierwsze, dzieciak jest w połowie zmiennokształtnym, co utrudniało skanerem odczyt magiczny, po drugie, faktycznie obrzucono go klątwą. Podstępna i tak paskudną, że zdjęcie jej zajęło wiedźmie niemal dwie godziny. Drugie tyle pochłonęły formalności. Na chłopaka rzucono silną klątwę wysysającą życie, w dodatku zmodyfikowaną w taki sposób, że niemal niewykrywalną. To zaś oznaczało konieczność rozpoczęcia śledztwa.

– Wyglądasz, jakbyś miała zaraz umrzeć – rzucił Maks, gdy w jego gabinecie uzupełniła stos formularzy, poświadczających rozpoznanie klątwy.

Uzdrowiciel, mężczyzna koło czterdziestki, o ciemnych włosach przyprószonych siwizną, podsunął jej kubek z wzmacniającą mieszanką. Jagoda wzruszyła ramionami.

– Mam zły dzień.

Zły tydzień. Zły miesiąc, dodała w myślach. Wszystko układa się źle, odkąd Caleb stanął na moim progu.

– Tak, to paskudny przypadek – westchnął Maks. – Nie rozumiem, czemu ktoś chciał się pozbyć tego dzieciaka. Ma ledwo siedemnaście lat. Jakim cudem komuś tak popadł?

Paskudny przypadek. Owszem, żal jej było chłopaka, w dodatku straciła sporo energii na ściągnięcie przekleństwa. W tej chwili jednak bardziej martwiło ją to, że nie uniknie przesłuchania przez WMM. W dodatku jeżeli ludzie Olchy znajdą winnego, będzie musiała poświadczyć, czy to on rzucił klątwę, i zeznawać w sądzie. Miała cholerne szczęście, że nie знаła tego dzieciaka ani jego rodziny, inaczej pewnie Mario natychmiast założyłby, że jest pierwszą podejrzaną.

– Odbił komuś dziewczynę. Pobił kolegę. Nie dał mu spisać pracy domowej – wyliczyła Jagoda. Gdy Maks spojrział na nią ze zdumieniem, uśmiechnęła się do niego krzywo. – Powód zawsze się

znajdzie. Bardziej ciekawi mnie, jak to zrobili. Ta klątwa nie jest jedną z najtrudniejszych do rzucenia, ale nikt jej nie uczy od lat. Książki, w których zapisano inkantację, są w rejestrze ksiąg zakazanych. Poza tym, jak większość silnych przekleństw, to konkretne wymaga pewnych określonych warunków.

Silnych emocji i wyzwalacza. Wprowadzenia własnej energii do ciała ofiary. Posiadania jej osobistych rzeczy i najlepiej włosów albo krwi.

– Co w ogóle robi tu zmiennokształtny? – spytała. – Myślałam, że stada mają własnych lekarzy.

W Polsce nie było zbyt wielu magów obdarzonych zdolnością przemiany formy fizycznej. Większość z nich trzymała się razem, a w kraju istniały dwa zrzeszające ich stada. Jedno, liczące około stu osób i składające się głównie z wilków, żyło w Bieszczadach i niemal zupełnie izolowało się od ludzi. Drugie, mniejsze, rezydowało we własnej wiosce-enklawie, w pobliżu Kampinoskiego Parku Narodowego. Ich polityka zakładała „pokojołą koegzystencję”. Robili interesy z warszawskimi magami, ale trzymali dystans. Jagodzie nie chciało się wierzyć, że przywieźliby tutaj jednego ze swoich, gdyby zachorował. A jeśli ktoś stąd by takiego zaatakował, awantura odbiłaby się szerokim echem w całym kraju.

– Nie należy do stada. To mieszaniec – mruknął uzdrowiciel, kręcąc głową. – Mieszka z rodzicami. Ludźmi.

– Adoptowany?

– Nie mogę rozmawiać o prywatnej sytuacji pacjentów.

– Czyli adopcja albo zdrada – odparła, po czym skrzywiła się, przelękając łyk paskudnego naparu. – Czy Maja się obudziła?

Maks skrzyżował ramiona na klatce piersiowej, spoglądając na nią z góry.

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Spędziłam nad twoim przypadkiem cztery godziny – przypomniała. – Chcę tylko wiedzieć, czy jest przytomna.

– I może jeszcze z nią porozmawiać?

– Czyli jest przytomna, dobrze – stwierdziła Jagoda, a Maks zaklął bezgłośnie. – Powiedziała coś o napastniku?

– Ani słowa więcej! – zdenerwował się uzdrowiciel. – Pij tę mieszankę. Do dna. I znikaj stąd, ale już!

– Kiedy będzie mogła przyjmować gości? – spytała, zmuszając się do przełknięcia ostatniego łyku.

– Jagoda!

– Ma przecież prawo do odwiedzin.

– Ona zdecyduje, kogo chce przyjąć.

– Tak, wiem. Może zgodzi się porozmawiać z kobietą, która uratowała jej życie.

Maks z rezygnacją pokręcił głową.

– Zadzwoń za parę dni – powiedział. – Jeśli, powtarzam, tylko jeśli zechce cię przyjąć i jeżeli pozwolą na to jej ochroniarze, będziecie mogli porozmawiać. Jasne?

– Jak słońce.

Jagoda odstawiła szklankę i podniosła się z miejsca. Wiedziała, że dziś więcej nie uzyska, ale i tak była zadowolona. Niedoszła ofiara żyła, odzyskała przytomność i być może uda się z nią porozmawiać. A to pozwoli rzucić na sprawę znacznie więcej światła. Olcha jak nic też przemagluje dziewczynę, ale wiedźma nie miała nic przeciwko – jeśli miałby dopaść demona i jego pana przed Jagodą, tym lepiej.

– Ktoś z WMM się z tobą skontaktuje. W sprawie tej klątwy.

– Oby nie, przynajmniej póki nie będą mieć podejrzanych. Uzupełniłam ich papierki. Dobrego dnia, Maks. Dzięki za informacje.

\*

Drzwi Soni wciąż były zamknięte, więc Jagoda nie zapukała. Najważniejsze, że uczennica została w domu zamiast wybrać się na kolejną randkę, gdy do zmroku pozostała zaledwie godzina. Wiedźma

trochę się obawiała, że Zawicka tak właśnie zrobi, kierowana oślim uporem. Sonia miała swój rozum, ale bywała też nadmiernie porywcza.

Jest jeszcze młoda, pomyślała Jagoda, wchodząc do kuchni, by zrobić coś do jedzenia. Zaraz jednak przypomniała sobie, że była niewiele starsza od Soni, kiedy zginął Wawrzyniec.

Niedługo potem pierwszy raz zabiła człowieka. Opuściła rodzinny dom. Rozstała się z Antonim. Zaczęła życie na własny rachunek, może nie całkiem samotne, bo rodzina się jej nie wyrzekła, a ona nie wyparła się przynajmniej niektórych krewnych, ale stała się odpowiedzialna sama za siebie. Jako samodzielna specjalistka od klątw z trudem zdobywała pierwszych klientów. Radziła sobie z codziennymi problemami bez czyjegokolwiek wsparcia.

Sonia może była młoda i niedoświadczona, ale nie była dzieckiem.

Jagoda wrzucała właśnie makaron do wody, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Ruszyła do przedpokoju pełna złych przeczuc. Klienci umawiali się mailowo, rodzeństwo nie wpadało bez uprzedzenia. Pomyślała nawet, że może na progu stoi mężczyzna, który poprzedniego wieczoru śmiał się z niej na parkingu. Ale nie. Przez wizjer zobaczyła Mariusza Olchę.

Wolałabym czarnoksiężnika, pomyślała, uchylając drzwi.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – spytała, odruchowo próbując sprawdzić aurę gościa. Maskował ją, ale zdołała wychwycić znajome nici.

– Nie wygłupiaj się. Będziesz mnie trzymać na progu?

Najchętniej zatrasnęłaby mu drzwi przed nosem. To byłoby satysfakcjonujące. Ale też nierozsądne, a Jagoda przez ostatnie lata robiła wszystko, aby kierować się w pierwszej kolejności rozumem, nie emocjami. Cofnęła się więc, pozwalając, by Mario przeszedł przez osłony. Kiedy go wpuściła, zdawał się tym szczerze zaskoczony – na tyle, że nie potrafił tego zamaskować.

To było zastanawiające. Jawnie okazywała mu swoją niechęć, ale był szefem WMM. Jeżeli tu przyszedł, to prawdopodobnie albo w sprawie Mai, albo dowiedzieć się czegoś na temat przekłętego dzieciaka. Gdyby odmówiła rozmowy, mógłby wezwać ją do siedziby jednostki, a to oznaczałoby dla niej dodatkową fatygę.

Dlaczego więc był zdumiony tym, że pozwoliła mu wejść?

– O co chodzi?

– Jesteś sama?

– Z uczennicą – powiedziała powoli, przypatrując się Mariuszowi podejrzliwie. – Wyjaśnij wreszcie, co tu robisz?

– Będziemy rozmawiać w przedpokoju?

Ruszyła do kuchni, gdzie zwykle wprowadzała gości. Nie uszło jej uwadze, że Mario po drodze zajrzał do salonu, próbował też zerknąć do sypialni Jagody.

– Siadaj. I mów, o co chodzi. Mam dużo roboty – stwierdziła i zaplotła ręce na piersi.

Olcha nie posłuchał. Stał w wejściu, ramieniem oparł się o ścianę. Najwyraźniej nie chciał siadać, dopóki nie zrobi tego Jagoda.

– Sprawa Jeremiasza Dagmarka – rzucił.

A więc chłopak z klątwą.

– Macie podejrzanego?

Zawahał się.

– Nie.

– W takim razie nie rozumiem, co tu robisz – oświadczyła, coraz bardziej podejrzliwa.

Klątwa była potencjalnie śmiertelna, nic więc dziwnego, że wzbudziła zainteresowanie WMM. Ale Mario miał w tej chwili na głowie seryjnego mordercę, może demona. Tę sprawę powinien prowadzić Adrian, ich specjalista od klątw, nie on. Uzupełniła też wszystkie formularze. Nie mogła powiedzieć nic więcej, póki nie będą mieć podejrzanego – wtedy być może zdoła rozpoznać sygnaturę magiczną. Oczywiście, prawdopodobnie zdołałaby pomóc w śledztwie. Ale o ile w innych wydziałach Departamentu Przestrzegania Prawa czasami – choć rzadko – korzystano z pomocy zewnętrznych specjalistów, o tyle Mario, wzorem wuja, poprzedniego komendanta, unikał tego jak ognia. Ufał tylko swoim ludziom.

I na pewno nie ufał Jagodzie Wilczek.

– Dużo naczyń – stwierdził bez związku, rozglądając się po kuchni. Wzrok zatrzymał na zlewie, w którym leżały trzy kubki.

– Sonia nie pozmywała – odparła. – Wyjaśnisz mi wreszcie, po co przyszedłeś?

– Jesteś pewna rodzaju kławy? – rzucił.

Jagoda przypatrzyła mu się podejrzliwie. W co on grał?

– Doskonale wiesz, że w takich sprawach się nie mylę. Wiesz też, że przekazałam wszystkie informacje, uzupełniłam formularze i podpisałam oświadczenie. A ja wiem, że na pewno posłałeś tam Adriana, który jest na tyle dobry, by zdążył wychwycić echa kławy. Dlatego zapytam jeszcze raz: o co chodzi, tak naprawdę?

– Może chciałem się dowiedzieć, czy twoja obecność w szpitalu, do którego przewieziono ofiarę napaści, to przypadek?

– Morze jest szerokie i głębokie – odparowała.

Mierzyli się spojrzeniami, oboje zagniewani. Jagoda maskowała złość i podejrzliwość lepiej, szybko przywdziała typową dla siebie maskę obojętności. Ponieważ Mario milczał, już otwierała usta, by kazać mu wyjść, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Caleb, pomyślała z przerażeniem. Może opuścił enklawę i stał właśnie na jej progu.

– Nie otworzysz? – ponaglił ją Mario, kiedy dzwonek odezwał się po raz kolejny. – Mam zobaczyć, kto to?

– Na pewno nikt do ciebie – skwitowała, mijając go i ruszając do przedpokoju. Drzwi Soni były teraz przymknięte, a w szparze Jagoda dostrzegła cień. A więc młoda podsłuchiwała, co za zaskoczenie.

Mario poszedł za Jagodą i zatrzymał się tak blisko, że dzieliły ich centymetry. Wiedźma miała już pewność, po co przyszedł: coś – nie miała pojęcia co – sprawiało, że Olcha podejrzewał ją o kontakty z Uczniem Czarnoksiężnika. Chciał sprawdzić, czy go tu znajdzie. Dlatego zaskoczyło go, że został wpuszczony. Dlatego zaglądał do pokoi, a w kuchni szukał oznak bytności dodatkowego gościa. Dlatego niezwłocznie ruszył za nią. Przypadek nastolatka, na którego rzucono potencjalnie zabójczą kławę, był tylko wygodnym pretekstem.

Oby to był listonosz, powtarzała w myślach. Ktoś ze spółdzielni. Albo świadkowie Jehowy. Ktokolwiek, tylko nie Uczeń Czarnoksiężnika...

Spojrzała przez wizjer.

To nie był listonosz. Ani świadek Jehowy.

– Nie otworzysz? – powtórzył Mario, kiedy Jagoda wahała się o sekundę za długo.

Obejrzała się na niego z irytacją wymalowaną na twarzy, a potem przekreśliła zamek i pociągnęła za klamkę.

Na progu stał Antoni Bielecki. Przyrodni brat Soni. Były narzeczony Jagody. Ciemnowłosey, wyższy od niej o parę centymetrów. Miał na sobie eleganckie spodnie i markowy płaszcz – a więc prawdopodobnie przyszedł prosto z pracy. Jagoda pomyślała, że ludzie tacy jak on mogli trafić na to osiedle jedynie przypadkiem.

– Cześć – przywitał się, przywołując na usta nieszczerzy uśmiech. Zaraz jednak dostrzegł, kto stoi tuż za wiedźmą, i uśmiech spelzł z jego twarzy, ustępując wyrazowi zdziwienia.

– Co ty tu robisz? – spytali jednocześnie Mario i Antoni, a Jagoda poczuła się, jakby grała w słapsticku. Brakowało tylko śmiechu z widowni.

– Chyba ja powinnam o to spytać. Was obu – wtrąciła przesłodzonym tonem, który sprawił, że obaj mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem. – Chciałabym wiedzieć, czemu zawdzięczam te... przemiłe wizyty.

– Chcę rozmawiać z moją siostrą – zażądał Antoni.

Jagoda wzruszyła ramionami.

– Soniu! Brat do ciebie! – zawołała. Na moment opuściła osłony, pozwalając Bieleckiemu przejść przez próg.

Drzwi pokoju Zawickiej uchyliły się niemal natychmiast. Dziewczyna zamarła, gdy jej wzrok prześlizgnął się po bracie, by spocząć na Mariuszu. Wpatrywała się w niego z mieszaniną zaskoczenia

oraz czegoś, co Jagoda określiłaby jako cielecy zachwyty. Świetnie, jeszcze tego brakowało, żeby jej uczennica zadurzyła się w szefie WMM!

– Soniu. Witaj – odezwał się Antoni. Stał sztywno wyprostowany, wyraźnie czuł się niekomfortowo w takim towarzystwie. – Może przejdziemy do Ciebie?

Jagoda chciała się wycofać, ale Mario blokował przejście. Jeden krok w tył i wpadłaby prosto na niego. Nie zdążyła poprosić, by się odsunął – a najlepiej poszedł w diabły – bo Sonia skrzyżowała ramiona na piersi i oświadczyła hardo:

– Możesz mówić przy mojej mistrzyni. – Po czym rzuciła Jagodzie spojrzenie, które aż krzyczało: „Nie zostawiaj mnie tutaj!”. Z jakichś powodów nie chciała rozmawiać z bratem w cztery oczy.

Antoni się zawahał, po czym przeniósł wzrok na Olchę.

– A on?

– On właściwie miał wychodzić – wtrąciła Jagoda, nim Mario sam odpowiedział.

– Aż tak się nie spieszę – zapewnił i wiedźma musiała zwalczyć impuls nakazujący uderzyć go łokciem w brzuch. Nie mogła pobić szefa WMM.

A przynajmniej nie mogła tego zrobić przy świadkach. Antoni spochmurniał, zerkając to na Maria, to na Jagodę. Było w jego wzroku coś takiego, że wiedźma spięła się, pełna obaw, czy Bielecki nie spróbuje zaraz zajrzeć do jej

umysłu. Niepotrzebnie jednak zaczęła szykować się do obrony, bo Antoni znów spojrzał na siostrę.

– Chcę, żebyś wróciła do domu.

– Nie. To wszystko? – odparła Sonia natychmiast. Nie wydawała się zaskoczona prośbą. Być może brat już wcześniej próbował się z nią skontaktować i dlatego nie chciała zostać z nim teraz.

– Bądź rozsądna – nakazał Bielecki. – Ta okolica jest niebezpieczna. Tuż pod tym blokiem napadnięto na dwie czarownice...

– Zaraz – przerwał mu Mario ostro. – Skąd o tym wiesz? O drugim przypadku? Jaga? Powiedziałaś mu?

– Jaga? – powtórzył Antoni z zaskoczeniem.

– Jagoda i nic mu nie powiedziałam.

– A skąd ty o tym wiesz? – spytał Bielecki. – Wiedziałaś, że ktoś... coś poluje na twoim osiedlu i nie odesłałaś mojej siostry?!

– Nie odesłała mnie?! Kim ja twoim zdaniem jestem, przesyłką pocztową?! – wściekła się Sonia. – Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić!

– Chwileczkę! – Mario podniósł głos, próbując przekrzyczeć pozostałych. – Informacje o drugim ataku są zastrzeżone, wie o nim może kilkanaście osób. Kto, do cholery, ci o nim powiedział?!

– Jeżeli twoi ludzie nie potrafią zachować dyskrecji, to już nie moja sprawa – warknął Antoni, porzucając uprzejmy ton. Sięgnął ku Soni, chwytając ją za przedramię. – Ja zabieram swoją siostrę i...

– Nie! – zaprotestowała dziewczyna. Wyrwała się z uścisku i czmychnęła za Jagodę, wpychając się pomiędzy nią a Olchę. Tym razem to ona zacisnęła palce na ramieniu wiedźmy, mocno, aż sprawiła jej ból. – Nie chcę, nie pójdę!

– Antoni, ona...

– Kiedy nabierzesz rozumu?! Gdy poszatkuje cię jakiś demon?! Twojej nauczycielki najwyraźniej nic to nie obchodzi! Wracasz ze mną!

– Bielecki! Mów, skąd to wiesz, albo zaraz cię aresztuję za utrudnianie śledztwa!

– Olcha...

– Spróbuj tylko! Moi prawnicy urządzają ci jesień średniowiecza!

– ZAMKNIJCIE SIĘ!!! – wrzasnęła Jagoda. Uznała, że próby spokojnego wyjaśnienia mężczyznom, że Sonia jest dorosła, nigdzie iść nie musi, a żaden z nich nie został tu zaproszony i nie będzie robić awantury w jej mieszkaniu, są bezsensowne.

Nitki magii wystrzeliły, wplatając się w aury intruzów; zaklęcie na krótką chwilę zmusiło ich do milczenia. Jagoda wycofała je niemal natychmiast, gdy tylko zrozumiała, co zrobiła – ale tym razem ani jej to nie przeraziło, ani nie zdenerwowało. Bo wreszcie osiągnęła cel: mężczyźni się zamknęli.



– Wychodźcie stąd. Obaj – poleciła, spokojnie, ale stanowczo.

– Ja nie...

– Chciałbym...

– Wynocha z mojego mieszkania! – warknęła, sięgając do klamki. Otworzyła drzwi, a potem bezceremonialnie popchnęła Bieleckiego, napierając na niego całym ciałem. Był na tyle zaskoczony, że cofnął się za próg, a Jagoda natychmiast zatrzasnęła za nim osłonę.

– Sonia...

– Sonia jest dorosła i sama zdecyduje, co chce zrobić – odparła wiedźma. W głębi ducha zgadzała się, że dziewczyna byłaby bezpieczniejsza w willi Zawickich. Gdyby spotkanie przebiegało w innych warunkach, może sprzymierzyłyby się z Antonim i spróbowała namówić uczennicę do zmiany zdania. Jednak przedstawienie, które urządzili mężczyźni, tylko ją rozsierdziło.

– Ty też. Wychodź, już. Chcesz z nim rozmawiać, świetnie, ale nie tu! – zwróciła się do Olchy.

– Chcę tylko...

– Ja chcę tylko, żebyś stąd wyszedł – przerwała mu. – Chyba że masz zamiar mi wyjaśnić, co tu robisz? Nie? Tak myślałam. W takim razie żegnam.

– Jagoda... – zaczął Antoni za progiem. Został zignorowany. Jagoda chwyciła Mariusza za łokieć i pociągnęła w stronę drzwi. A raczej spróbowała to zrobić. Olcha nie ruszył się z miejsca.

– Wychodzisz albo uaktywniam klątwę przeciwko intruzom. I nie, nie możesz oskarżyć mnie o napaść na funkcjonariusza na służbie, bo odmawiasz podania powodów pojawienia się, czyli nie jesteś tu służbowo. Nie popełniłam żadnego przestępstwa, a ty przebywasz na moim terenie bez mojej zgody. Mam na to świadków.

Mario chciał chyba protestować, syknął z niezadowoleniem, ale w końcu pozwolił się wypchnąć z mieszkania. Musiało do niego dotrzeć, że Jagoda nie żartuje. Albo wreszcie zrozumiał, że niczego tu nie uzyska.

Zatrzasnęła za nimi drzwi, przekręciła zamek, a potem oparła czoło o drewno, nagle pozbawiona sił. Ta konfrontacja kosztowała ją tyle, że czuła niemal fizyczne zmęczenie. Głosy Antoniego i Maria jeszcze przez chwilę rozbrzmiewały na schodach, ale, na całe szczęście, obaj ruszyli w dół. Musieli wpaść na to, że pewnych rzeczy nie należy omawiać w miejscu, gdzie mogą ich usłyszeć osoby postronne.

– Dzięki – wymamrotała cicho Sonia.

– Nie ma sprawy – odparła automatycznie Jagoda – ale Antoni w jednym ma rację. Osiedle nie jest bezpieczne. Lepiej, jeśli nie będziesz wychodzić sama, zwłaszcza po zmroku.

– Rzuciłaś w nich czymś...? – spytała Zawicka niepewnie. – Zdawało mi się... sama nie wiem...

– Nie do końca – westchnęła Jagoda. Jak miała wyjaśnić to Soni? Magia, którą władała, bywała nieposłuszna. Nie mieściła się w ramach, w jakich zwykle opisywano przekleństwa. – Istnieje klątwa odbierająca głos. Nie rzuciłam jej, nie w pełni, ale... to było swego rodzaju echo klątwy. Uciszyło ich. Na moment.

– A Mariusz Olcha... Czego chciał? Chodziło o tę napaść?

– Nie. Myślę, że szukał Caleba. Pewnie upierał się, że zostanie, bo liczył, że wyczuje ślady jego aury.

Na całe szczęście oczyściła mieszkanie. Wymiotła pozostałości obcej energii. Jeżeli coś zostało, to nie wystarczająco dużo, by Olcha mógł to wyczuć. Przynajmniej póki nie wszedłby do salonu i nie spędził w nim przynajmniej kilkunastu minut.

– Aha – podsumowała Sonia. – Tylko dlaczego tak mu na tym zależało?

– Tego się muszę dowiedzieć.

Jagoda obróciła się plecami do drzwi. Co doprowadziło tu Olchę? I czemu tak uparcie próbował znaleźć Blythe'a? Czy miał tropy wskazujące na to, że Uczeń Czarnoksiężnika jest winny?

Sonia pociągnęła nosem.

– Co tak śmierdzi?

– Cholera – zaklęła Jagoda, rzucając się do kuchni. Wyglądało na to, że Antoni i Mario nie tylko zdołali ją zdenerwować, ale też pozbawili je obiadu oraz garnka.



ROZDZIAŁ 7

**DEMON W MIEŚCIE**

Gdy Jagoda wstała, za oknami wciąż było ciemno: słońce jeszcze nie wzeszło, a po osiedlu snuła się mgła zmieszana ze smogiem. Szron pokrył trawniki i gałęzie drzew, a temperatura utrzymywała się w okolicach zera – zupełnie

jakby wciąż trwał luty, a nie kwiecień. Czarownica nie chciała wychodzić z bezpiecznego mieszkania, póki słońce nie znajdzie się wysoko na niebie, więc poćwiczyła jogę, a potem spędziła pół godziny, medytując w kręgu. Przerwała jej dopiero Sonia – wpadła do salonu i podetknęła Jagodzie pod nos swój smartfon. Najnowszy artykuł na MAGnecie informował o kolejnej napaści.

Ulica, na której do niej doszło, znajdowała się na tyle blisko jej, że Jagoda wiedziała: nie mogło być mowy o przypadku. Albo demon krążył w pobliżu, polując konkretnie na nią, albo uczynił swoim terenem łownym tę właśnie okolicę. Jeśli to drugie, wówczas i tak stałyby się jego celem. W pobliżu nie mieszkało dostatecznie wielu magicznych, aby istota miała duży wybór.

– Nie powinnaś dziś wychodzić – powiedziała do Soni, oddając jej telefon.

Dziewczyna się zawahała.

– Neo znów mnie zaprosił – przyznała w końcu z oporami. – Gadaliśmy wczoraj wieczorem na Messengerze.

Neo. Przelotnie zastanowiła się, czy przypadkiem kolega Soni nie tylko nie jest niemagiczny, ale też nie został przysłany przez jej brata. Nie chciała jednak niepotrzebnie mieszać dziewczynie w głowie: najpierw powinna pogadać o tym z Sebastianem, a to musiało poczekać.

– Lepiej, gdybyś wymówiła się katarem – zasugerowała Jagoda. – To nie są żarty. Kilka kobiet nie żyje.

Sonia wykręciła sobie palce, jak zwykle w momentach zdenerwowania.

– Jaga?

– Aha?

– Dorwiesz go?

Ja jego albo on mnie, pomyślała. A on jest silniejszy.

– Prędzej czy później na pewno znów się z nim spotkam – odparła wymijająco, podnosząc się. – Na razie pojedę do enklawy.

– Do Caleba? Chcesz go spytać o Maria?

– Między innymi.

Plan obejmował przede wszystkim spytanie ubożęcia o to, co Caleb robił pod jej nieobecność. Nie mogła zmusić Blythe'a do udzielenia odpowiedzi, ale ubożę – nawet jeżeli na pewno będzie przy tym narzekać – odpowie na wszystkie pytania.

Poza tym dręczyła ją myśl, że może nie zastać Ucznia Czarnoksiężnika w enklawie.

– Może pojechałabym z tobą?

– Lepiej nie.

Udała, że nie dostrzega rozczarowania na twarzy uczennicy. Niezależnie od tego, co o tym myślała Sonia, Jagoda wciąż wołała trzymać ją jak najdalej od Caleba. Nawet jeśli mówiąc o Soni, tylko się droczył, nawet jeżeli nie mordował kobiet na warszawskich ulicach, wciąż był potężny i niebezpieczny. W dodatku przystojny i tajemniczy, a to, biorąc pod uwagę gust i zainteresowania Soni, mogło się skończyć tylko katastrofą.

– Wrócę za parę godzin i razem zdecydujemy, co dalej – obiecała. – Nikogo nie wpuszczaj. Gdyby ktoś się pojawił, udawaj, że cię nie ma. W razie gdyby coś się stało, dzwoń do mnie, a jeśli będę akurat w enklawie, bez zasięgu, to do mojego brata. Na szafce zostawiam numer do niego i do firmy. Gdybyś musiała dzwonić do firmy, podaj się za mnie. Zostawię ci też numer do Mariusza Olchy, ale do niego dzwoń tylko w ostateczności.

W enklawach – nawet głównej, warszawskiej, którą modyfikowano pod tym kątem – telefonom komórkowym zdarzało się wariować, więc Jagoda wołała się przygotować na każdą ewentualność.

– Okej – mruknęła Sonia niechętnie. Chyba chciała powiedzieć coś jeszcze, ostatecznie jednak zrezygnowała. Obserwowała w ciszy, jak Jagoda się ubiera i wychodzi.

Czarownica przystanęła na parkingu, odruchowo rozglądając się za ludźmi Maria. Wyczuwała słaby ślad po zakłęciach, zamaskowanych starannie, ale nie na tyle dobrze, by nie zdołała ich wyłapać.

Olcha postawił kogoś na posterunku. Trudno. Jeśli nawet spróbuje za nią jechać, dyskretne śledzenie jej na drodze do Bromierzyka było niemożliwe. Wejście do enklawy bez wyraźnej zgody właścicielki również.

\*

Nikt za nią nie jechał, przynajmniej odkąd poruszała się bocznymi drogami. Mimo to co rusz zerkała we wsteczne lusterko, gdy zaś wysiadła z auta w lesie, powoli pochłaniając opuszczoną miejscowość, czuła się niepewnie. Bromierzyk od zawsze wzbudzał w niej pewną nerwowość.

Nie było tu już właściwie nawet budynków – ot, fragment schodów wiodących niegdyś pewnie do czyjegoś domu, a teraz donikąd, pozostałość fundamentów, kilka drzewek owocowych i ruiny kapliczki pośród drzew. Jagoda próbowała znaleźć dane na temat historii tego miejsca, ale nie dotarła do wielu faktów. Wieś powstała przed drugą wojną światową, nie istniała więc pewnie, kiedy stworzono enklawę, ani nawet wtedy, kiedy przejęła ją babka. Wskutek działań wojennych zniszczono tutejszy kościół, a część mieszkańców wysiedlono, gdy powstał tu park narodowy. Ostatecznie opustoszała przed kilkunastu laty. Wiedźma w magicznych archiwach nie znalazła żadnych informacji, aby mieszkali tu magowie albo doszło do magicznych katastrof. A jednak aura tego miejsca przyprawiała ją o dreszcze.

Szła szybkim krokiem, powstrzymując odruch oglądania się za siebie. Dopiero kiedy wejście do enklawy otworzyło się przed nią, odetchnęła z ulgą. Być może to miejsce było niegdyś domem czarnoksiężnika, a potem mrocznej wiedźmy, ale teraz należało do niej. Ktokolwiek przyszedłby tu po nią, musiałby się zmierzyć z czymś znacznie trudniejszym do pokonania niż moc silnej wiedźmy kłatw.

Raz już tu walczyła. I omal nie przegrała. Ale wtedy jeszcze nie umiała wykorzystać magii tego domu. W dodatku kobieta, której stawiała czoło, miała zaproszenie, nigdy niecofnięte, a ubożę strzegące wiedźmiej siedziby nie widziało w niej wroga. I nawet wtedy osłony spowijające budynek powstrzymały napastników. Teraz, gdyby nawet pojawiła się cała armia, prawdopodobnie odbiłaby się od bram enklawy.

Jagoda ściągnęła szalik i zdjęła kurtkę, idąc w stronę domu. Tam, skąd przyszła, trwało przedwiośnie, chłodne, mokre i mgliste. Tutaj świeciło słońce, w koronie drzewa śpiewał ptak, owady uwijały się pośród kwiatów, a na gałęziach jabłoni dojrzewały owoce. Spokój tego miejsca na chwilę udzielił się także Jagodzie. Przystanęła na ścieżce i przymknęła oczy, po raz pierwszy od paru dni zrelaksowana. Wdychała zapachy, wsłuchiwała się w ptasi świergot, chłonęła magię.

Nie trwało to jednak długo. Zaraz przypomniała sobie, że nawet tu nie jest w pełni bezpieczna. Enklawa nie była domem wróżki z bajki, tylko zamkiem czarownika z mrocznych opowieści, a w domu na Jagodę czekał prawdziwy czarnoksiężnik. Ledwo uniosła powieki i popatrzyła w górę, dostrzegła Caleba. Stał przy oknie na piętrze, spoglądając na nią przez szybę. Zaciśnęła wargi, zła na siebie, że pozwoliła się przyłapać w chwili słabości, po czym weszła do domu.

Blythe nie zszedł na parter. Pasowało jej to: chciała najpierw rozmówić się z ubożciem. Ruszyła prosto do jadalni i starannie zamknęła za sobą drzwi. Nie musiała nawet wołać stworzenia – gdy tylko się odwróciła, chcąc je wezwać, odkryła, że już siedzi na jednym z krzeseł. Jego stopy zwisały nad podłogą.

– Czy Caleb próbował opuścić enklawę?

– Nie.

– Używał magii?

– Ano używał.

– Jakiej? – spytała. Powinien oszczędzać siły, a w domu miał wszystko, czego potrzebował, i bez czarów. Ale być może zrobił coś niewinnego. Próbował doleczyć własne rany, naprawić potłuczony talerz.

– Niedobrej – burknęło ubożę. – Niedobry chłopak. Krąg narysował. Coś w nim palił. Nie wie, że w domu się nie pali? W palenisku tak, ale nie na podłodze! Ślady zostały. Sprzątać będą musiał.

Słowa były jak uderzenie w żołądek. Jagodzie na moment zabrakło tchu. Caleb mógł narysować krąg, by zregenerować siły, ale jeżeli coś w nim spalił, na pewno rzucał zaklęcia. Silne, wykraczające poza magię stosowaną na co dzień.

„Niedobra magia”.

– Czy to była czarna magia?

– Ja tam nie wiem. Nie była taka zła jak ta, co pan ją stosował. Ale się mi nie podoba. Coś w niej... niedobrego, ot co. Niedobre odczucie. Coś obcego.

Powinłam była uważniej studiować demonologię, pomyślała z wyrzutem, po raz kolejny w ostatnim czasie. Blythe nie opuścił enklawy, nie napadł więc nikogo osobiście. Ale czy mógł stąd coś przywołać? Wysłać na łowy?

– Próbował się dostać do pokoi, które zamknęłam?

Ubożę pokręciło głową.

– Stał przed wejściem do wieży. Długo. Ale z osłonami nie walczył.

Może je sprawdzał, pomyślała. Co takiego było na wieży, że go przyciągała? Jagoda, choć zdążyła zwiedzić niemal cały dom, do tej pory tam nie weszła. Coś odpychało ją od tego miejsca. Może świadomość, że to tam czarnoksiężnik trzymał w zamknięciu Izabelę? Może echa magii poprzedniego pana domu?

A może dokładnie to, co sprawiało, że chciał tam wejść Caleb Blythe?

– Coś jeszcze?

– E, nic. Po tym, jak w kręgu zaklęcia rzucił, spać poszedł. Pół dnia, a potem całą noc spał i dzisiaj ledwo co wstał, jak tu przyszła. Się pojawiła, pod dom podeszła, to się poderwał.

– Wyczuł mnie – stwierdziła z zaskoczeniem.

Jak? Czy prababka nauczyła go, jak wykrywać, że ktoś przybywa do enklawy? A może wylapał ślady aury Jagody, jej amuletu ochronnego czy przygotowanej klątwy? Była niezła w wyczuwaniu magii, wyrastała pod tym względem ponad przeciętność, ale coś takiego pozostawało poza jej zasięgiem. Zwłaszcza podczas snu.

Poczuła ukłucie strachu. Kim, do cholery, był Caleb Blythe? W jak wielu dziedzinach celował?

– Jeśli będę musiała z nim walczyć, możesz mi pomóc? – spytała domowika bez ogródek. Może nie było to sprawiedliwie, ale jeżeli Blythe naprawdę nasłał demona na warszawskie wiedźmy, Jagoda nie planowała grać uczciwie.

– A po co walczyć? – zaniepokoiło się ubożę. – Znowu coś uszkodzą!

– Mogę nie mieć wyjścia.

Ubożę chyba się skrzywiło – przez gęstą brodę trudno było dostrzec jego wyraz twarzy.

– To pomogę.

– Dziękuję.

– Nie dla niej to robię! Dla domu!

– Wiem, wiem – westchnęła.

Potarła dłonie: opuszki palców zdawały się aż swędzieć od magii. Choć w enklawie panowało lato, odczuwała chłód. Bała się starcia z Calebem, nawet tu, na swoim terenie. Bardziej niż niegdyś walki z Izabelą. Nie tylko dlatego, że był Uczniem Czarnoksiężnika, znającym zapewne czarną magię, utalentowanym w wielu dziedzinach, także w rzucaniu klątw. Chodziło również o to, że nie chciała z nim walczyć. Tak, Blythe ją irytował, ale przez te dni, które spędzili pod jednym dachem, przestał być dla niej kimś obcym. Była o to zła na samą siebie, ale choć ją często złościł, zdążyła go polubić.

– Nie idzie do niego? – spytało ubożę.

Jagoda wzdrygnęła się, wyrwana z ponurych myśli.

– Idę.

Dom zdawał się jej dziwnie cichy i ciemny, gdy szła przez salon, a potem wspinała się po schodach. Jakby wyczekiwał czegoś w napięciu.

Zapukała do pokoju Caleba.

– Wejdz.

Uchyliła drzwi. Jej wzrok padł najpierw na Blythe'a. Siedział na krześle, rozczochrany i blady, zapewne zgodnie ze słowami ubożęcia ledwo co wyrwany ze snu. Ciemna koszulka, którą mu kupiła, była pognieciona. Przypatrywała się mu przez chwilę, nim spuściła wzrok na podłogę. Dostrzegła ciemniejszy ślad tylko dlatego, że wiedziała, czego szukać. Gdy się skupiła, wylapała zanikające echo

magii.

– Co to? – spytała cicho. Chłód, który czuła już wcześniej, narastał, wypełniał jej ciało zimnem. Caleb drgnął, przez jego twarz przemknęło zaskoczenie. Nie spodziewał się, że to zauważy. Zaraz się uśmiechnął, trochę cynicznie, jakby w jednej chwili odzyskał pewność siebie.

– Sama wiesz. Najwyraźniej jesteś jak Joanna. Też zawsze wiedziała, co tu się działo.

Porównania do prababki ją irytowały. Caleb prawdopodobnie zdawał sobie z tego sprawę. Znow próbował wytrącić Jagodę z równowagi. Teraz jednak jego słowa nie miały znaczenia.

– Próbowalesz przywołać demona?

Uniósł brwi.

– Masz mnie za idiotę? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Ataki. Doszło do kolejnego.

– A ja się teleportowałem tam i z powrotem – parsknął Caleb, ale szyderczy uśmiech spęzł mu z ust. – Co dokładnie się stało?

Jagoda nie odpowiedziała. Przeszła przez pokój i przyklękła tam, gdzie Blythe wcześniej musiał nakreślić krąg. Położyła dłoń dokładnie w miejscu wypalenia. Skupiła się, poszukując śladów magii – a potem gwałtownie ją cofnęła, czując, jakby przyłgnęło do niej coś lepkiego i nieprzyjemnego.

Niedobra magia.

Caleb starł znaki. Ale cokolwiek tu robił, miało to związek z czymś paskudnym.

– Zadowolona? – spytał sucho. Podniosła się powoli, licząc się z tym, że Uczeń Czarnoksiężnika ją zaatakuję. Nie ruszył się jednak. Nie przyzwał mocy. Nie wykonał żadnego gestu.

Może magia, której użył, zbyt go wyczerpała?

– Wysłałeś demona za tymi dziewczynami? – spytała. – Wysłałeś go za mną?

– O czym ty... – Wstał i postąpił w jej kierunku. Cofnęła się ku drzwiom. Każde pomieszczenie w domu miało pewną ochronę. Jeżeli Caleb rzuciłby się na Jagodę, wystarczyłoby, że wyskoczyłaby za próg i zaciągnęła osłonę. To dałoby jej przynajmniej kilka dodatkowych sekund.

– Tej nocy, kiedy cię tu wywiozłam? Gdy zaatakowano tę dziewczynę? Widziałam go.

– Widziałaś... – Urwał. Pokręcił głową. – Skąd pomysł, że to demon?

– Świejące oczy, wielka sylwetka, nienaturalnie szybkie ruchy, ofiary rozrywane na strzępy – wyliczyła, zmuszając się do zachowania spokojnego tonu. Nie wspomniała mu wcześniej, że widziała napastnika. Nawet o tym nie pomyślała. – To całkiem niezła podpowiedź. Przywołałeś go tutaj? Czy to dlatego Mario próbował cię szukać w moim mieszkaniu? Czegoś się dowiedział?

– Zaatakował cię?! – warknął Caleb. Wyciągnął ku niej rękę, próbując ją chwycić, ale wywinęła się spod jego dłoni i wyskoczyła na korytarz.

– Ty naprawdę masz z tym coś wspólnego – wyszeptowała, cofając się jeszcze bardziej. Zwinęła wokół palców kłutwę, ale jej aura zafalowała i Jagoda zrozumiała, że jeśli spróbuje użyć przekleństwa, własna magia znow obróci się przeciwko niej.

Blythe nie był zaskoczony, gdy opisała napastnika. Wiedział, co atakowało te kobiety. Najwyraźniej taki dowód nie wystarczył, aby przyrzeczenie straciło ważność.

Albo sama wciąż nie chciała w to uwierzyć.

– Co się, do cholery, dzieje? – wycedził.

– Powinam zapytać o to ciebie. Odkąd się pojawiłeś, w pobliżu wciąż ktoś jest atakowany. Coś kręci się wokół mojego mieszkania. Jeżeli to nie ty wysłałeś na miasto potwora, to z łaski swojej wyjaśnij mi, co cię zraniło, dlaczego używałeś w enklawie niebezpiecznej magii i czemu szuka cię Olcha.

Przystanął tuż przy drzwiach, oparł się o futrynę. Przesunął wzrokiem po progu, najwyraźniej wyczuwając, że Jagoda zablokowała wyjście. Prawdopodobnie mógłby błyskawicznie zniszczyć ten rodzaj ochrony, jednak nie próbował tego zrobić – przynajmniej na razie.

– Co naprawdę stało się tamtej nocy? – spytał, unosząc głowę.

– Zaatakowano dziewczynę. Byłam w pobliżu. Widziałam napastnika. Postrzeliłam go – wyrecytowała monotonnym głosem, jakby wywołana do tablicy. – Nakreśliłam ochronny krąg i wezwałam pomoc. Potem ktoś... coś próbowało się przedrzeć przez osłony mojego mieszkania. Ktoś szedł za mną i Sonią. A teraz, akurat tuż po tym, jak używałeś mrocznej magii w tym domu, zaatakowano

kogoś ponownie.

Caleb milczał. Bardzo długo. Patrzył na Jagodę, aż w końcu zapragnęła nim potrząsnąć, uderzyć, byle wreszcie uzyskać konkretne informacje.

– Zdejmij osłonę – polecił w końcu, niemal łagodnie. – Szkoda, żebym musiał ją przełamać.

– I? Co wtedy? Pójdiesz przywoływać demony?

– Nie przywołałem żadnego demona. Próbowałem... kogoś znaleźć. Na każdy dostępny mi sposób. Ale i tak nie zamierzasz mi uwierzyć, prawda?

Gdyby nie chciała mu uwierzyć, gdyby nie pragnęła jasnych odpowiedzi, nie pytałaby.

– A ty nie zamierzasz mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

Pokręcił głową.

– Nie zamierzam – zgodził się z nią. – Zdejmij osłonę. Sądziś, że możesz mnie tu uwięzić jak Joanna? Nie jestem już nastoletnim chłopcem.

Zalewała ją wściekłość. Przez chwilę naprawdę się zastanawiała, czy faktycznie zdołałaby go uwięzić. Zamknęła kiedyś drzwi enklawy przed dwojgiem potężnych magów, a jedno z nich uwolniło się kosztem drugiego – i to tylko dlatego, że Jagoda wtedy jeszcze nie rozumiała dobrze tutejszej magii. Teraz byłaby skuteczniejsza.

Otrzeźwienie przyszło niemal natychmiast. Nie była prababką. Nie była czarnoksiężnikiem. Nie mogła postępować jak oni. Być może będzie musiała walczyć z Calebem, ale nie spróbuje go tutaj zamknąć tylko dlatego, że ją zdenerwował.

Ledwo osłona opadła, Blythe przestąpił próg. Minął Jagodę i skierował się ku schodom. Nie utykał już i choć wciąż poruszał się niezbyt szybko, ostrożnie, jakby bał się gwałtowniejszych ruchów, wyglądało na to, że jego stan uległ poprawie. Po takich obrażeniach i wyczerpaniu magicznym doszedł do siebie zadziwiająco szybko.

– Blythe?

Nie odpowiedział. Zdażył zejść na dół, nim Jagoda zrozumiała, co planuje. Zbiegła po stopniach akurat, gdy zbliżał się do drzwi. Sięgnął po swoją kurtkę, przerzuconą przez wieszak.

– Poważnie? – spytała.

Caleb spojrzał na nią przez ramię. Chłodno, nieprzyjemnie.

– Zrobisz najlepiej, jeśli przeprowadzisz się do domu Wilczków. Zabierz ze sobą tę małą. Skoro coś kręci się wokół waszego mieszkania...

Urwał. Sięgnął do klamki i wyszedł na zewnątrz, do ogrodu. Jagoda ruszyła za nim i przystanąła na progu. Jeżeli nic nie wiedział...

– Caleb! – zawołała. Spodziewała się, że ją zignoruje, ale przystanął. Tym razem się nie obejrzał.

– Coś wpadło na twój ślad? Ta... istota zaatakowała cię wcześniej?

– Naszą umowę uważam za zakończoną. Do zobaczenia, Belladona.

Magiczna nić, której istnienia wcześniej nawet nie była świadoma, pękła. Przysiężenie zostało wypełnione.

Jagoda patrzyła, jak Caleb idzie ścieżką. Znikł jej z oczu, ukryły go krzewy i drzewa, ale wciąż wyczuwała jego obecność. Wiedziała, że idzie prosto do muru, tam, gdzie znajdowało się główne wyjście.

Mogłaby je przed nim zamknąć. Pozwoliła mu jednak pokonać bramę i zniknąć: z enklawy i zapewne z jej życia.

Tak było lepiej.

Przynajmniej to sobie powtarzała, choć w głębi serca żałowała teraz rzuconych mu w twarz oskarżeń. Nie wierzyła już, że był mordercą. I jakoś wcale nie było jej z tą myślą lżej. Blythe zdołał wprowadzić zamęt do jej życia i głowy.

Z ust wiedźmy wyrwało się westchnienie. Przez ułamek sekundy miała ochotę za nim pobiec, zamiast tego jednak zrobiła krok w przód, a potem przysiadła na schodkach i objęła się rękoma. Całe lata próbowała kierować się rozsądkiem, a pognanie za Uczniem Czarnoksiężnika, złym chłopcem, jak nazwała go Sonia, na pewno nie byłoby rozsądne. Zamknęła oczy i trwała tak przez chwilę, starając się uspokoić nerwy, oczyścić myśli. Zawiał wiatr: chłodny i niosący zapowiedź jesieni. Niebo zaczęło

szarzyć, jakby w odpowiedzi na nastrój Jagody. Być może pora roku w enklawie miała wkrótce się zmienić.

– Ten człowiek to chodzący kłopot – wymruczała do siebie, gdy przestała czuć obecność Caleba.

– Taki był zawsze.

Wyprostowała się, słysząc głosik ubożęcia. Stworzenie przysiadło na barierce wytyczającej granice tarasu i przypatrywało się Jagodzie małymi ciemnymi ślepiami.

– Jak długo trzymała go tutaj moja prababka? – spytała po chwili zawahania. To była historia Caleba. Być może nie powinna o nią pytać. Nie chciałyby, aby ktoś grzebał w jej przeszłości. Sięgał ku wspomnieniom, którymi nie miała ochoty się dzielić.

– Na zewnątrz wiosna była, jak go sprowadziła, a późna jesień, jak wyszedł. Raz wszystko podpalić próbował – oświadczyło ubożę, a w jego głosie pobrzmiwało oburzenie.

Ponad pół roku samotności. Dużo, zbyt dużo jak na nastoletniego chłopca. Co Joanna Wilczek sobie myślała, robiąc coś takiego? Jagoda po raz kolejny pożalowała, że prababka nie żyje. Chętnie ucięłaby sobie z nią pogawędkę i wygarnęła jej parę rzeczy. Błędy popełnione przez tę kobietę wracały raz po raz, ścigając prawnuczkę.

– Takich jak on nie zamyka się w klatce.

– Ano – zgodziło się z nią ubożę. – To on jest tu wilk, nie ona. Taki to haps, zamknięty czy tresowany, rękę odgryzie, jak go złość weźmie. Dobra rzecz, że sobie poszedł.

– A ja?

– Co ona? Ona iść chyba nie zamierza, a? Nie tak całkiem? – zaniepokoiło się ubożę.

Jagoda pokręciła głową.

– Nie. Chodzi mi o to... czy kiedyś tu byłam.

– No pewno. Przecie mówiłem! Pamięć u niej nie ta?

– Byłam dzieckiem.

Próbowała sobie przypomnieć, ale nie mogła. Wspomnienie tego domu zamazało się w jej pamięci. Może była zbyt mała, a może to miejsce było tak fantastyczne, tak niepodobne do tego, z czym miała styczność na co dzień, że z biegiem lat zaczęła uważać wizyty tu za sen – i pozwoliła, by utonęły w otchłani niepamięci, pośród innych dziecięcych fantazji.

– Mała była – przyznało ubożę. – Mniejsza ode mnie jeszcze. Głośna, aż mi w uszach dzwoniło. Po domu latała. A ten tu za nią. Parę razy tu była, jak jego tu pani trzymała. Potem nigdy.

Parę razy. Biegała po domu – a Caleb za nią. Czy dlatego zdawał się rozczarowany, że go nie pamiętała? Nawet jeśli była wtedy dzieckiem, którego obecność w innych okolicznościach mogłaby być uciążliwa dla nastoletniego chłopca, stała się dla niego jedynym towarzystwem w samotności. Spędził tu całe miesiące, a pewnie też przed tym, jak go tu zamknięto, Joanna Wilczek nie pozwalała mu na swobodę i kontakt z rówieśnikami.

– Trudno mi w to uwierzyć.

Nie tylko dlatego, że nie pamiętała. Babka naprawdę pozwalała swojej matce zabierać małą Jagodę, dokąd się tej żywnie podobało? A może prababka nigdy się nie przyznała, dokąd wywozi dziewczynkę? Może babka w końcu się dowiedziała i ukróciła te wizyty? Czy to mógł być powód scysji pomiędzy nimi?

Tak bardzo chciała to wszystko zrozumieć. Ale jedyna osoba, która mogłaby udzielić jej odpowiedzi, leżała w grobie od ponad dwudziestu lat.

– Czy prababka... czy uczyła Caleba czarnej magii?

– A mnie wiedzieć, co wy za czarną magię macie? Demonów nie przywoływali. Ofiar nie składali. Tak złej magii jak pan i pani Izabela tu nie robili. Ale silną już tak. Mnie się tam nie podobała.

Chyba nigdy się nie dowiem, pomyślała, podnosząc się powoli.

Nigdy nie będzie pewna, czy Caleb, oprócz tego, że był uczniem czarnoksiężnika, sam też był czarnoksiężnikiem. Nigdy się nie dowie, jak daleko zawędrował na ścieżce, na którą weszli jego mistrz i mistrzyni.

Próbowała siebie przekonać, że to nie ma już znaczenia. Prawdopodobnie więcej się nie spotkają. I dobrze – Caleb ściągnął jej na głowę same kłopoty. Jeśli nawet nie przyzwał tego stwora, na pewno



miał z nim coś wspólnego. Rany na ciele Blythe'a mogły zostać spowodowane przez tę samą bestię, która atakowała kobiety. Ta myśl pozwoliła Jagodzie znów poczuć gniew. Caleb swoim milczeniem narażał Sonię i każdą czarownicę mieszkającą w niemagicznej części Warszawy. On zdołał oprzeć się bestii, ale skoro mimo całej swojej mocy wyszedł ze starcia tak poraniony i kompletnie wydrenowany z magicznej energii, wzięte z zaskoczenia czarodziejki, nawet te silne, nie miały szans przetrwać konfrontacji.

W pewnym sensie Jagoda czuła się za to odpowiedzialna. Udzieliła Calebowi schronienia, a demon najwyraźniej go szukał. Rozum podpowiadał jej, że pewnie i tak by polował, jeżeli nie tu, to gdzieś indziej, ale na poziomie emocjonalnym trudno było to przyswoić.

– Domowiku? Zrób mi herbaty, proszę – powiedziała, wstając. Weszła z powrotem do domu. Przez krótką chwilę, gdy Caleb odchodził, martwiła się o niego. Było to jednak tylko mgnienie, bo zaraz zrugała się za to uczucie. Powinna się martwić o tych, których Blythe naraził na niebezpieczeństwo. – Będę w bibliotece.

Jedną z niewątpliwych zalet odziedziczenia majątku po wiekowej wiedźmie, która interesowała się nie tylko jasną magią, była możliwość przeglądania jej księgozbioru. Jagoda nie miała wielu ksiąg o demonach, a już na pewno żadnych traktujących o ciemnych mocach, krwawych ofiarach i rytuałach przyzywających. Ale na pewno mogła znaleźć takie w tutejszej bibliotece. Nadeszła pora, by nadrobić braki w edukacji.

\*

Sonia początkowo nie planowała zapraszać Neo. Wiedziała, że Jagoda by tego nie pochwaliła. Prawie słyszała w głowie jej głos: „Co, jeżeli zobaczy coś, czego nie powinien? Albo jeżeli zostanie napadnięty tuż przed naszym blokiem?”. Co gorsza – choć niechętnie – musiała się z tym głosem zgodzić. Ich mieszkanie na pierwszy rzut oka wyglądało normalnie, ale wystarczyłoby uważnie przyjrzeć się progowi czy przykucnąć i spojrzeć na parapet od dołu, aby dostrzec wyryte na nich znaki. Wziąć z dolnych półek w salonie książkę i przypatrzeć się pozycjom stojącym w drugim rzędzie. Zainteresować się miotłą wciśniętą za lodówkę, zupełnie nieprzypominającą tych, które zazwyczaj widywało się we współczesnych domach. Przesunąć stopą dywan i odsłonić wyrysowany pod nim krąg... Nie wspominając o tym, że skoro ktoś naruszył osłony ich mieszkania i szedł za nimi nocą, mogły być obserwowane.

Było coś jeszcze, bardziej prozaiczny powód: nie chciała zostać źle zrozumiana. Nie miała ochoty iść do łóżka z ledwo poznanym niemagicznym facetem, nawet jeżeli coraz bardziej zaczynała go lubić.

Dlatego Sonia wykręciła się ze spotkania na mieście złym samopoczuciem i zadowolona się kontaktem przez Messengera. Rozmawiali o filmach, książkach i Toskanii. Gdy Neo zaproponował, że może wpadnie do niej, odmówiła. Jednak w miarę upływu czasu czuła się coraz bardziej samotna i sfrustrowana. Tkwiła w pustym mieszkaniu, bojąc się wyjść za próg. Nie miała do kogo się zwrócić po pocieszenie. Nie mogła zadzwonić do matki czy brata, bo natychmiast próbowaliby nakłonić ją do powrotu. Gdyby powiedziała o napadach i Calebie Jess, ta na pewno nie utrzymałaby języka za zębami.

Gdy słońce zabarwiło niebo na pomarańczowo, a Jagody wciąż nie było, Sonia wreszcie się złamała. Powiedziała Neo, że może wpaść – najwyżej na godzinę, obejrzyć razem odcinek serialu. Zastrzegła, że niedługo wraca jej współlokatorka, która nie lubi, gdy obcy płaczą się po mieszkaniu. Przekonywała samą siebie, że nikt nie zaatakuje Neo przed blokiem. Nie pasował do wzorca, poza tym zdaniem Jagody mieszkanie obserwowali ludzie z WMM. Słowa o rychłym powrocie współlokatorki powinny wybić mu z głowy nadmierne oczekiwania. A jeżeli próbowaliby wymusić coś siłą... Cóż, Sonia nie była może szczególnie utalentowaną wiedźmą, ale Neo był człowiekiem. Nie miał z nią szans. Nawet gdyby zaatakował z zaskoczenia, amulet ochronny odbiłby pierwszy cios. Drugiego nie zdołałby zadać.

– Cześć – przywitała się, gdy stanął przed drzwiami. Zdjęła osłony, pozwalając mu przestąpić próg.

Uśmiechnął się do niej ciepło, a potem z zaciekawieniem rozejrzał po przedpokoju. Sonia zaprowadziła go do kuchni. Uznała, że to pozwoli stworzyć niezobowiązującą atmosferę, a poza tym Jagoda zawsze tam właśnie zabierała wszystkich gości – i Sonia jakoś odruchowo zrobiła to samo.

– Ładne mieszkanie.  
– Należy do Jagody. Mojej współlokatorki. Opowiadałam ci o niej.  
– Mieszkacie tylko we dwie? – Idąc w stronę kuchni, zajrzał ukradkiem do pokoju Soni. Salon i sypialnia Jagody pozostawały zamknięte.

– Tak. Co tak... niuchasz?

– Próbowałem rozpoznać zapach – wyjaśnił, uśmiechając się przepraszająco. Usiadł na wskazanym mu jednym z trzech krzeseł przysuniętych do blatu. – Aloes, bazylia, chyba jałowiec? Macie tu sporo ziół.

– No. Trochę... – burknęła Sonia, nieco nerwowo, choć trzymanie ziół w domu nie było żadną zbrodnią. W mieszkaniu było ich jednak wręcz mnóstwo. W sezonie Jagoda hodowała rośliny na balkonie, teraz, zimą, na parapetach salonu tłoczyły się doniczki. W żyrandole przez cały rok wpleciona była odrobina jemioli, a jedna półka w kuchennej szafce była przeznaczona tylko na suszone zioła.

Matka uważała zielarską magię za przesady. Jagoda w niej nie celowała, więc nie próbowała uczyć jej Soni, ale używała ziół w niektórych rytuałach, wierzyła też, że mogą być przydatne w ochronie przed złym.

– Znasz się na ziołach? – chciał wiedzieć Neo.

Pokręciła głową.

– Nie bardzo. Jagoda tylko trochę.

– Pewnie używa ich do gotowania?

Sonia zawahała się, ale przytaknęła. Nie chciała okłamywać Neo, ale wyjaśnienia w rodzaju: „Nie, właściwie to rzadko gotuje, ale uważa, że niektóre mają właściwości lecznicze albo chronią przed klątwami i ciemną magią” mogłyby nie zostać przyjęte ze zrozumieniem. Spotkała się z Neo raptem czwarty czy piąty raz, a już musiała się uciekać do drobnych kłamstewek i półprawd. Lubiła go, ale ta znajomość chyba nie była warta takiego trudu. Może gdyby umiała się wyzbyć wyrzutów sumienia...

– Studiujesz tu? – spytał. Przestał wodzić spojrzeniem po pomieszczeniu i skupił wzrok na Soni.

– Tu...?

– W Warszawie. Wspominałaś, że jeszcze się uczysz. Mam nadzieję, że nie miałaś na myśli liceum? Bo przyznaję, poczułbym się trochę głupio.

– A – odparła, czując się jak idiotka. W pierwszej chwili zastanowiła się, skąd Neo wiedział, że uczy się od Jagody. – W pewnym sensie studiuję. Dopiero od paru miesięcy. A ty? Co robisz? Bo chyba już skończyłaś studia?

– Tak, można powiedzieć, że teraz robię doktorat. Realizuję projekt badawczy.

Przeszło jej przez głowę, że owszem, jest starszy, ale jeszcze nie aż tak stary. Ba, był chyba mniej więcej w wieku mężczyzny, którego kiedyś miała poślubić. Natychmiast zganiała się za to porównanie. Merlinie i Morgano, znała go od jakichś dwóch tygodni i planowała wkrótce spławić, a po głowie krążyły jej myśli o małżeństwie!

– Skąd pochodzisz?

– Yhym... właściwie to z Warszawy – wymamrotała. W pierwszej chwili miała chęć skłamać, ale nie była w zbyt wielu polskich miastach i łatwo mógłby ją przyłapać na nieściskościach. Z drugiej strony... niemagicznej Warszawy też wciąż nie znała zbyt dobrze. – Nie chciałam dłużej mieszkać z rodzicami. Kochają mnie i w ogóle, ale najchętniej trzymaliby mnie w złotej klatce.

– Chciałaś się usamodzielnąć.

– Właśnie. Może to głupie, ale wiesz, jak to jest, gdy ktoś inny planuje całe twoje życie? Steruje tobą? Wskazuje ci jedyną słuszną ścieżkę? Nawet jeżeli robi to z miłości?

Neo przyglądał się jej przez moment z wyraźnym namysłem.

– Tak, chyba wiem – powiedział powoli, a w jego głos wkradła się nuta gorczy, która zaskoczyła Sonię. Nawet spojrzenie miał bardziej ponure, a oczy zdały się nagle ciemniejsze.

Poczuła się głupio. Własne problemy nagle wydały się jej błahe. Prawdopodobnie Neo miał za sobą znacznie bardziej przykre doświadczenia niż starcia z matką, która nie chciała pozwolić na naukę magii i wybierała córce znajomych, oraz z ojcem traktującym jedynaczkę jak małe dziecko.

– Przepraszam.

– Za co? – spytał z zaskoczeniem. Sonia wzruszyła ramionami, zakłopotana.  
– Chyba poruszyłam wrażliwy temat.  
– Nie. – Roześmiał się, chociaż odniosła wrażenie, że tak naprawdę wcale nie jest wesoły. Może dlatego, gdy sięgnął po jej rękę, pozwoliła mu ją ująć. – W końcu oboje zeszedliśmy ze ścieżki, prawda?  
– Zobaczymy, dokąd to nas zaprowadzi – powiedziała, uśmiechając się do niego. – To co? Odpalamy ten serial? Lepiej zacząć teraz, bo Jagoda pewnie niedługo wróci, a ona naprawdę ma świra na punkcie sprowadzania tu obcych.  
A raczej – niemagicznych.

\*

Jagoda zbyt długo zamarudziła w enklawie. Przerzucała kolejne strony ksiąg, szukając odpowiedzi – i nie znalazła żadnej. Natknęła się na opis kilku demonów, które mogły działać w podobny sposób, ale to nie zawężyło kręgu podejrzanych. Zwłaszcza że w każdym przypadku istniały drobne różnice. Zdołała potwierdzić tylko tyle, że jeżeli to był demon, na pewno nie biegał samopas. Biorąc pod uwagę sposób działania, ktoś musiał go kontrolować. Nie był też raczej wyższym demonem, bo taki zostawiłby za sobą nie kilka, lecz kilkadziesiąt trupów. Przeglądanie księgozbioru wciągnęło ją na tyle, że na moment zdołała nawet przestać rozmyślać nad tym, dokąd udał się Blythe. Gdy wreszcie oderwała się od książek, kręgosłup ją bolał, nogi zdrętwiały, oczy piekły, a niebo zaczęło przybierać granatową barwę.

Kiedy tylko się zorientowała, jak jest późno, pospiesznie się zebrała. Ledwo przekroczyła granicę enklawy, rzuciła się biegiem przez las. W Bromierzyku nawet za dnia było coś, co przyprawiało ją o dreszcze, nocą zaś wieś przerażała Jagodę bardziej niż perspektywa kolejnego starcia z demonem. Dopiero teraz też uświadomiła sobie z niepokojem, że Caleb mógł zabrać jej auto, a to by oznaczało, że tutaj utknęła.

Obiecała sobie, że jeśli tak zrobił, rzuci na niego najpaskudniejszą klątwę, jaką znajdzie w książkach prababki. Nie bez powodu zachowała kawałek pokrwawionej koszuli i obcięła mu kilka włosów, gdy leżał nieprzytomny na jej kanapie. Nie planowała ich wykorzystywać, jeśli nie okazałby się zagrożeniem, ale stanowiły formę zabezpieczenia – doskonały przekaznik umożliwiający rzucenie przekleństwa.

Jej auto, szczęśliwie, stało jednak na miejscu. Nieszczęśliwie, długo nie chciało odpalić. Wściekła wiedźma, mająca już doświadczenie z tutejszymi anomaliami, musiała przepchać samochód parę metrów, nim wreszcie zdołała uruchomić silnik. Pomyślała, że prędzej czy później będzie musiała ściągnąć tutaj jakiegoś światowej klasy śniącego, zdolnego do oglądania przeszłości w snach, albo specjalistę od wyczuwania magii.

Ostatecznie wyjechała z lasu dopiero, gdy zrobiło się zupełnie ciemno. Do Warszawy dotarła grubo po dwudziestej pierwszej, z głową pełną czarnych myśli. Zerknęła na telefon – brak nieodebranych połączeń. Miała więc nadzieję, że nic się nie działo, nie było też tak późno, by ulice zupełnie opustoszały, mimo to nie mogła się pozbyć złych przeczuc. Nasiliły się jeszcze bardziej, gdy pod blokiem nie znalazła miejsca i musiała zaparkować w pobliskiej ślepej uliczce.

Zanim wysiadła, utkała klątwę na tyle silną, że zemdliło ją na krótką chwilę, i aktywowała amulet ochronny. Rzadko to robiła – nad silniejszą klątwą nierzuconą od razu łatwo można było stracić kontrolę – jednak teraz nie uznała tego za nadmierną ostrożność. Upewniła się, że ma pistolet pod ręką, i rozpięła kurtkę, by łatwiej było jej sięgnąć po nóż, zabrany na wszelki wypadek. W tych okolicznościach był najsensowniejszą bronią – strzelanie na osiedlu nie byłoby specjalnie mądre ani bezpieczne.

Jagoda nie była jasnowidzką, nauczyła się jednak nie ignorować wiedźmier intuicji. Mogła wyczuwać ślady magii albo czyjeś aury, tak subtelne, że nie do końca sama zdawała sobie z tego sprawę, lecz w jakiś sposób drażniły jej zmysły i wywoływały złe przeczucia.

Wysiadła z auta. Nie zdążyła zatrasnąć drzwi. Pobliska latarnia zgasła, a Jagoda wyczuła aurę zakłęcia, które pograżyło najbliższą okolicę w ciemności. Obróciła się gwałtownie, szukając jej źródła, i w jednej chwili dostrzegła żółte ślepie, a w następnej pędzącą na nią sylwetkę.

Odskoczyła na bok, o włos unikając zderzenia z potworem. Walnął o samochód z głuchym

łoskotem, na pewno wgniatając tylne drzwi. Jagoda, jeszcze przetaczając się po asfalcie, uwolniła świeżo zaplecioną kłatwę, sprowadzającą na ofiarę chwilową ślepotę. Istota warknęła, odwracając się ku niej. Jej nos się poruszył, jakby węszyła.

W tej chwili wiedźma nie miała czasu się nad tym zastanawiać, ale z bliska stwór zdecydowanie nie przypominał żadnego demona z rycin. Wyciągnęła broń, lecz nie zdążyła jej odbezpieczyć. Napastnik skoczył i odbił się od bariery, wytworzonej przez amulet ochronny. Bariera jednak natychmiast się rozpadła, a sam medalion niemal wyładował. Jeden cios albo jedno słabe zaklęcie – tylko tyle mógł jeszcze wytrzymać.

Jagoda wpakowała we wstające stworzenie trzy kule. Huk wystrzałów poniósł się po osiedlu, ale tym zamierzała się martwić później. Zderzyła się z maską samochodu, próbując uniknąć kolejnego ataku. Istota ponownie nie trafiła, chyba tylko dlatego, że pozostawała oślepiona i kierowała się węchem, a potraktowana kolejną kłatwą, dokładnie tą samą, którą Jagoda już kiedyś jej zaserwowała, padła na ziemię.

Wiedźma, niewiele myśląc, wskoczyła do samochodu i zablokowała drzwi. Kluczyk wpadł do torebki, a dłonie jej drżały, więc straciła kilka cennych sekund, nim odpaliła silnik. Napastnik zdołał się pozbierać i złapał z tyłu za karoserię. Zaczął ciągnąć auto w swoją stronę, nie pozwalając mu ruszyć z miejsca.

Jagoda obróciła się, pospiesznie szepcząc inkantację kolejnego przekleństwa. Wlała w nie całą swoją magię, całą wściekłość. Tę kłatwę zazwyczaj należało rzucać podczas rytuału, najlepiej wtedy, gdy miało się włos, krew albo przynajmniej jakiś przedmiot należący do ofiary. Krew popłynęła wiedźmie z nosa, w ustach poczuła metaliczny posmak, w głowie jej zawirowało, ale tylne koła opadły na ziemię, kiedy bestia, nagle pozbawiona sił, nie zdołała utrzymać ciężaru. Jagoda wcisnęła gaz i ruszyła z piskiem opon. Wykręciła na końcu uliczki, omal nie urywając lusterka o jedno ze stojących tam aut, po czym, dociskając pedał gazu do samej podłogi, grzmotnęła w próbujące się podnieść stworzenie.

Nie jechała dość szybko, aby je zabić, ale siła uderzenia ponownie powaliła potwora, dodatkowo sprawiając, że Jagodą zatrzęsło i niemal rozbiła nos o kierownicę. Przez głowę przemknęła jej myśl, że samochód będzie nadawał się do kasacji – teraz jednak nie liczyło się auto, ale przetrwanie. Wycofała, po czym znów ruszyła do przodu, chcąc powtórzyć poprzedni manewr. Lecz stwór, mimo dwóch kłatw, zdołał uskoczyć na bok. Niezgrabnie, ale na czas.

Przynajmniej miała teraz wolny wyjazd.

Auto wytoczyło się na ulicę. Zerkając w lusterko, Jagoda dostrzegła, że istota się pozbierała i najwyraźniej planuje ją gonić. Gdyby włożyła tyle mocy w tę kłatwę, celując w człowieka, ten nie zdołałby choćby się ruszyć. Wiedźma gwałtownie weszła w zakręt, uznając, że zwiększy swoje szanse, po prostu wyjeżdżając na główną drogę. Nie musiała jednak tego robić: w powietrzu mignęły zaklęcia, jedno, a potem drugie, i stwór rzucił się do ucieczki.

Ludzie Olchy, zrozumiała, dostrzegając w oddali, w blasku sprawnej latarni, znajome sylwetki. Wyhamowała, zatrzymując się na poboczu. Dłonie jej drżały, zarówno z powodu utraty energii, jak i ze stresu.

Znów z nim walczyła.

Znów to przeżyła.

– Jesteś cała?! – Maeve dopadła auta. Jej aura była rozmigotana, kobietę otaczało echo zaklęć.

Jagoda opuściła szybę. Nie odważyła się otworzyć drzwi. Zwłaszcza że nie chciała wysiadać: nie ufała własnym nogom.

– Ja tak. Moje auto nie.

A kupiła je ledwo pół roku temu.

– Wsparcie zaraz będzie.

– Świetnie – odparła, oglądając się w stronę, w którą odbiegł stwór. Demon w mieście. Polujący na jej osiedlu. Polujący na nią.

Tylko czy to na pewno był demon?

Jagoda przywołała na twarz maskę spokoju, po czym odblokowała klamkę. Stała w niedozwolonym miejscu, ale chwilowo było to najmniejsze z jej zmartwień. Auto i tak zwróciłoby

uwagę: prawdopodobnie wyglądało, jakby zostało zaatakowane przez stado kiboli z pałkami w rękach. Wołała się nie rozglądać. Bała się, że w oknach mogłaby dostrzec twarze obserwatorów zwabionych hałasem.

– Poczekam w mieszkaniu.

– Ale... – zaczęła Maeve. Jagoda zatrzęsnęła za sobą drzwi auta.

– Swoim zabezpieczeniom ufam bardziej niż wam – wyjaśniła.

Nie zwróciła uwagi na złość, która wykrzywiła ładną twarz funkcjonariuszki. Ruszyła w stronę klatki, tak szybko, jak mogła, nie biegnąc.



ROZDZIAŁ 8

**GDZIE TAŃCZĄ WILKI**

Zanim dzwonek odezwał się po raz pierwszy, Jagoda zdążyła akurat zdjąć ubabraną błotem kurtkę, zmyć krew z twarzy i zmienić rozdarte džinsy na spodenki, gdzieś po drodze krótko informując Sonię, że została zaatakowana. Opatrywała właśnie nogę pokaleczoną w momencie upadku, gdy Zawicka wpuściła do mieszkania Mariusza Olchę i Adriana Potockiego, specjalistę od klątw z WMM. Adrian, brunet o nieładnej twarzy, posłał jej coś na kształt nieśmiałego uśmiechu. Należeli do jednej branży – i był jedną z niewielu osób z WMM, które nie zdawały się podejrzewać, że zaraz miotnie w nie paskudną klątwę.

– To nie wyglądało na demona – poinformowała, zanim Mario zdążył się odezwać. Zapewne gdyby mu na to pozwoliła, z jego ust padłyby głównie wyrzuty i pretensje. Mogła nawet przewidzieć ich motyw przewodni: nie powinna ruszać się z domu, a to, że została zaatakowana, to na pewno jej wina.

– Czyli człowiek? – podchwycił Mario, szukając czegoś po kieszeniach, zapewne notatnika.

Jagoda zawiązała opatrunek na nodze i pokręciła głową.

– Tego nie powiedziałam. Wyglądało jak zdeformowany, bardzo, bardzo wielki wilk.

– Zmiennokształtny? – spytał powoli Adrian. W jego głosie pobrzmiwał niepokój. Woleliby prawdopodobnie demona. Był dużo niebezpieczniejszy od zmiennokształtnych, ale przynajmniej konfrontacja z nim nie groziła zamieszaniem w polityce rasowej.

– Jeśli się nie mylę, zmienni przemieniają się w zwierzęta, może większe i silniejsze od oryginału, ale nie w potwory.

– Ja pierdolę – zaklął Mario. – Wilkołak? Nie urodzony, a przeklęty?

Jagoda wzruszyła ramionami. To by pasowało. Potworne krzyżówki ludzi i zwierząt mogły powstać w rezultacie bardzo silnego przekleństwa. Tyle że... choć w samą naturę tego przekleństwa było wpisane ukrywanie go, Jagoda powinna je wyczuć. Mistrz maskowania mógł skryć przed nią zaklęcia czy własną moc, ale nie powinien być w stanie zamaskować klątwy.

– Cuchnął złą magią, może trochę demoniczną energią, ale nie przekleństwem – odparła. – Ale... myślę, że to coś podobnego. Nie szukacie demona, tylko człowieka... albo zmiennokształtnego, który za sprawą magii zamienia się w potwora.

Nim ktokolwiek zdążył to skomentować, rozległ się dzwonek. Sonia, stojąca w progu i przysłuchująca się każdemu słowu – Jagoda, gdy na nią spojrzała, zauważyła, że dziewczyna jest biała jak trup – chciała się cofnąć i je otworzyć. Mario jednak wyminął ją pospiesznie, najwyraźniej sam chcąc sprawdzić, kto stoi na progu.

Czarownica, tak jak podczas poprzedniej wizyty Olchy, pomyślała, że bardzo nie chciałaby, aby to był Caleb. Zaraz potem uznała tę obawę za nonsensowną. Oczywiście, że czarnoksiężnik nie stanie już więcej u jej drzwi.

Co innego brat.

Uniosła głowę, słysząc głos Astiego, każącego zejść sobie z drogi. Sebastian Wilczek, ciemnowłosa, ciemnooki i śniady, bardzo podobny do ojca i wuja, ale mało do Jagody i jeszcze mniej do swojej bliźniaczki Liliany, wpadł do salonu i skupił spojrzenie na siostrze. Przebiegł wzrokiem po jej sylwetce, nieco więcej uwagi poświęcając bandażowi i nodze. Odetchnął z wyraźną ulgą, gdy nie dostrzegł poważnych obrażeń.

– Co ty tu robisz? – spytał Mario, nim Jagoda zdążyła się odezwać.

Sebastian popatrzył na niego wściekle. Robienie groźnych min wychodziło mu znacznie lepiej niż siostrze. Miał do tego talent, odziedziczony po ojcu i babce.

– To chyba ja powinienem o to zapytać. Nie ja tu jestem kimś obcym.

– Asti. – Jagoda chwyciła go za dłoń i pociągnęła, zmuszając, by usiadł obok. Jej brat lubił zbierać informacje. Jeszcze bardziej lubiła je gromadzić babka. Gdyby pojawił się za godzinę czy dwie, mogłaby uwierzyć, że wyciągnął wieści od kogoś z WMM. Na pewno miał tam przynajmniej jedną wtyczkę, choć raczej nie na wysokim stanowisku. Ale pojawił się za szybko. – Znowu to zrobiłeś? – spytała ostro.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Gniewny wyraz twarzy przeszedł w minę pełną urażonej niewinności.

– Co zrobił? – chciał wiedzieć Mario. – Kurwa, Wilczek, jak się dowiem, który z moich ludzi ci donosi, powyrywam nogi wam obu!

– Nie doniósł mu nikt z twoich ludzi – ucięła Jagoda, mocniej zaciskając palce i nie pozwalając Sebastianowi wstać. Jeszcze tego brakowało, by pobił się w jej mieszkaniu z Olchą, zwłaszcza że szef WMM bez wątpienia by wygrał. Jej brat był utalentowany, ale co do wyniku starcia, obojętnie czy na pięści, czy na zaklęcia, nie miała wątpliwości. – Co mówiłam o wysyłaniu za mną szpiegów?

– Nie nazywałbym tak tego – zaprotestował Sebastian, najwyraźniej uznając, że nie ma co zgrywać niewiniątka. – Ledwo co zaatakowano kogoś koło twojego domu. Poza tym...

– Dobrze, co mówiłam o tym, że nie potrzebuję ochroniarzy? – przerwała mu, wciąż spokojnym tonem. Sebastian skrzywił się, niby chłopiec karcony przez nauczycielkę.

– Dziś potrzebowałam.

– Nie uratował mnie twój ochroniarz. Uratowałam się sama.

– Tak, dlatego to ja nogi mu z dupy powyrywam... Kretyn, zamiast pojechać za tobą, siedział cały czas tutaj, bo podobno zauważył coś podejrzanego!

Jagoda trzepnęła go lekko po głowie. Prawdopodobnie miała rację co do Neo. Wyglądało na to, że Sebastian rzeczywiście zostawił kogoś w pobliżu jej mieszkania, i nawet mógł to być ten chłopak, który kręcił się wokół Soni.

Jeśli tak, ciekawe, czy dziewczyna będzie bardziej wściekła, że ją okłamywał, czy zadowolona, że jednak jest magiczny.

– Znowu mam potraktować go klątwą? – spytała chłodno. Tego numeru próbował wujek, tuż po tym, jak wyniosła się z domu. Zorientowała się po paru dniach i rzuciła na jego ludzi przekleństwo, a raczej kilka przekleństw, jedno po drugim, póki nie odpuścili. Podobnie postąpiła parę lat później, zastawiając drobną, ale bardzo złośliwą pułapkę, gdy próbował ją śledzić Sebastian. – Nie będziesz wysyłać za mną nikogo, kto zdaje wam raporty!

Brat zazgrzytał zębami, zanim znów przemówił.

– Porozmawiamy o tym później – rzucił. – Na razie skończcie tę farsę, którą Olcha pewnie nazywa przesłuchaniem, i zabieram cię do domu.

– Nie wiem, co sobie myślisz, Wilczek, ale albo wyjdiesz z tego pokoju, albo usunę cię siłą – warknął Mario.

W Jagodzie zagotowało się ze złości.

– Ty! – Wskazała Sebastiana palcem. Zdołała zapanować nad twarzą, ale nie nad głosem, który zdrzął od tłumionej furii. – Nie będziesz zabierał mnie nigdzie, dokąd nie zechcę iść. A ty – zwróciła się do Olchy – nie waż się grozić mojemu bratu, zwłaszcza w moim domu.

Zapadła cisza – Jagoda była pewna – przed burzą. Nim jednak rozpętał się kataklizm grózb, żądań i wzajemnych pretensji, dzwonek zadzwonił po raz kolejny. Adrian wypadł do przedpokoju, jakby tylko marzył o tym, by usunąć się z pola rażenia. Jako człowiek raczej cichy i spokojny stronił od wszelkich kłótni.

Sonia obróciła się ku wejściu, po czym dwoma susami pokonała przestrzeń dzielącą ją od kanapy i skuliła się obok Jagody. Powód takiego postępowania stał się jasny, gdy na progu stanął Antoni Bielecki. Najwyraźniej nie tylko Wilczek martwił się o swoją siostrę.

Antoni potoczył spojrzeniem po pomieszczeniu, jakby skonsternowany taką liczbą osób. Na dłużej zatrzymał wzrok na Jagodzie.

– Jesteś cała?

– Tak – odparła, przypatrując się mu podejrzliwie. – Czy ty też masz szpiegów w moim sąsiedztwie?

– Nie, skąd! – zaprzeczył z taką zapalczywością, że mu uwierzyła. – Narobiliście trochę zamieszania, wieści przed chwilą dotarły do mamy.

Mario, który już otwierał usta, zamknął je. Musiał się domyślić, kto się wygadał matce Soni. Jagoda podejrzewała, że była to żona dyrektora Departamentu Magicznego, która przyjaźniła się z Zawicką – obie panie regularnie spotykały się na herbatkach. Pewnie o pojawieniu się „demona” poinformowano Czarneckiego, on zwierzył się żonie, a ta zadzwoniła do przyjaciółki, gdy tylko usłyszała o zamieszanu tuż pod blokiem, w którym mieszkała Sonia. Jeśli tak było w istocie, Mariowi nie pozostało nic innego niż zgrzytać zębami z wściekłości i bezsilności.



– Soniu... – zaczął Antoni. Dziewczyna nie dała mu dokończyć.

– Nie! Nigdzie z tobą nie pójdę.

– Wolisz zginąć, niż wrócić do domu?!

Antoni krzychał jeszcze rzadziej niż Jagoda. Siostra spojrzała na niego zdumiona, ale to zdumienie zaraz zmieniło się w wyraz upor. I przez krótki moment Jagoda po raz pierwszy dostrzegła pomiędzy nimi rodzinne podobieństwo.

Jeżeli Antoni się na coś uparł, przybierał bardzo podobną minę.

– Myślisz, że jestem głupia? Mama robi wszystko, żeby mnie zatrzymać. Choćby siłą. Napoi mnie czymś, zaklnie, zamknie...

Jagoda nie była pewna, czy Karolina Zawicka posunęłaby się aż tak daleko. Z drugiej strony mogła czuć się usprawiedliwiona przez okoliczności. Nienawidziła jej: Wilczej Jagody, wiemy Jagi, która uwiodła jej syna i sprowadziła na złą drogę córkę. Teraz na pewno uważała, że to ona, Jagoda, naraziła Sonię na niebezpieczeństwo. Gdyby dziewczyna po prostu próbowała się usamodzielnąć, Karolina może przełknęłaby tę gorzką pigułkę, ale mieszkanie z Jagodą... Przecież od kilku miesięcy niestrudzenie rozpuszczała plotki o urokach i porwaniach.

– W takim razie może obie damy wybiorą się do domu Wilczków? – zasugerował Sebastian. – Tam będziecie bezpieczne.

– W domu kryminalisty? Chyba sobie żartujesz – syknął Antoni.

– Wiesz, Bielecki, od dawna chciałem dać ci w pysk...

– Jeżeli chcecie się bić, to świetnie. Na zewnątrz – powiedział Mario, podnosząc głos, by zwrócić na siebie uwagę. – Właśnie przesłuchuję świadka. Obu paniom oferujemy też ochronę.

– Już miały waszą ochronę, i co się stało? – napadł go Antoni. Sebastian nieoczekiwanie przyszedł mu z pomocą. Wzajemne animozje zeszyły na dalszy plan wobec wspólnej niechęci względem Olchy. Obaj przyjęli wspólny front.

– Kiedy ostatni raz pomagałeś Jadze, omal nie zginęła i zamknęłaś ją w naszym domu. Doskonale też pamiętam, jak skutecznie WMM szukało winnych śmierci mojego brata! Oraz jak chętnie oskarżało naszą trójkę, gdy ich znaleźliśmy!

– Jagoda... – wyszeptwała Sonia na tyle cicho, że mogła zostać usłyszana tylko przez nauczycielkę.

W jej niebieskich oczach czaiły się zaczątki paniki. Jagoda zrozumiała, że dziewczyna boi się tu zostać. A równocześnie przeraża ją myśl o powrocie do domu, do rodziny. Bała się pewnie i tego, co stanie się zaraz, bo choć nikt jeszcze nie rzucił żadnego zaklęcia, aury mężczyzn szalały, a magia w pokoju narastała i gęstniała, aż trudno było oddychać. Wszyscy obecni w pomieszczeniu byli dość silnymi magami. Wszyscy też szczerze się nie cierpieli, a sytuacja nie sprzyjała rozsądnemu podejściu.

Sonia szukała ratunku u nauczycielki. U swojej mistrzyni. Bo na tym między innymi polegała rola mistrza, aby dbać o bezpieczeństwo uczniów. Nawet jeśli sam nie wiedział, co robić, i miotał się wewnątrz.

Jagoda wstała. Pochłonięta kłótnią trójka nawet nie zwróciła na to uwagi – tylko Adrian, stojący w progu, dostrzegł jej ruch. Złożył palce w gest mający odbić klątwę, ale Wilczek wcale nie zamierzała żadnej rzucać. Bezceremonialnie wpakowała się między kłócących się mężczyzn i dopiero wtedy została wreszcie zauważona.

– Czy wy wszyscy poszaleliście? Ile wy macie lat, dwanaście? – spytała, wodząc pomiędzy nimi wzrokiem.

Sebastian przewrócił oczyma, Antoni zacisnął wargi, a Mario złożył ręce na klatce piersiowej. Przynajmniej uzyskała to, na czym jej zależało: przerwała kłótnię, która zaraz mogła zamienić się w bitkę albo, co gorsza, w magiczny pojedynek.

– Potrzebuję zeznań – powiedział Olcha twardo.

– Wiem – ucieła, zanim Sebastian zdołał zaprotestować. Odwróciła się do Zawickiej: – Soniu, tu naprawdę nie jest teraz bezpiecznie. Proponuję, żebyś poszła z moim bratem.

– Nie zgadzam się! – krzyknął Antoni, zanim Sonia zdążyła odpowiedzieć. – To moja siostra!

– Wolisz, żeby została tutaj? Nie wyciągniesz jej stąd siłą. Ani ty, ani nikt inny. Tylko po moim zimnym trupie, Anton. To moja uczennica!

– Powinnaś więc zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Zapewniam – odparła, po czym znów zwróciła się do Soni: – Dom Wilczków ma doskonałe zabezpieczenia. Moja babka jest silną maginią i dodatkowo zatrudnia ochroniarza. Tadeusz, który zajmuje się posiadłością, też zna parę sztuczek. Będiesz tam bezpieczna i nikt nie zatrzyma cię siłą.

Sonia się zawahała.

– Pójdiesz ze mną?

– Nie.

– Jaga... – Sebastian spróbował złapać ją za rękę, ale cofnęła dłoń.

– Zgodzisz się zatem na ochronę? – wtrącił się Mario. Nie zwracał uwagi na Antoniego, który pochylił się nad siostrą i coś szybko jej tłumaczył przyciszonym głosem. Zawicka odwróciła głowę, udając, że go nie słucha.

– I tak ją tu postawisz.

– Lepiej byłoby cię zabrać do miejsca... bez świadków.

– Gdzie będziesz mógł zorganizować pułapkę bez cywilów w pobliżu? – spytała zimno, spoglądając prosto w zielone oczy Olchy. Nie pierwszy raz chciał użyć jej jako przynęty. Jagoda nie miałaby nic przeciwko, gdyby ufała mu choć odrobinę... i wierzyła w skuteczność takiego działania. – To nie zadziała. Złapał mój zapach i próbował dorwać, ale on poluje na łatwe ofiary, raczej nie na konkretne. Nie bez powodu wybierał głównie słabsze wiedźmy. Jeśli stąd zniknę, znajdzie kogoś innego. Nie ruszy za mną ot tak. To nie Śpiąca Królowa.

Tamta była bardzo potężna, bardzo zdeterminowana, by dorwać potomków Joanny Wilczek Starszej, i wreszcie bardzo, bardzo szalona.

– Nie zrobisz z mojej siostry przynęty – warknął Sebastian. Chwycił Jagodę za ramię i przyciągnął ku sobie, jakby chciał ją ochronić. Tym razem pozwoliła na to, a z jej ust wyrwało się westchnienie.

– Nie będę przynętą – obiecała. Nie dodała, że sama zamierza zapolować. Wilczek dostałby zawału w zdecydowanie zbyt młodym wieku, gdyby zwierzyła się mu ze swoich zamiarów. – Zajmij się Sonią, proszę. Soniu?

Dziewczyna poderwała głowę, obracając się ku nauczycielce. Do tej pory ostentacyjnie pokazywała plecy bratu, odwrócona bokiem do reszty towarzystwa. Antoni zamilkł i się wyprostował, gdy zdał sobie sprawę, że pozostali im się przypatrują.

– A ty? – spytała Sonia.

– Zdam relację panu Olsze, potem się tu zamknę, spędzę noc w swoim kręgu i rano pomyślę, co dalej. Może jakimś cudem jego ludzie tym razem złapią trop.

Zignorowała oburzone spojrzenie, jakie rzucił jej Mario.

– Nie mogę zostać z tobą?

– Wolałabym nie – powiedziała Jagoda cicho. Nie mogła się martwić i o siebie, i o Sonię.

Dziewczyna popatrzyła na nią z rozczarowaniem, ale kiwnęła głową.

– Pójdę do domu Wilczków.

– Soniu...

– Nie jestem dzieckiem! Zdecydowałam!

– Nie namówię cię, żebyś przeniosła się z nami? – spytał Sebastian z rezygnacją, spoglądając na siostrę.

– Nie.

– Uparciuch – mruknął. – Ochroniarz zostaje. Nie waż się potraktować go kłówną.

– Może zechcesz nam wskazać, kim jest ten ochroniarz? – zasugerował Mario. Gdy Sebastian prychnął z pogardą, spytał: – Wolisz, żebyśmy go aresztowali, bo podejrzenie kręci się wokół Jagody? W końcu może być sprawcą...

– Antoni, zbieraj się – nakazała Jagoda, uznając, że pora przerwać tę zabawę, zanim mężczyźni znów zaczną przeżywać fizyczne i magiczne muskuły. – Olcha, zakładam, że kogoś z nim wyślesz? Soniu, idź po swoje rzeczy. Sebastian, powiedz, kim jest ten ochroniarz, inaczej naprawdę któreś z nas może rozwalić mu głowę.

Sonia z ociąganiem ruszyła do swojego pokoju. Sebastian pokręcił głową, ale wydawał się bardziej zrezygnowany niż chętny do kłótni.

– Wspominałem ci o nim. Osadziłem go tu jako studenta, który wynajął pokój w sąsiedztwie. Miał iść za wami, jeśli któraś z was szłaby gdzieś piechotą, a wieczorem kręcić się po okolicy. Wysoki, ciemnowłosy. Powiem mu, że następnym razem ma się przedstawić. Dla własnego dobra nie rozwalajcie mu głowy. To mag bojowy.

– Świetnie – mruknęła Jagoda.

– On... – dodał Sebastian po chwili z pewnym ociąganiem, zerkając przy tym na Olchę. – I tak miałem zamiar dziś tu wpaść. Ostatnio mi zameldował, że gdy ta twoja mała stąd wybiegła, ktoś za nią poszedł. Nic się nie stało, może przypadek, ale kazałem jej pilnować.

– Podwójnie cudownie – westchnęła Jagoda. Cieszyła się, że Zawicka tego nie usłyszała. I że udało się ją przekonać, by przeniosła się do Wilczków. Uczennica miała jednak rację, kiedy wspomniała, że ktoś za nią szedł... – Idź, proszę, pomóż Soni. Ja skończę składać zeznania.

Gdy tylko Sebastian i Antoni wyszli, Mario mruknął:

– Ten ochroniarz sporo wyjaśnia. Miałem informację, że kręci się tu ktoś podejrzany.

Wiedźma posłała mu krótkie spojrzenie. Zastanawiała się, czy to z tego powodu złożył jej niedawno wizytę. Czy sądził, że „ten ktoś podejrzany” to Caleb? Niewykluczone, skoro to jego podejrzewał o ataki...

– Czy wszyscy trzymają szpiegów przy moim mieszkaniu?

– Trzymam szpiegów w bardzo wielu miejscach – stwierdził Olcha, uśmiechając się przy tym blado. – Ale przy twoim mieszkaniu dopiero od chwili, gdy omal nie pożarł cię demon. Zgodzisz się chociaż, żeby ktoś u ciebie został?

– Żeby mnie śledził jeszcze skuteczniej i zostawił magiczną pluskwę?

Mario westchnął.

– Naprawdę musisz mnie traktować jak wroga?

– Zasłużyłeś sobie.

Może i ochrona w postaci funkcjonariusza WMM w mieszkaniu nie byłaby złym pomysłem, ale szła o zakład, że wykorzystaliby tę okazję. Olcha zbierał informacje równie chętnie jak jej brat i bardzo chciał dostać się do skóry Filipowi Wilczkowi, wujowi Jagody. Nie wspominając o tym, że podejrzewał WilCom o nie w pełni legalne interesy, więc chętnie prześwieciłby też zapewne Sebastiana. Poza tym mógł sądzić, że Jagoda jest z którymś z nich w zмовie.

– Wracając do sedna: mam opisać przebieg ataku czy wolisz, żebym zawołała chłopaków i pozwoliła wam się pobić albo siłować na rękę, żebyście mogli udowodnić, kto jest największym badassem? – spytała i opadła na kanapę.

\*

Jagoda miała doskonały powód, aby nie zgodzić się na opuszczenie mieszkania ani jakiegokolwiek towarzystwo. Była pewna bardziej niż kiedykolwiek, że Caleb nie tylko wiedział coś o tym stworze, ale też z nim walczył. W czasie ataku nie zwróciła na to uwagi, ledwo jednak stwór znikł, uświadomiła sobie, że te pazury i zęby mogły zostawić dokładnie takie obrażenia, jakie widniały na ciele Blythe'a. W całej sprawie musiało się kryć coś więcej. Inaczej Caleb nie nalegałby tak na zachowanie jego obecności w tajemnicy i nie odmawiał podawania jakichkolwiek informacji.

Żałowała teraz, że pozwoliła mu opuścić dom prababki. Jeżeli nie mogła znaleźć wilkołaka, musiała dopaść Caleba i zmusić go do udzielenia paru odpowiedzi.

Włosy stanowiły pewną kotwicę. Jagoda nie była na tyle dobra w zakłęciach wyszukujących, aby mogła jasno zlokalizować Caleba, zwłaszcza że Uczeń Czarnoksiężnika na pewno maskował się za pomocą magii. Odpowiednio zmodyfikowany czar mógł jednak nie tylko pomóc ustalić, czy Blythe jest w promieniu kilkunastu kilometrów, ale i sprawić, że ten wyczuje próby szpiegowania... i zrozumie, że Jagoda zachowała jego włosy lub krew.

Jeżeli choć w połowie zasługiwał na swoją reputację, na pewno się zjawi. Możliwe też, że spróbuje skrócić ją o głowę, ale nadzwyczajne sytuacje wymagały nadzwyczajnych środków.

Cokolwiek miało się zdarzyć, nade wszystko musiała odzyskać siły. Nie była całkiem pozbawiona mocy, ale odczuwała ubytek energii. Ostatnie przekleństwo rzuciła, łamiąc zasady jego tkania, poszła drogą na skróty, w dodatku włożyła w nie wiele mocy. Przespała więc kilka godzin, a rankiem kolejne dwie medytowała w kręgu, chcąc mieć pewność, że gdy wieczorem spróbuje zaklęcia lokalizującego, będzie w pełni sił.

Później przeparkowała samochód. Jedna z szyb poszła w drobny mak, do środka Jagoda musiała więc wejść przez drzwi pasażera. Maskę została wgnieciona i coś pod nią strzelało, kiedy odpaliła silnik. Obejrzała też miejsce napaści: funkcjonariusze WMM usunęli stamtąd ślady krwi oraz energii magicznej. Mogła mieć tylko nadzieję, że dobrze je wykorzystają, ale jeżeli wilkołak był mistrzem maskowania, szanse na to, że go znajdą, pozostawały niewielkie. Koło pierwszej, gdy ślezczała nad książką, szukając właściwej inkantacji i rozważając, gdzie najlepiej ją wypowiedzieć, by nie przyciągnąć uwagi swoich nowych ochroniarzy, rozdzwonił się telefon. Dziennikarze. Chwilę później wysłała więc bratu, siostrze i Soni wiadomość, że będzie dostępna jedynie pod Messengerem, i gorączkowo przeszukiwała MAGnet.

Bo komendant WMM najwyraźniej nie był jedynym słabym ogniwnem. Ktoś jeszcze musiał puścić parę. I na warszawskim, i na ogólnopolskim magicznym portalu informacyjnym Jagoda przeczytała, że już po raz drugi została napadnięta przez Rozpruwacza (pseudonim brzmiał cokolwiek ironicznie, zważywszy na to, czym uczniem był Caleb). Informacje o napaści podawał też portal społecznościowy MagicConver.

W komentarzach oczywiście roiło się od przypuszczeń, że to ona jest winna całego zamieszania, a niedoszłą ofiarę zachowała przy życiu dla niepoznaki. MAGnet był pod tym względem równie toksyczny jak niemagiczny internet.

Wyłączyła telefon i na wszelki wypadek postanowiła nie odbierać poczty. Najpierw na komunikatorze napisał Sebastian. Upewniał się, że siostra siedzi w domu i, niestety, miał też złe wieści. Jego ochroniarz ponoć zameldował, że w dniu, w którym ją napadnięto, nie pojechał za nią, bo ktoś podejrzany szedł za Sonią. Jagoda niewiele mogła w tej chwili z tym zrobić, a na pytanie, czy brat kazał ochroniarzowi uwieść jej uczennicę, nie raczył już odpowiedzieć. Być może bał się jej reakcji. Potem wiedźma musiała uspokoić Lilianę – która przysłała jej kilka panicznych wiadomości – że jest cała i zdrowa. Choć przy tym niepomernie zirytowana: drugi raz w ciągu zaledwie roku w mediach huczało na jej temat, w dodatku w najgorszym możliwym momencie! Nie mogła się przez to skupić na przygotowaniach do rzucenia zaklęcia wyszukującego – skomplikowanego i stosowanego przez nią dotąd zaledwie kilkakrotnie, w dodatku parę lat temu, a teraz wymagającego pewnych modyfikacji.

Na szczęście okazało się, że i to nie będzie potrzebne.

Kiedy wieczorem wreszcie włączyła komórkę, znalazła nie tylko kilka wiadomości głosowych, w tym jedną od Mariusza Olchy (odpisała, że nie zmieniała zdania, nigdzie się nie przeniesie i nie wpuści jego ludzi do swojego mieszkania), i wiele nieodebranych połączeń, ale także SMS-a wysłanego z nieznanego numeru: „Północ, dach twojego bloku. Nie odpisuj, telefon nie jest mój. Królik Bugs”.

W normalnych okolicznościach podpis by ją rozbawił. Teraz jednak wiadomość wzbudziła zaniepokojenie. Owszem, chciała porozmawiać z Calebem, ale nie rozumiała, dlaczego on chciał rozmawiać z nią. Czy znów potrzebował pomocy? Jeżeli tak, to czy byłby dość naiwny, aby wierzyć, że ją otrzyma, teraz, kiedy Jagody nie wiązała obietnica? Nagle zmienił zdanie i postanowił podzielić się informacjami?

A może chciał się pozbyć niewygodnego świadka?

Na logikę, jeżeli planowałby ją usunąć, najlepiej zrobiłby, czając się przy jej aucie w Bromierzyku. Napadanie na nią teraz, gdy była pilnowana, stanowiło głupi pomysł. Ale Jagoda wiedziała, że ludzie rzadko kierują się czystą logiką. Emocje miały niemały wpływ na ich decyzje i często postępowali nieprzewidywalnie. Wtedy, nieopodal enklawy, Blythe w przyływie wyrzutów sumienia mógł zdecydować, że zostawi ją w spokoju. Natomiast po ataku, gdy się zorientował, że może ściągnąć na siebie uwagę WMM, a wiedźma – powiedzieć za dużo, zmienił zdanie.

Wiedziała, że powinna brać pod uwagę taki rozwój wydarzeń, najbardziej prawdopodobny zdawał się jednak scenariusz, że Caleb szukał informacji. Dowiedział się o kolejnym ataku i potrzebował

szczegółów. Wyzaczył miejsce spotkania na dachu, bo tylko tam Jagoda mogła się dostać niezauważona przez ludzi Olchy.

Pytanie, jak on zamierzał się tam dostać. Wyobraziła go sobie skaczącego z dachu na dach przy użyciu pajęczej sieci. Chyba nawet to by już jej nie zdziwiło.

Do północy pozostało pięć godzin. Jagoda poświęciła je na przygotowanie trzech klątw średniej mocy – tylko tyle była w stanie utrzymać naraz w nieaktywnej postaci. Skończyła trzydzieści minut przed dwunastą i większość tego czasu spędziła, niespokojnie krążąc po domu. Zazwyczaj bardzo się starała nie dopuścić do tego, by poniosły ją nerwy, to było jednak możliwe tylko w zwykłych okolicznościach. Gdy prowadziła swoje uporządkowane, stosunkowo normalne życie. Po raz kolejny w stresującej sytuacji odkrywała, że nie panuje nad sobą aż tak dobrze, jak sądziła. Nerwowość wywoływała nie tylko obawa przed spotkaniem z Blythe'em – chodziło też o fakt, że wcale nie była pewna, czy Mario nie kazał obserwować i dachu.

Tuż przed północą zasłoniła żaluzje w sypialni, ale zostawiła zapaloną lampkę. Światła w pozostałych pokojach pogasiła. Niech potencjalni obserwatorzy sądzą, że się położyła i czyta w łóżku czy szykuje się do snu.

Owinęła się grubym kocem polarowym, wyszła na klatkę i w ciemnościach przebiegła na ostatnie, czwarte piętro. Drabina prowadząca na dach znajdowała się na półpiętrze i zaczynała niemal metr nad ziemią. Jagoda podciągnęła się i pokonała dystans dzielący ją od kłapy. Już wcześniej zastanawiała się, jakim zaklęciem może spróbować ją otworzyć – i wychodziło na to, że przyjdzie jej uszkodzić zamek broniący wstępu na dach, bo nie miała do dyspozycji żadnej Alohomory, odkryła jednak, że kłapa została odblokowana. Caleb musiał o to zadbać.

A to oznaczało, że już jest na górze.

Przez kilka sekund po prostu sterczała na drabinie, wpatrując się w metalową pokrywę. W końcu pchnęła kłapę i wyszła na dach.

W twarz uderzyło ją chłodne powietrze. Pożałowała, że nie zaplotła włosów w warkocz, jak miała w zwyczaju przed wyjściem z domu: wicher je szarpał i wciskał do ust, a nawet pod okulary. Zebrała je ręką i wcisnęła częściowo pod polar. Rozejrzała się za Calebem. Nie zobaczyła go – wyczuła, i to ledwo, tylko dlatego, że bardzo się na tym skupiła i po kilku dniach spędzonych z nim pod jednym dachem poznała jego aurę. Słabe, magiczne echo sprawiło, że zaczęła wpatrywać się w punkt kilka metrów dalej i dopiero wtedy zdołała wypatrzyć Blythe'a, skrytego pośród cieni.

Musiał użyć zaklęcia podobnego do tego, które zastosował człowiek idący za nią i za Sonią. Tylko dużo mocniejszego.

– Królik Bugs? – spytała, idąc w jego kierunku. Caleb pozwolił opaść skrywającym go cieniom.

– Chciałem, żebyś tylko ty mogła się domyślić adresata.

– Po co te tajemnice? Sprawdziłam, nie jesteś poszukiwany magicznym europejskim listem gończym – stwierdziła, gdy usiadła po turecku jakiś metr od niego.

Magia już nie skrywała Blythe'a, ale w ciemności nocy Jagoda i tak ledwo widziała jego twarz. Oczy dopiero zaczynały się jej przyzwyczajać do ciemności.

– Nie jestem poszukiwany przez organy prawa. To nie znaczy, że nie jestem poszukiwany wcale.

– Tu można się sprzeczać. Mario Olcha bardzo chciałby cię znaleźć, a jest przedstawicielem prawa.

– Olcha – prychnął Caleb. Postąpił krok w kierunku Jagody i usiadł obok, bliżej, niż nakazywałyby zasady nienaruszania cudzej przestrzeni osobistej. – Nie znalazłby własnych okularów, choćby miał je na nosie... Ale to nieważne. Czy nie mówiłem, że powinnaś się przenieść do rodzinnego domu?

Spojrzała na niego z ukosa.

– Skąd przyszło ci do głowy, że będę słuchać twoich poleceń?

Skrzywił się.

– Może wierzyłem, że posłuchasz głosu rozsądku? – wytknął. – Widać przeceniłem cię. A teraz opowiedz mi, co dokładnie się stało.

Jagoda milczała. To było bardzo wymowne milczenie. Blythe westchnął, po czym uderzył się

otwartą dłoń w czoło. Nie zareagowała. Miała nadzieję, że przesłanie jest jasne. Skoro on uparcie odmawiał jakichkolwiek informacji, nie mógł liczyć na to, że dostanie cokolwiek od niej.

– Próbuje go dopaść – powiedział w końcu. – Chcesz chyba, żeby zniknął? Jeżeli powiesz mi, co się stało, to może być pomocne.

– Bardzo chętnie. Jak tylko wyjaśnisz mi, z czym mam do czynienia. I dlaczego ten potwór chce dopaść ciebie. A z twojego powodu również mnie.

– Domyśliłaś się.

– Proszę cię – prychnęła, rozkładając ramiona. Zaskoczenie w jego głosie zdało się jej niemal obraźliwe. – To nie wymagało dedukcji godnej Sherlocka Holmesa.

Początkowo podejrzewała, że stwór krąży wokół niej, ponieważ interweniowała, gdy zaatakował Maję. Ale już wcześniej napadł dwie kobiety w pobliżu, a obrażenia Caleba mogły być rezultatem starcia z taką właśnie bestią. To by też wyjaśniało, dlaczego Blythe wybrał na kryjówkę właśnie mieszkanie Jagody. Osłony sprawiały, że trudno było go wytropić, i w razie potrzeby zatrzymałyby wilkołaka.

– Nie wiedziałem, że złapał mój trop – stwierdził, a w jego głosie zabrzmiał usprawiedliwiający ton. – Nie chciałem was narażać. Tej nocy, kiedy wyszedłem, rzuciłem zakłęcie lokalizujące. Maskuje się, ale był na tyle blisko, że złapałem słaby sygnał. Wiedziałem, że jest w okolicy. Szukałem go.

Była niemal skłonna mu uwierzyć. Niemal. W końcu kiedy sytuacja zaczęła się pogarszać, opuścił enklawę i postanowił trzymać się od nich z daleka... choć i tak było już za późno. Może naprawdę nie sądził, że tak szybko je narazi. Albo najpierw go to nie obchodziło, ale później zmienił zdanie. Co nie znaczyło, że nie była na niego zła. Mógł powiedzieć prawdę, i tak musiała mu pomóc. Czy tego chciała, czy nie.

– Brawo. Ranny, z uszkodzoną kostką poszedłeś walczyć z wilkołakiem.

– Martwisz się o mnie? To urocze – zapewnił ku jej irytacji. – On też był w kiepskim stanie. Myślisz, że inaczej poradziłabyś sobie z nim tak łatwo? Kiedy walczyliśmy, poraniłem go, stracił mnóstwo krwi i większość magicznej energii, do tego wpakowałem w niego paskudną klątwę.

– Wyczułabym ją.

– Nie jest już aktywna. Ale zrobiła swoje. Inaczej rozerwałby cię w tym parku na strzępy. W każdym razie im dłużej czekam, im więcej ofiar zabije, tym jest silniejszy. Teraz mi powiesz, co się stało? Potrzebuję jakiegokolwiek tropu.

– Możesz równie dobrze zastawić pułapkę i poczekać, aż cię znajdzie.

– Myślałem o tym. Ale to ja wolałbym znaleźć jego.

To dawałoby mu przewagę. Przygotowanie pułapki, gdy nie miało się odpowiedniego miejsca ani wsparcia, nie należało do łatwych. Mimo to Jagoda odczuła irytację na myśl, że Blythe najpierw ściągnął tu bestię, a potem migał się od stawienia jej czoła. Sam wspomniał, że ta z każdą kolejną ofiarą staje się silniejsza. A każda noc mogła przynieść następną śmierć.

– Kim on jest? – spytała z naciskiem. – Powiedziałabym, że to wilkołak, ale powinnam wyczuć taką klątwę.

– Taka jesteś pewna swoich umiejętności?

Znów chciał ją zdenerwować. Tym razem nie osiągnął celu.

– Pod tym względem tak. Odpowiedz mi? Czy może to tobie zależy na tym, żeby biegał po ulicach wolno, a mnie rozdarł na strzępy?

Caleb odwrócił głowę, spojrzął ku górującym ponad miastem wieżowcom. Jagoda lekko trąciła go palcem w ramię.

– Czekaj. Myślę.

– Myśl szybciej. Marznę.

– Naprawdę? Sądziłem, że w żyłach masz lód – zakpił, spoglądając na nią. Chociaż w jego głosie pobrzmiwała drwina, Jagoda przeczuwała, że w rzeczywistości Blythe jest poważny i spięty jak człowiek, który spodziewa się w każdej chwili ataku. – Został zamieniony nie w wyniku klątwy, przynajmniej tradycyjnej, tylko eksperymentu.

Jagoda powoli opuściła rękę. Zmieniła pozycję i się odsunęła. Caleb musiał dobrze zinterpretować ten ruch, a może dostrzegł coś w jej twarzy, bo chwycił ją za przedramię. Nie dość

mocno, aby poczuła ból, ale z taką siłą, by nie mogła się łatwo uwolnić.

– Nie mój eksperyment. Jacoba.

– Po tylu latach? – spytała cicho. Poruszyła ręką, a Blythe rozluźnił uścisk. – Kiedy go schwytano, jedenaście lat temu? Mam uwierzyć, że stworzony przez niego zwierzaczek biega po ulicach dopiero teraz?

– Sądził, że się nie udało. Próbował stworzyć zmiennokształtnego. Badał fizjologię zmiennokształtnych oraz kłatwę sprowadzającą wilkołactwo, ale chciał uniknąć szaleństwa i przymusowej zmiany formy. Przemiana... została jednak aktywowana. Niedawno.

Jagoda musiała się bardzo postarać, by się nie wzdrygnąć. Jacob Red badał fizjologię zmiennokształtnych, korzystając z żywych obiektów. Jeżeli eksperymentował z kłatwą sprowadzającą wilkołactwo, zapewne próbował ją rzucać, i to nieraz – a było to przekleństwo paskudne i wymagające równie paskudnego postępowania od jej autora. Wiedzę, w jaki sposób rzucić kłatwę wilkołactwa, czarodzieje skrzętnie tępilili i Jagoda nie słyszała, aby w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ktokolwiek padł jej ofiarą.

Tutejszy wilkołak miał szczęście, jeśli będąc „nieudanym eksperymentem”, wyszedł z laboratorium czarnoksiężnika żywy.

– Aktywowana? Przez siebie?

– Upierasz się widzieć mnie jako czarny charakter?! – wściekł się Caleb. Poderwał się z miejsca i zaczął krążyć po dachu.

– Nie, ale z jakiegoś powodu chce cię dopaść.

Blythe się zatrzymał. Odszedł na tyle, że nie mogła dostrzec jego twarzy, gdy jednak przemówił, głos drżał mu od tłumionej złości.

– Śmierć. Przemiana została aktywowana, kiedy po raz pierwszy kogoś zabił i sam omal nie umarł. Znaliśmy się. Byliśmy w pewnym sensie przyjaciółmi. Miał... powody, by wtedy zabić. Bronił się. Pomogłem mu. Ale potem... stał się nieopanowany. Dotarło do niego, że zabijając, zwłaszcza magicznych, może zyskać więcej mocy. Najpierw polował na przestępców, ale ilu magów tak naprawdę łamie prawo? To pojedyncze przypadki. Przestało mu to wystarczać i wtedy próbowałem go zlikwidować. A on się wściekł. Nie przyjechał tu za mną. Ja przyjechałem za nim. Prawdopodobnie... chciał się wynieść z Londynu, gdzie już go szukano, a poza tym znaleźć pewną... bliską mi osobę. Dotarłem tu szybciej, niż się spodziewał, więc teraz tropimy się wzajemnie w Warszawie. Tyle że on po drodze zabija. I to go wzmacnia. Przed przemianą był słabym magiem, specjalizującym się w maskowaniu, co też nie wychodziło mu najlepiej. Po przemianie, zanim tu przyjechał, bez trudu potrafiłem go unieszkodliwić, uciekł mi wtedy cudem. Teraz? Gdy dorwał kolejne wiedźmy? Walczyliśmy niemal jak równy z równym. Zraniłem go dużo mocniej niż on mnie, ale doszedł do siebie o wiele szybciej.

Jagoda potarła skronie, przysłoniła oczy dłonią. Czy uwierzenie w tę historię było naiwnością? Jacob Red przeprowadzał różne eksperymenty. Był najbardziej niemoralnym, ale też najpotężniejszym czarodziejem żyjącym w ich czasach, do chwili zdemaskowania uważanym za podporę magicznej społeczności. Czynił możliwym niemożliwe.

Prawdopodobnie mógł stworzyć taką istotę.

Rozważała opowieść Caleba, szukając w niej dziur. Na pozór była całkiem logiczna. Jagoda miała pewność, że to wilkołak był tutaj czarnym charakterem – czy to nie stawiało Blythe'a, który niemal na pewno stoczył z nim walkę, po jasnej stronie mocy?

– Tym razem mi wierzysz?

Uniosła powieki. Uczeń Czarnoksiężnika przykucnął tuż przed nią: na tyle blisko, że teraz dobrze widziała jego poważną twarz. Przygryzła wargę, wahając się jeszcze przez ułamek sekundy.

– Chyba wierzę.

– Chyba?

– Wierzę – ustąpiła. – Skąd Mario wie, że jesteś w to zamieszany?

Blythe uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją, po czym znów przysiadł obok niej.

– W Londynie i Irlandii w podobny sposób zginęło kilka osób, kiedy tam przebywałem. Pewnie

o tym wie. Wyjeżdżałem do Warszawy w takim pośpiechu, że nie zadbałem o wszystkie środki ostrożności. Zaczęły się napaści, potem Mario skądś się dowiedział, że ma tu Ucznia Czarnoksiężnika. Dodał dwa do dwóch, a razem wyszło mu pięć. Może też... Powiedzmy, że ktoś mu zasugerował, że to ja jestem winny.

– Byłam niemal pewna, że ktoś musiał cię zauważyć w pobliżu mojego mieszkania. Olcha uparcie mnie o ciebie pytał... Skąd mu to przyszło do głowy?

– Masz miliony pytań, Wilcza Jagodo – jęknął Caleb z udawaną irytacją. Zdawało się, że jego wcześniejsza złość wyparowała. Teraz, mimo tego, że gdzieś w mieście grasowała bestia, zdawał się niemal wesoły. – Mario jest trochę starszy od ciebie i ma lepszą pamięć. Był z rodzicami u Wilczków akurat, gdy składaliśmy im z Joanną wizytę. Widział, jak ciagniesz mnie za rękę i każesz chodzić ze sobą po ogrodzie.

– Ja? – spytała słabo.

– Ty. Kazałaś mu sobie iść, bo go nie lubisz – stwierdził z satysfakcją.

– Naprawdę? Ja? – powtórzyła Jagoda z niedowierzaniem.

Nie wyobrażała sobie samej siebie przeciągającej po ogrodzie kogokolwiek poza bratem albo Antonim. Nie tylko Caleba. Odkąd pamiętała, nie miała za wielu przyjaciół. Kto chciałby się przyjaźnić z dziewczynką, która zdenerwowana mogła sprawić, że zaczną wypadać ci włosy? Nawet mali magowie bojowi byli lepsi. Ich talenty w dzieciństwie rzadko bywały niszczycielskie, dorośli o podobnych zdolnościach mogli w miarę łatwo je kontrolować.

Nie wspominając o tym, ile czasu musiała spędzić w izolacji. Nawet od własnego rodzeństwa. To nie sprzyjało wykształceniu umiejętności funkcjonowania w grupie rówieśniczej.

– Tak, ty. Zapamiętałaś, że mnie lubiłaś jako dziecko. Jeśli się nie mylę, potem pewnie dowiedział się, że masz dostęp do domu Joanny. Mam rację? – Gdy pokiwała głową, mówił dalej: – W takim razie pewnie przyszło mu do głowy, zresztą słusznie, że dostałaś informacje o tym miejscu ode mnie, i wydedukował, że mamy kontakt. Znów odrobił pracę domową z logiki.

– Jesteś pewny, że nie mylisz mnie z Lilianą?

– Niebiosa, dajcie mi cierpliwość – westchnął, po czym wydobyl spod płaszcza niewielką szklaną kulę. Wyciągnął ją ku Jagodzie. Ujęła przedmiot ostrożnie, jakby bała się, że zaraz ją ugryzie. Ledwo przejechała opuszkami po gładkiej powierzchni, wyczuła magię.

– Co to jest?

– Kula wspomnień. Wynalazek Jacoba.

Musiał się tego spodziewać, bo gdy gwałtownie rozwarła palce, sprawnie chwycił kulę, nim zdążyła się rozbić o powierzchnię dachu.

– Spokojnie, to jedno z legalnych dzieł jego rąk. Zero czarnej magii. Zanim zajął się... innymi eksperymentami, naprawdę był uznanym wynalazcą.

– Wciąż...

– Jestem pewien, że zdarzało ci się stykać z technologiami, które wymyślił – przerwał jej Blythe.

– Są używane na co dzień w większości enklaw. Ten przedmiot jest nieszkodliwy i raczej cenny, więc postaraj się go nie stłuc, dobrze?

– Co robi? – spytała, ponownie przejmując od niego kulę.

Wciąż nie była pewna, czy wynalazek jest bezpieczny. A nawet jeśli – w tym przypadku miała problem z oddzieleniem twórcy od dzieła, choć wiedziała, że to głupie. Zwłaszcza że mnóstwo technologii autorstwa Reda było szeroko wykorzystywanych w warszawskiej enklawie.

– Przechowuje wspomnienie. Jedno naraz. Nie zobaczy się nic ponad to, co się widziało naprawdę, ale czasem człowiek zapamiętuje więcej, niż mu się wydaje, tylko nie umie otworzyć odpowiedniej szufladki. Jedną taką kulę mają w wydziale magicznym Scotland Yardu.

Jagoda obróciła przedmiot w dłoni, po czym rzuciła Calebowi podejrzliwe spojrzenie.

– Umieściłaś tam wspomnienie z dzieciństwa?

– Twojego. Ja byłem nastolatkiem, nie smarkaczem.

– Chciałaś zagrać kartą „przyjaciele z dzieciństwa”, żebyś zmiękła i opowiedziała ci o ataku?

– Tak – przyznał, uśmiechając się rozbijająco. – Hej, wciąż jestem Uczniem Czarnoksiężnika,



prawda?

Pokręciła głową z mieszaniną niedowierzania i rezygnacji, po czym wyciągnęła ku niemu kulę.

– Nie musisz się bawić w takie sztuczki. Zaatakował mnie, kiedy zaparkowałam nieopodal. Musiał czekać, aż wrócę. Miałam złe przeczucia, więc wcześniej przygotowałam klątwę. Wysiadłam, zaatakował, rzuciłam ją.

Opisała Calebowi przebieg starcia, starając się nie pominąć żadnego szczegółu, dokładnie tak, jak wcześniej w rozmowie z Mariem. Wszystko mogło być ważne. Wspomniała o idącym za nią i Sanią człowieku oraz o cieniach, podobnych do tych, za którymi ukrywał się Caleb.

Blythe wysłuchał jej z uwagą, nie odzywając się, póki nie skończyła.

– Dziękuję.

– To w czymś pomoże?

– Niewykluczone – mruknął. – Postrzeliłaś go, w tym z tego, co mówisz, raz w łapę. Jego rany goją się szybciej, ale przynajmniej przez parę dni powinien nosić ślad po kuli. Zranione miejsca trudniej zamaskować. Mógł też szukać uzdrowiciela. Po tym, jak walnęłaś go autem, powinien potrzebować chociaż dwóch dni na odzyskanie pełni sił. Teraz będzie najsłabszy.

– Czyli po mnie nie przyjdzie?

Blythe pokręcił głową.

– Jest zdeterminowany, ale nie głupi. Skoro pojawiło się WMM, domyśli się, że masz ochronę. Może wyczuł na tobie mój zapach. Pewnie chciał cię dorwać, licząc, że mu powiesz, gdzie jestem, ale teraz nie będzie ryzykował.

Jagoda nie była pewna, czy ją to cieszy, czy martwi. Nie chciała zginać, rozdarła na strzępy przez potwora, ale dałaby wiele, aby został złapany. Gdyby spróbował znów zapolować na nią, nie na jakąś biedną, przypadkową dziewczynę, szanse, że uda się go schwytać, byłyby znacznie większe.

– Na pewno nie chciał cię zabić – dorzucił Blythe. – Próbował złapać cię żywcem. Inaczej nie przeżyłabyś.

Niechętnie kiwnęła głową, przyznając mu rację. Sama miała wrażenie, że poszło jej trochę za łatwo, biorąc pod uwagę, jak po walce skończył Uczeń Czarnoksiężnika. W parku wilkołak był osłabiony po poprzednim starciu. Na parkingu starał się działać tak, by nie zranić ofiary. Chciał... zadać kilka pytań.

Kiedy milczała od dłuższej chwili, Caleb podsunął jej wprost pod nos kulę wspomnień.

– Nie jesteś ciekawa?

Była. Ale nie chciała się do tego przyznać. Po prawdzie, nie miała pewności, czy warto tę ciekawość zaspokajać.

– To było lata temu – odparła wymijająco.

– Naprawdę nie chcesz zobaczyć? Przynajmniej się przekonasz, czy mówię prawdę. Wystarczy, że zaciśniesz palce. Jakbyś chciała przebić szkło.

– Nie utknę w niej jak dżin w lampie? – spytała. Nadała głosowi kpiarski ton, ale mówiła poważnie. Wynalazek Jacoba nie musiał działać tak, jak przedstawił to Blythe. Równie dobrze mogła trzymać w dłoni tykającą bombę.

Uwierzyła w historię Caleba. Ale to wciąż nie oznaczało, że w pełni mu ufa. Stanowiła potencjalne niebezpieczeństwo, słabe ogniwo. Mogła przekazać informacje Olsze albo – jeśli wilkołak zdołałby ją dorwać – naprowadzić wroga na jego trop.

Z drugiej strony, istniały lepsze sposoby na jej zabicie niż wysadzanie za pomocą magicznej kuli.

Wsunął kulę w palce Jagody i na moment zaciśnął własną dłoń wokół jej dłoni. Zmusiła się, by nie uciekać wzrokiem. Zastanawiała się, czy wiedział, jak wytrącają ją z równowagi takie gesty, a także czy robił to celowo. Prawdopodobnie tak.

– Trzy życzenia i będziesz wolna.

– Super. Już jedna przysługa dla ciebie wpędziła mnie w kłopoty. A co będzie z trzema? – mruknęła bez entuzjazmu, cofając rękę.

Ważyla kulę w dłoni, usiłując dostrzec coś w jej głębi. Szkło było nieprzezroczyste, błękitnawe, otoczone ledwo dostrzegalną poświatą. W końcu ścisnęła przedmiot, napierając palcami na chłodną

powierzchnię. Ta zamiast pęknąć, ustąpiła, a do dłoni Jagody przylgnęło coś wilgotnego, zimnego, i...

– ...spadniesz i twoja prababka mnie zabije, Belladona – powiedziała marudnie niskim głosem, wyciągając rękę. Dłoń, niewielka, po dziecięcemu pulchna, chwyciła ją za palce. Niemal wciągnęła dziecko wyżej, na spadzistą część dachu nad lukarną, i mocno podtrzymała.

Słońce już zaszło. W ciemnościach widziała jedynie zarys ogrodu otaczającego dom Wilczków. Twarz siedzącej obok dziewczynki i jej żółta koszulka były jasnymi plamami na tle mroku.

– Nie tak mam na imię!

– Naprawdę? Myślałem, że dokładnie tak.

Z boku dobiegło oburzone prychnięcie.

– Ja-go-da. Jak te owoce. Czarne. Tadeusz podawał je wczoraj na deser z cukrem.

– Nie do końca. Wilczek. Wilcza Jagoda. Belladona.

Roześmiała się, gdy mała wlepiła w nią wielkie oczy, pełne niezrozumienia.

– Wilcza Jagoda to roślina – wyjaśniła. – Po łacinie: belladona. Czyli piękna pani. Rzymianki używały jej, żeby rozszerzać źrenice.

– To czarne w oku?

– Właśnie tak.

– Dlaczego ta roślina po polsku nie nazywa się „piękna pani”?

– Bo truto nią wilki.

Przez chwilę dziewczynka nie odpowiadała, usiłując poskładać fakty.

– Przeżywasz mnie od rośliny, którą truto wilki – stwierdziła w końcu z oburzeniem. – Nie jestem rośliną.

– Hej, nie ja cię tak nazwałem. – Roześmiała się. – Twoja matka musi mieć dziwne poczucie humoru...

– Prababka – westchnęło dziecko. – Mama mówi, że ona wybrała imię. Zmusiła tatusia. A tatus mamusię.

– Taaak, czasem robi to ludziom – mruknęła, odwracając wzrok i spoglądając gdzieś w ciemność.

– Wilcza Jagoda. Atropa belladona. Atropos, przecinająca nić żywota.

– Nie rozumiem.

– Nie musisz – stwierdziła, po czym poklepała dziecko po głowie, gestem, jakim obdarzyłyby kociaka. Wyciągnęła zza pazuchy niewielkie drewniane pudełeczko i podsunęła dziewczynce. – Ta kobieta tutaj. – Wskazała wyryty na wieczku wizerunek kobiety w greckiej szacie. Jedną dłoń trzymała uniesioną, drugą opuszczoną. Pomiędzy nimi ciągnęła się nić. W jednej znajdowały się nożyce zaraz mające przeciąć nitkę.

– Aha?

– To Atropos.

– Co to?

– Prezent urodzinowy. Kazałaś pamiętać.

– No – ucieszyło się dziecko, chwytając pudełeczko.

– Wszystkiego najlepszego z okazji szóstych urodzin, mała Wilcza Jagodo. A teraz stąd złaźmy, bo ktoś zacznie cię szukać albo wyjdzie z przyjęcia, zobaczy nas tutaj i twoja prababka naprawdę urwie mi łeb.

Jagoda wdrygnęła się, gdy obrazy się rozpląnęły, a ona znów siedziała na dachu bloku. Kiedyś już obserwowała świat cudzymi oczami, pochłonięta przez wir wspomnienia prababki. Tam jednak, przez te krótkie parę chwil, rzeczywiście była Joanną Wilczek, dzieliła z nią myśli i uczucia.

Zajrzenie we wspomnienie Caleba było inne. Jak śledzenie obrazów nieosadzonych w szerszym kontekście. Jak realny sen, w którym wciąż pozostajesz sobą, ale nie panujesz nad tym, co robisz i mówisz – i nawet cię to nie dziwi.

„Mała Wilcza Jagoda”. „Belladona”.

Najwyraźniej nazwał ją tak na długo przed tym, jak nadano jej złośliwe przezwisko. A kiedy zwrócił się tak do niej podczas pierwszej rozmowy, sądziła, że po prostu poszukał informacji na jej temat.

Nie była pewna, co myśleć o tym wspomnieniu. Wiedziała już, że znała go w dzieciństwie. Nie

uważała, by miało to znaczenie, a przynajmniej nie szczególnie duże. A jednak wiedzieć a widzieć to były dwie różne sprawy.

Caleb przypatrywał się jej, czekając na reakcję. Nie odezwała się – wyciągnęła tylko kulę w jego kierunku.

– Zatrzymaj ją – powiedział, odsuwając jej dłoń. – Może ci się przydać.

– Dziękuję, ale...

– Kupiłaś mi ubrania i utrzymywałaś przez kilkanaście dni – przypomniał. – Jestem ci za to winny. Poza tym uznaj to za prezent. Wszystkiego najlepszego z okazji dwudziestych ósmych urodzin.

Drgnęła, uświadamiając sobie, że Blythe miał rację. Było po północy, więc mieli trzydziestego kwietnia. Jagoda urodziła się w nocy z trzydziestego kwietnia na pierwszego maja. Normalnie nie miałyby szans zapomnieć o swoich urodzinach: Liliana i Iga nigdy by na to nie pozwoliły. Teraz zresztą też początkowo planowały wyciągać ją w miasto i urządzić rajd po klubach, ale zrezygnowały w świetle ostatnich wydarzeń. Pewnie Liliana zadzwoniłaby z inną propozycją, ale i jej wyleciało to z głowy: w ostatnim dniu była zbyt zajęta upewnianiem się, że siostra żyje i nie została ranna.

– Mhm. Dziękuję – mruknęła, czując się niezręcznie z tym niespodziewanym podarkiem. Kula pod jej palcami znów była chłodna i gładka.

– Beltaine. Sabat większy. Mam dziwne przeczucie, że tej nocy uda mi się dopaść Daniela. Albo on dopadnie mnie. To w końcu magiczna pora, czas, gdy granice między światami są cienkie, a magia lubi płać figle – parsknął Caleb, odwracając wzrok. – I pora zabawy. Pewnie nie bardzo to do ciebie pasuje, co, widzmo?

– Sugerujesz, że powinnam się urodzić trzydziestego pierwszego października? – spytała sucho.

– W porze śmierci, paskudnej pogody i opętań?

– Nieee, tę datę zająłem ja. Samhain i Cethsamhain. Czyżbyśmy byli przeciwieństwami, Wilcza Jagodo?

Samhain i Beltaine, zwane też Cethsamhain – „przeciw Samhain”.

Pomyślała, że nie, nie są przeciwieństwami. Może nawet, pod niektórymi względami, sporo ich łączyło, i nie chodziło o podobne upodobania w kwestii książek i seriali. Władali magią, która już na starcie zniechęcała do nich ludzi. Gdy byli młodzi, z powodu tej magii oboje zostali odizolowani od świata. Mieli paskudną opinię. I na życie obojga kładł się długi cień Joanny Wilczek.

Nie powiedziała tego jednak. Nie wydawało się jej też, że musi. Dla Caleba prawdopodobnie było to oczywiste.

– Strasznie lubisz gadać, Blythe – wytknęła. – Masz do powiedzenia coś wartego uwagi? Może na przykład wyjaśnisz, kim jest Daniel?

Caleb zrobił taką minę, jakby miał ochotę odgryźć sobie język. Na pewno nie planował podawać jej tego imienia. Wyciągnął z kieszeni świstek.

– Gdyby znów się pojawił albo gdybyś czegoś się dowiedziała, dzwoń. Nagraj się na pocztę głosową – powiedział i podał jej karteluszek. Wypisano na nim numer telefonu. Wolą się nawet nie zastanawiać, skąd wziął komórkę i pieniądze. Może od tej tajemniczej osoby, na którą początkowo chciał zapolować wilkołak?

Przesunął dłonią po jej włosach, takim samym gestem jak we wspomnieniu. Cofnął rękę, nim zdążyła się odsunąć.

– Blythe! – zawołała za nim, gdy ruszył ku krawędzi dachu. – Naprawdę, powinieneś się z tym zgłosić do WMM.

Odpowiedział jej śmiech. Mrugnęła – i Caleb zniknął. Nie mógł otworzyć portalu tak szybko, wciąż też czuła bardzo słabą magiczną aurę unoszącą się w powietrzu, zapewne więc znów skrył się pod płaszczem cieni. Powoli zbliżyła się do miejsca, gdzie wcześniej stał – mogła stąd spojrzeć ku uliczce, w której wczoraj stoczyła walkę z wilkołakiem.

Stojąca tam latarnia znów zgasła.

Uczeń Czarnoksiężnika szukał tropu.

Jagoda pomyślała, że prawdopodobnie go znajdzie. WMM wyczyściło okolice ze śladów magii i krwi, teoretycznie nic nie powinno się ostać. Ale Blythe doskonale wiedział, czego szuka – poza tym

miał rację. Za kilkanaście godzin zacznie się noc Beltaine, granice staną się cieńsze, a magia silniejsza. Może tej nocy się spotkają, Caleb i Daniel, i tylko jeden z nich przeżyje to spotkanie.

Wycofała się w stronę klapy. Było jej ciężko na duszy. Choć, gdyby ktoś ją o to spytał, nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego.



ROZDZIAŁ 9

**CZARNOKSIĘŻNICY**

Jagoda nie spała dobrze. Męczyły ją koszmary, nedorzeczne, pozbawione ciągu przyczynowo-skutkowego. Raz kogoś goniła, raz uciekała. To tańczyła przy ogniskach płonących nocą w Bromierzyku, to próbowała znaleźć Sonię gdzieś w ciemnym lesie, to siedziała na dachu z Calebem. Obudziła się po sześciu godzinach, niewiele bardziej wypoczęta, niż gdy kładła się do łóżka, z głową pełną czarnych myśli. Mimo to poświęciła na ćwiczenia i medytację niemal dwie godziny, licząc, że pomoże jej to odzyskać spokój.

Nie zadziało.

Nie miała też pojęcia, co robić dalej. Najchętniej zaczęłaby szukać wilkołaka, ale nie miała żadnych punktów zaczepienia. Myślała o tym, by spróbować zajrzeć do Mai, jednak odwiedziny na pewno zaowocowałyby pogadanką od Maria na temat „niemieszania w śledztwie”. Niemal słyszała, jak peroruje: „Nie znajdziesz niczego, na co nie wpadlibyśmy my, to nie serial o amerykańskich detektywach”.

Być może należałoby odpuścić, pomyślała z niechęcią, popijając herbatę i spoglądając przez okno na parkę siedzącą na ławce pod blokiem. Dałaby sobie głowę uciąć, że skądś ich kojarzy. Ludzie Olchy. Wilkołak, ten cały Daniel, nie był idiotą, przynajmniej według Caleba. Nie zaatakuj jej, skoro ma ochronę. Ludzie z WMM niemal na pewno znaleźli jego krew na miejscu starcia, wiedzieli też już mniej więcej, czego szukają. Blythe otrzymał informacje, które mogły mu się przydać. Albo Olcha, albo Caleb powinni w końcu go dopaść.

Jagoda nie musiała odgrywać ostatniej sprawiedliwej, nie była dłużej w niebezpieczeństwie, sprawę trudno było uznać za osobistą.

A jednak nie potrafiła po prostu machnąć na to wszystko ręką.

Ostatecznie więc – prawdopodobnie ku wielkiemu niezadowoleniu Olchy – wyszła z domu i pojechała do głównej enklawy. Jej celem był budynek, w którym mieściły się biblioteka i archiwa. Musiała poszukać czegoś o tajemniczym Danielu, a MAGnet nie był tak rozwinięty jak niemagiczny internet. Hasła „Daniel” i „Uczeń Czarnoksiężnika” albo „Jacob Red” nie dały żadnych sensownych wyników. Caleb zaś oczywiście nie założył na swoje nazwisko kont w mediach społecznościowych, nie miała więc szans przeszukać jego kontaktów. Odkryła za to z pewnym rozbawieniem, że na MagicConver założono poświęcony mu anglojęzyczny fanpage, na którym zamieszczano jego zdjęcia i informacje o jego dokonaniach. Stronę śledziło prawie trzy tysiące osób, ale nie znalazła tam nic przydatnego poza relacją o tym, jak Blythe

pozbył się pewnego demona.

Budynek, w którym znajdowały się biblioteka, archiwa i księgarnia – jedna z zaledwie dwóch w warszawskiej enklawie – leżał w samym centrum magicznej strefy, w jej najstarszej części. Wiekowy, odnowiony w latach dziewięćdziesiątych, przypominał dwupiętrową kamienicę o wysokich, wąskich oknach przedzielonych szprosami. Zwieńczony był dobudowaną już później niewielką wieżyczką.

Nim Jagoda przeszła przez bramkę, musiała pozwolić rozpląnąć się kłątwie, którą niosła w aurze. W głównej sali zaczęła przeszukiwać indeksy, chcąc wydobyć wszelkie możliwe informacje o Jacobie Redzie. Było ich sporo: Red, zgodnie z tym, co powiedział Blythe, był genialnym wynalazcą, twórcą kilku nowych czarów i technologii magicznych. Znalazła sporo opracowań okresu jego działalności, parę gazet opisujących skandal, gdy na jaw wyszły jego bestialskie eksperymenty, i wreszcie angielskie wydanie książki zawierającej biografie siedmiu najbardziej znanych przestępców społeczności magicznej w dwudziestym pierwszym wieku. To ostatnie zaintrygowało ją szczególnie. Kiedy sprawa Reda ujrzała światło dzienne, Jagoda była nastolatką, bardziej przejętą nauką, Antonim i własną nieposłuszną magią niż mordami, do których doszło gdzieś na drugim krańcu Europy. Do jej uszu dotarły różne historie – o Czerwonym Rozpruwaczu opowiadano sobie wtedy bardzo chętnie – ale nigdy nie poznała szczegółów.

Jacobowi poświęcono trzy rozdziały, niemal sto stron. Był sierotą, jego biologiczni rodzice pozostali nieznani. Już w dzieciństwie przejawiał ponadprzeciętny talent i prawdopodobnie to z jego powodu został adoptowany przez brytyjskiego maga dysponującego pokaźnym majątkiem. W Wielkiej Brytanii edukacja magiczna była bardziej usystematyzowana niż w Polsce, gdzie w szkole odbierano zwykle zaledwie podstawową edukację ogólną, a potem najczęściej robiło się kursy pod konkretne

profesje lub – w przypadku zaledwie kilku dziedzin – szło się na trzy- albo czteroletnie studia. Na Wyspach istniały tymczasem aż trzy duże ośrodki nauczania dla magów, wszystkie z internatem. Jacob Red ukończył Longsford, najbardziej elitarny z nich, mieszczący się w pobliżu Londynu. W ciągu czterech lat zrealizował nie tylko podstawowy program, ale także ten omawiany w ramach zajęć dodatkowych, co większości studentów zajmowało ponad dekadę. Wciąż nieletni Jacob kontynuował naukę pod okiem prywatnego nauczyciela, który dwa lata później zginął w nieszczęśliwym wypadku.

Jak spekulował autor książki, wskazując całkiem przekonujące dowody, mentor mógł zginąć z ręki ucznia i prawdopodobnie była to pierwsza zbrodnia dziewiętnastoletniego wówczas Reda.

Jacob pracował przez parę miesięcy w firmie przybranego ojca, jednak ostatecznie wyjechał – bez zgody rodziny – na kilka lat za granicę. Nie dało się odtworzyć trasy jego podróży, ale na pewno spędził jakiś czas we Włoszech i Australii, odwiedził też Afrykę i Indie. Do Wielkiej Brytanii ściągnęła go z powrotem wieść o śmierci ojca. Odziedziczył połowę jego majątku. W kolejnych latach wslawił się swoimi wynalazkami, zyskał też uznanie jako mag bojowy. Brał udział w poskromieniu demonów, przypadkiem uwolnionych w pobliżu walijskiego Cardiff, pomagał także pozbyć się stada zmiennokształtnych kanibali ze szkockich gór.

Jagoda, mając w pamięci to, co powiedział Caleb o eksperymentach nad stworzeniem zmiennokształtnych inaczej niż przez naturalną genetykę, pomyślała, że zapewne żadnej z tych rzeczy nie robił z dobroci serca.

Coś zwinęło się w jej żołądku, gdy pierwszy raz padło nazwisko Caleba Blythe'a. Uczniowi Czarnoksiężnika poświęcono kilka stron. Wspomniano o jego roli w zdemaskowaniu i ujęciu Reda. Podczas akcji zginęło sześciu magów, kolejna dziesiątka została ciężko ranna. Autor spekulował, że po pierwsze, gdyby nie zdrada ucznia, Jacoba w ogóle nie udałoby się pochwycić, po drugie – w jego „nawróceniu” było sporo wyrachowania i kalkulacji.

W tekście znalazła się wzmianka o jeszcze jednym młodzieńcu, związanym z Czerwonym Rozpruwaczem. Dość krótka.

Jacob Red przez jakiś czas, po śmierci przybranej siostry, sprawował opiekę nad jej synem. Danielem MacClone'em.

– Daniel MacClone – wyszeptła, przypatrując się książce.

Informacja, której nie chciał podać jej Caleb, a która mogła pomóc w ujęciu wilkołaka. Informacja, którą powinna się podzielić z Olchą. Nawet jeżeli nie bardzo miała ochotę z nim współpracować ani w czymkolwiek mu pomagać, jego możliwości pozostawały bez porównania większe niż jej.

Jak, u licha, przekazać mu wiadomość, by się nie domyślił, że wyszła od niej?

Przez jakieś pół godziny próbowała znaleźć o Danielu coś więcej, ale bezskutecznie. W końcu się poddała, a że zaczęła do niej wydzwaniać Liliana, opuściła budynek.

Zapewniła siostrę, że nie, nic jej nie jest, nie odebrała od razu nie dlatego, że coś próbowało ją zabić, i wreszcie obiecała, że tak, wpadnie jutro do niej, zostanie na noc i będą mogły świętować urodziny. Ledwo skończyły rozmowę, do Jagody zadzwonił Sebastian.

– Jaga? Słuchaj, dwie sprawy. Po pierwsze, ta mała sobie wyszła.

– Co? – spytała zaskoczona.

Spodziewała się raczej życzeń urodzinowych niż takich rewelacji. Odruchowo spojrzała najpierw na niebo, a potem na zegarek. Dochodziła szesnasta. Do zmroku zostało ładnych parę godzin, a wilkołak nie polował dotąd poza miastem, ale informacja i tak ją zaniepokoiła.

– Zadzwonił Tadeusz – wyjaśnił Sebastian cierpliwie. – Sonia przed chwilą wyszła. Najwyraźniej z kimś się umówiła.

W pierwszej chwili Jagoda chciała spytać, dlaczego Tadeusz na to pozwolił. W drugiej zganiła się za taką myśl. Sonia była w ich domu gościem, nie więźniem. Opuszczanie bezpiecznej willi nie było mądre, ale nie mogli przetrzymać Zawickiej wbrew jej woli.

Co nie znaczyło, że Jagoda nie mogła zmyć jej za to głowy.

– Wie, z kim?

– Z kimś znajomym. Obiecała wrócić przed zmrokiem. Wołałem dać ci znać. Może nie

powinienem tego mówić, ale ta dziewczyna to same kłopoty, Jaga. – Ostatnie zdanie Sebastian dodał po chwili wahania. Nauczył się, że siostra potrafi alergicznie reagować na wszelkie próby narzucania jej swojej woli, a tę uwagę mogła za taką uznać.

– Niektórzy to samo powiedzieliby o mnie – przypomniała bratu, choć w duchu musiała się z nim zgodzić. – Zadzwoń do niej. A druga sprawa?

– Pamiętasz, jak się wściekłem, że mój ochroniarz cię nie pilnował, bo podobno coś zauważył? Miał spróbować znaleźć człowieka, który kręcił się koło waszego mieszkania. A dziś nie mogę się z nim skontaktować. Chciałbym, żebyś...

– Mam tutaj ochronę od Mario – przerwała mu Jagoda. – Jeśli ktoś tu podejdzie, to go dorwą.

– Jesteś niemożliwa. Ale wszystkiego najlepszego, siostrzyczko. Wpadnę niedługo z prezentem.

– Dziękuję.

Rozłączyła się i zadzwoniła do Soni. Dziewczyna nie odebrała.

To nie jest powód do paniki, pewnie przyszła po nią Jess, powiedziała sama sobie Jagoda, choć poczuła ukłucie niepokoju. Wybrała w kontaktach numer domowy Wilczków. Być może Tadeusz będzie mógł jej powiedzieć, z kim wysła dziewczyna.

\*

Jakieś pół godziny później Jagoda utwierdziła się w przekonaniu, że nie chce mieć dzieci, a już na pewno córek. Podejrzała, że matka krnąbrnej nastolatki, która postanowiła zniknąć z radaru rodzicielskiej opieki, może czuć się mniej więcej tak, jak ona teraz. Oczywiście Sonia nie była jej dzieckiem i od jakiegoś czasu nosiła w portfelu dowód osobisty, ale zważywszy na okoliczności, powinna przynajmniej odebrać telefon.

Poza tym Zawicka nie zalogowała się na Messengerze, nie odpisała na SMS-a. Jagoda podejrzewała, że przyszła po nią Jess albo wyciągnął ją gdzieś ów tajemniczy Neo... i być może dlatego Sebastian nie mógł się z nim skontaktować.

Jeżeli to był on, mogła mieć tylko nadzieję, że faktycznie jest magiem bojowym. Bo jeśli pójdą do miasta i napadnie ich Daniel...

Nic nie robi w dzień, wśród ludzi, powiedziała sobie, wypisując drukowanymi literami MORDERCA TO DANIEL MACCLONE na kartce wyrwanej ze świeżo zakupionego notatnika. Starła się maksymalnie zmienić charakter pisma, a na papierze, który trzymała w dłoniach tylko przez chwilę, w dodatku przez rękawiczki, nie pozostawić śladu aury ani odcisków palców. Później udała się w okolice osiedla wieżowców wzniesionych w enklawie, zaczepiła pierwszego lepszego dzieciaka i zapłaciła mu dwadzieścia złotych za wetknięcie papierka pod drzwi mieszkania Olchy. Nie był to idealny plan i istniało prawdopodobieństwo, że jeżeli Mario się uprze – a pewnie się uprze, jeśli to Daniel faktycznie stał za napaściami – to do niej dotrze. Musiała jednak działać szybko i chwilowo nie miała lepszych pomysłów. Mario może i nie potraktuje tego tropu poważnie, ale znając go, przynajmniej spróbuje go sprawdzić.

Już miała opuścić teren enklawy, gdy zadzwonił jej telefon. Widząc, że to Maks, odebrała pospiesznie – z nadzieją, że chodzi o Maję.

– Co tam?

– Wisisz mi jeszcze jeden dodatkowy przypadek – oświadczył Maks bez wstępów. – Porozmawiałem z Dziurawiec. Chce się z tobą spotkać. Chociaż, nadmienię, jej ochroniarz nie jest z tego zadowolony. A jeszcze bardziej z tego, że w ogóle cokolwiek ci powiedziałem i przekazałem wiadomość.

– Myśleli, że się nie zorientuję, że zabierają ją do Batorego? – Jagoda prychnęła. – Kiedy mogę przyjść?

Należało załatwić to szybko, zanim informacja dotrze do Olchy. Jeśliby się dowiedział o planowanych odwiedzinach, zrobiłby wszystko, żeby nie dopuścić do kontaktu Jagody z pacjentką. Co prawda przynajmniej w teorii nie miał prawa zabronić kobietom rozmowy, ale pewnie zaraz wyjaśniłby Dziurawiec, że chodzi mu tylko o jej bezpieczeństwo, albo zasłaniał się możliwością mataczenia w śledztwie.



– Jak najprędzej – zadeklarował Maks ku jej zadowoleniu. – Wypisujemy ją z rana. Potem pewnie dostanie ochronę i na jakiś czas zniknie.

– Mogę wpaść teraz? Jestem dziesięć minut od szpitala.

– W takim razie się ruszaj.

Dotarcie do Batorego zajęło jej dziewięć minut. Do pokoju Mai została wpuszczona po kolejnych piętnastu – najpierw musiała poczekać na Maksa, a potem pozwolić sprawdzić ochronie, czy nie ma przy sobie niebezpiecznych przedmiotów albo aktywnych uroków.

Maja Dziurawiec miała dwadzieścia dwa lata. Jagoda nie zdołała się dokopać do wielu informacji o niej, ale gdy poznała jej nazwisko, ustaliła, że dziewczyna dysponuje przyzwoitym talentem magicznym w dziedzinie uzdrawiania. W wieku siedemnastu lat została sierotą, a pochodziła z niezbyt zamożnej rodziny, co mogło po części wyjaśniać, dlaczego mieszkała w niemagicznej części Warszawy. Aby móc rozpocząć pracę jako uzdrowicielka, musiała odbyć kilkuletni kurs, a potem jeszcze roczny staż, Jagoda podejrzewała więc, że pozbawiona wsparcia najbliższych, Maja z trudem wiązała koniec z końcem.

Była też idealną ofiarą dla wilkołaka. Samotna. O silnej magii, ale z niewielkimi możliwościami samoobrony.

– Cześć – przywitała się wiedźma, wchodząc do izolatki.

Dziewczyna, drobna i jasnowłosa, była bardzo blada, ale jeżeli po ataku zostały jakieś ślady, to skrywała je koszula nocna.

– Cześć – odparła Maja. Podciągnęła się na poduszce i uśmiechnęła z przymusem. – To ty mnie z tego wyciągnęłaś? Dziękuję za uratowanie życia.

– Mhm – mruknęła Jagoda, czując się co najmniej niezręcznie. Podeszła bliżej łóżka i oparła dłoń o jego ramię. – Wiem, że pewnie nie chcesz o tym rozmawiać, ale chciałabym cię zapytać... o ten atak.

Maja skrzywiła się lekko, nie wyglądała jednak na zaskoczoną.

– Już o tym z nimi rozmawiałam. Dwa razy.

– Domyślam się, ale mnie nic nie przekażą – odparła czarownica, starannie ważąc słowa. Nie chciała używać karty „uratowałam ci życie, jesteś mi coś winna”, ale naprawdę potrzebowała tych informacji. Nie ufała Mariowi na tyle, by pozostawić sprawę w jego rękach. Nie chciała też wciąż oglądać się za siebie ani zamartwiać o Sonię, ilekroć ta zechce wyjść za próg. – Prawdopodobnie teraz poluje na mnie – dodała więc, licząc, że to przekona dziewczynę do rozmowy o ataku, nawet jeśli wolałaby o wszystkim zapomnieć: – Chcę się jak najwięcej dowiedzieć.

Maja poruszyła się niespokojnie. Konwulsyjnie zacisnęła palce na kołdrze.

– To przeze mnie? Przez to, że mi wtedy pomogłaś?

Może po części, pomyślała Jagoda.

– Nie. Przeze mnie – zapewniła jednak. Sama się w to wpakowała. Sama wyszła nocą z domu. Sama zawarła układ z czarnoksiężnikiem i wpuściła go pod swój dach, wraz z kłopotami, które go ścigały. – A właściwie przez niego, bo to on poluje na ulicach, prawda?

– Nie powinnam była wracać nocą przez park.

– Pewnie nie. Ale to, co się stało, nie jest twoją winą.

Jeśli kogoś obwinała, to tylko Daniela. Nie zamierzała oceniać ani ganić Mai. Nie po to tu przyszła. Interesowało ją jedynie to, czy dziewczyna zobaczyła coś więcej niż Jagoda.

– Niewiele widziałam – mruknęła Maja, spuszczać głowę. – Wracałam z urodzin znajomej. Nie byłam pijana, ale... trochę podpiła. Byłam tam z takim facetem, tyle że wyszedł wcześniej. W parku... zorientowałam się, że ktoś za mną idzie.

Urwała i objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Jagoda cierpliwie czekała, aż dziewczyna poczuje się na siłach, by kontynuować.

– Mam wrażenie, że już wcześniej mnie obserwował – wyszeptała. – Może coś sobie ubzdurałam, ale dwa dni wcześniej też ktoś za mną szedł. Uciekłam na główną ulicę i wsiałam do taksówki. Uprzedzając pytania, poza tym nie działo się nic nadzwyczajnego.

– To... możliwe – przyznała Jagoda ostrożnie.

Miało to sens. Daniel musiał przecież jakoś typować ofiary. Może szukał śladów magii w mieście, może sprawdzał media społecznościowe, wybierając czarownice, które były „dostępne”.

– Powiedzieli mi, że zaatakował mnie demon, więc nie wiem, czy to ma sens.

Jagoda już chciała zaprzeczyć, ale powstrzymała słowa cisnące się na usta. Nie powinna dodatkowo mieszać Mai w głowie, poza tym jeżeli ta zacznie zadawać WMM dodatkowe pytania, Mario się wścieknie i Jagoda znów będzie mieć go na głowie.

– Widziałaś, kto za tobą szedł?

– Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam mężczyznę. Przestraszyłam się i przyspieszyłam. Nie wiem, czy to on mnie zaatakował, bo gdy skręciłam w inną alejkę, już go nie było... Ale potem to... coś wyskoczyło na mnie pomiędzy drzew.

– Ten mężczyzna... Pewnie niewiele widziałaś?

Maja przytaknęła. Podciągnęła kolana pod brodę i się skuliła, niemal przyjmując pozycję embrionalną.

– Było ciemno. Miał czarny płaszcz. Widziałam tylko sylwetkę. Był barczysty. Wysoki. Dużo wyższy ode mnie. Chyba ciemne włosy. Zdaje mi się, że miał brodę. Ale... to wszystko. Przepraszam, nie umiem pomóc bardziej.

– Już pomogłaś – zapewniła Jagoda, chociaż informacje Mai w istocie były szczątkowe. A jednak sprawiły, że w sercu więdźmy zaczęło narastać złe przeczucie. – Dziękuję.

– To ja dziękuję.

Patrzyły na siebie w milczeniu, obie najwyraźniej czując się nieswojo w swoim towarzystwie. W końcu Jagoda kiwnęła Mai głową, po czym ruszyła do drzwi. Ochroniarz z WMM obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem – prawdopodobnie podsłuchiwał rozmowę, ale czarownica miała to gdzieś. Zbiegła na parter, a ledwo przekroczyła granicę enklawy, wyciągnęła telefon.

Caleb, ku jej bezgranicznej uldze, odebrał po trzech sygnałach. Nie traciła czasu na powitania.

– Jak wygląda Daniel MacClone?

\*

Chyba każdemu człowiekowi, nawet najmądrzejszemu i najbardziej pewnemu siebie, zdarza się pomyśleć, że jest idiotą. Sonia nie była pod tym względem wyjątkiem, choć głupotę wyrzucała sobie bardzo rzadko.

A jednak, gdy się ocknęła, odrętwiała, z obolałą i dziwnie ciężką głową, to była jej pierwsza myśl: idiotka, niereformowalna idiotka.

– Obudziłaś się.

To nie było pytanie, ale stwierdzenie faktu. Zorientował się, że odzyskała przytomność, choć nie otworzyła oczu ani nie uniosła zwisającej bezwładnie głowy. Zrobiła to teraz i spojrzała wprost na Neo.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej, a Sonię zalała zimna wściekłość. Magia zawibrowała i natychmiast wygasła. Nie tylko dlatego, że dziewczyna miała związane ręce, co uniemożliwiało jej rzucenie większości klątw i zaklęć. Ani z powodu szumu w głowie, utrudniającego skupienie myśli. Krzesło, na którym siedziała, otaczały wyrysowane kredą znaki. Nie rozpoznawała ich, ale się domyśliła, że krąg musi blokować magię, a nawet jeżeli był słaby, w takim stanie nie miała szans go przełamać.

– Nie chcesz wiedzieć, gdzie jesteś ani co planuję? – spytał, gdy milczenie się przedłużało, a Sonia tylko wodziła spojrzeniem po pomieszczeniu. Niewielkim, zaniedbanym, z pewnością niezamieszkanym na co dzień.

Musieli być gdzieś poza miastem, w jakiejś opuszczonej ruderze. W powietrzu śmierdziało pleśnią, na ścianach widać było zacieki i grzyb. Jedyne okno, drewniane, jeszcze ze szprosami,gniło, a dwie mniejsze szybki były rozbite. W środku pozostało niewiele sprzętów. Wersalka, zapadnięta i prawdopodobnie pleśniejąca. Odrapana ława, na której przysiadł Neo. Krzesło, na którym posadził Sonię. I kredens, chyba pamiętający lata siedemdziesiąte, tak zniszczony, że próba jego otwarcia zakończyłaby się zapewne urwaniem drzwiczek.

Po cholerę mam o to pytać, uznała. Nie miał żadnego interesu w mówieniu jej, gdzie są. A o tym, co planuje... i tak przekona się prędzej czy później. Na własnej skórze.

Igielki strachu wbiły się jej w całe ciało, serce zgubiło rytm. Oszołomienie mijało i do Soni z całą mocą dotarło, że znajduje się w jednym pomieszczeniu z mordercą. Całkowicie bezbronna.

Myśl, nakazała sobie. Myśl.

– Jestem taką idiotką – powiedziała cicho.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa – odparł, niemal łagodnie.

Myśl.

Poprzednie ofiary ginęły od razu. Prawdopodobnie potrzebował jej do czegoś żywej. Oby. Fala paniki zalała ją na samą myśl, że mogła zostać tu wywieziona, bo szybki mord przestał mu wystarczać.

Ile czasu minęło? – zastanowiła się. Jak prędko zaczną mnie szukać?

– Sądziłam, że mnie lubisz. Nie przyszło mi do głowy, że...

...jesteś potworem.

– Lubię cię. Naprawdę nie chciałbym cię zabić – stwierdził Neo.

Zabrzmiało to szczerze, jednocześnie jednak Sonia była pewna, że w istocie jego słowa oznaczały: „Nie chciałbym cię zabić, ale zabiję, jeżeli okaże się to dla mnie dogodne”.

Strach narastał. Powoli uświadamiała sobie, w jak beznadziejnym położeniu się znalazła.

Nie chcę umierać, pomyślała z przerażeniem, a jednocześnie gdzieś w głowie tłukła się jej myśl, że śmierć może nie być najgorszym, co ją tu spotka.

Czy wilkołaki zjadały swoje ofiary?

Z trudem łapała oddech. Pochyliła się do przodu, niezdolna utrzymać pozycji wyprostowanej. Drżała. Serce szaleńczo tłukło się jej w piersi. Zacisnęła powieki, próbując powstrzymać łzy. Nigdy, przez całe swoje dwudziestoletnie życie, nie była tak przestraszona. Nawet wtedy, gdy tkąła pradawną kłatwę, wiedząc, co może ją spotkać. Ani gdy została odnaleziona przez Jagodę pośród snów i dowiedziała się od niej, że może się nigdy nie obudzić. Także dzień, gdy uciekała z enklawy koło Bromierzyka, świadoma, że nauczycielka będzie próbowała walczyć z dwójką silnych magów, nie był tak straszny jak ta chwila.

Do tej pory nawet nie wiedziała, czym jest prawdziwy strach.

– Hej. – Neo podszedł bliżej, przykląkł na granicy kręgu. – Nie panikuj, Czerwony Kapturku. Jesteś dobrą dziewczynką. Nie rób nic głupiego, to przeżyjesz. Zwłaszcza że bardziej przydasz mi się żywa.

Powoli podniosła głowę, gdy dotarło do niej znaczenie jego słów. Nie planował jej zabić, przynajmniej na razie. To dawało czas na myślenie. Na działanie.

– Babcia – wyszeptała.

– Słucham?

– Nie potrzebujesz Kapturka – stwierdziła i roześmiała się histerycznie. – Potrzebujesz babci. Przynęty. Jestem babcią.

– Brawo – odparł, uśmiechając się do niej. To był sympatyczny uśmiech, który wydawał się szczerzy. – Naprawdę jesteś inteligentna. A kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, sądziłem, że okażesz się bogatą idiotką.

Tak dobrze grał. A ona pozwoliła się tak paskudnie zrobić. Uwierzyła, że Neo jest sympatycznym, zachwyconym nią chłopakiem. Bardzo potrzebowała kogoś, z kim mogła porozmawiać. Kto miałby o niej dobre zdanie. I jak skończyła? Do licha, gdy wychodziła się z nim spotkać, wiedząc, że nie powinna, pomyślała, że łąduje się w kłopoty, bo jeszcze trochę i się w nim zakocha. Jej największym zmartwieniem był fakt, że Neo nie władał magią! Tak dobrze się im rozmawiało, kiedy wpadł do niej pod nieobecność Jagody, potem przez Messengera... Głupia, głupia, głupia...

– Jestem idiotką, skoro dałam się nabrać – odparła. Miała chęć na niego wrzasnąć, zacząć go wyzywać, ale wiedziała, że w swojej sytuacji nie może sobie na to pozwolić. Wilkołak. Czarnoksiężnik. Morderca. – Skoro sądziłam, że wreszcie... ktoś mnie rozumie.

Zrobił taką minę, jakby poczuł się zakłopotany. Sonia zamrugęła, próbując pozbyć się łez rozmazujących obraz. Czy naprawdę... było mu głupio, że tak ją urządził? Nadzieja zakiełkowała w duszy dziewczyny. Może naprawdę wyjdzie stąd żywa?

– Przykro mi, że cię w to wciągnąłem.

– Mnie też.

Milczeli przez chwilę. Neo usiadł na granicy kręgu. Czy gdyby go przekroczył, zdołałaby rzucić na niego zaklęcie...? Natychmiast odegnała ten pomysł. Nie знаła żadnej klątwy, która mogłaby od razu powalić człowieka, nie mówiąc o wilkołaku. Poza tym Neo na pewno się spodziewał, że może spróbować jakichś sztuczek.

– Kto jest Kapturkiem? – spytała. – Jagoda? Aż tak załazła ci za skórę?

– To bardzo irytująca wiedźma. Dość potężna, jeśli chodzi o klątwy. Nieźle strzela. – Potarł dłonią klatkę piersiową, gdzie prawdopodobnie trafiła kula. Sonia dostrzegła też na jego dłoni czerwony ślad. Rana goiła się szybko, ale nie zdążyła się w pełni zabiżnić. – Mogłaby mi się przydać. Ale nie. Ona też jest drogą do celu.

– Do Caleba – odgadła Sonia.

Od początku chodziło o niego. Neo go wytropił w ich mieszkaniu, było jednak zbyt dobrze chronione, aby mógł się tam dostać. To dlatego ją zaczepił.

Dlatego polował w ich okolicy.

Sonia poczuła mdłości, gdy zrozumiała, że tamtej nocy, kiedy pierwszy raz starł się z Jagodą, musiał pójść na łowy zaraz po tym, jak odstawił ją pod dom. Dorwał tamtą kobietę. Może Jagoda nie zginęła, bo wcale nie chciał jej zabić? Próbował wziąć ją żywcem?

Nalegał, by Sonia go zaprosiła, żeby się rozejrzeć po ich mieszkaniu...

Dlaczego, pytała samą siebie, już wtedy mnie nie uprowadził?

– Do Caleba – potwierdził Neo, przekrzywiając głowę. – A teraz, droga Soniu, wyjaśnij mi, co was z nim łączy.

– Nic.

Uniósł brwi, a na jego twarzy odmalowała się irytacja.

– Okłamywanie mnie nie leży w twoim interesie. Wiem, że się zatrzymał w waszym mieszkaniu.

– Naprawdę nic mnie z nim nie łączy – zapewniła pospiesznie. – Pewnego dnia wróciłam i on już tam był. Na początku nawet nie wiedziałam, kto to jest. Jagoda nic mi nie wyjaśniła. Ona nigdy nic mi nie mówi. Dopiero potem...

– Potem? – zachęcił ją.

– No... podsłuchałam ich – wymamrotała. – Wspominali o Uczniu Czarnoksiężnika, więc poszukałam informacji. Znalazłam zdjęcie i go poznałam. Nie kłamie. Ja nie...

– Spokojnie, wierzę ci – stwierdził Neo i ogarnęła ją bezbrzeżna ulga. – Sprawdziłem was. Od początku sądziłem, że pewnie mało wiesz... Chodzi o nią. O wiedźmę klątw. Prawnuczkę Joanny Wilczek. Małą Wilczą Jagodę.

Ulga mieszała się w równych proporcjach z goryczą. To dlatego jej nie porwał, kiedy nadarzyła się ku temu okazja. Tak jak sam powiedział, miał ją za głupią i rozpieszczoną bogaczkę. Próbował wydobyć informacje o Jagodzie, zachęcić, aby zaprosiła go do domu. Ba, była na tyle głupia, że to zrobiła. Może chciał się upewnić, że Caleb faktycznie przebywa w ich mieszkaniu. Może zbadać od środka osłony, by móc je łatwiej sforsować. Chciał dorwać Caleba albo Jagodę, a zdecydował się uprowadzić Sonię, kiedy upewnił się, że Wilczek jest nieosiągalna...

– O co chodzi? – spytał Neo, przekrzywiając głowę. Czy dostrzegł coś w wyrazie jej twarzy?

O to, że mnie porwał, pomyślała z goryczą. Że siedzę przywiązana do krzesła i mogę zginąć.

Że mnie wykorzystałeś.

Że...

– Ja też jestem wiedźmą klątw.

Uniósł brwi.

– Ty?

– Tak! – Zaciśnęła usta, uświadomiwszy sobie, że krzyknęła. Nie krzyczysz na niebezpiecznych, silniejszych od ciebie ludzi, zwłaszcza jeśli jesteś związana. Takie rzeczy przechodziły tylko w fanfikach na Wattpadzie. – Ja... uczę się – dodała spokojnie. – Jagoda mnie uczy.

– Hm... – mruknął Neo, przypatrując się jej uważnie. – Wróćmy do Caleba. Gdzie jest teraz?

– Nie wiem. Jagoda... zabrała go z mieszkania. Po... po tamtym ataku. Ona sądziła, że... że to

Blythe.

Neo zamrugał, po czym wybuchnął śmiechem. Sonia poczuła mdłości, gdy uświadomiła sobie, że chłopak odprowadził ją, a potem... ruszył szukać okazji. Omal kogoś nie zabił. A Jagoda podejrzewała Caleba!

– A to dobre! – stwierdził z rozbawieniem. – Szkoda, że o tym nie wiedziałem. Mógłbym to wykorzystać. Pewnie nie wiesz, czy utrzymywali wcześniej kontakt? Caleb mało komu ufa, a przyszedł do was.

Sonia się zawahała. Nie była pewna, co odpowiedzieć. Neo to dostrzegł i w jego spojrzeniu pojawiło się coś, co sprawiło, że pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Nie... nie jestem pewna. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Jagoda chyba go zna, ale nie za dobrze. Powiedziała, że jest mu winna przysługę. Ona... nie była szczęśliwa, kiedy się pojawił.

– Przyjęła go tylko z powodu przysługi?

– Potwierdzonej magią – wyjaśniła szybko, słysząc sceptycyzm w głosie Neo. Mówiła chaotycznie, chwilami urywając. Cały czas uważnie obserwowała twarz mężczyzny, jakby się spodziewając, że zaraz wyszczerzy kły albo oskarży ją o kłamstwo. – Widziałam, jak się posprzecza. Straciła kontrolę, rzuciła jakąś klątwę, a potem padła na ziemię... Mówiła mi, że to nie Caleb, tylko magia z powodu złamania obietnicy, ale ja nie jestem pewna. Nie... nie uczyłam się wcześniej dużo o magii.

– Prawda – powiedział, jakby z zaskoczeniem. Sonia w pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego tak łatwo jej uwierzył. W drugiej dotarło do niej, że musi w jakiś sposób móc weryfikować prawdziwość jej słów, przynajmniej do pewnego stopnia.

Artefakt? Zaklęcie? A może jako wilkołak miał na tyle wyczulone zmysły, że mógł odgadnąć, kiedy mówi prawdę?

Niezależnie od odpowiedzi na to pytanie, jasne było jedno. Nie mogła kłamać.

– Co on ci zrobił? – spytała.

– Skąd wniosek, że coś zrobił? – obruszył się, a w jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

– To... to przecież Uczeń Czarnoksiężnika. I... i nie wydawałeś się... no... zły – wydukała, niepewna, jak dobrać słowa. – Nie wiem, ale... chciałbyś go dorwać tak... bez powodu?

Długo nie odpowiadał. Na tyle długo, że łomoczące serce Soni zaczęło dudnić tak, jakby chciało się wyrwać z piersi. Być może właśnie poruszyła temat, o którym nigdy, pod żadnym pozorem nie powinna wspominać. Gdy Neo wstał, zacisnęła powieki, zmartwiała z przerażenia. Była pewna, że zaraz błysną kły, twarz mężczyzny porośnie futrem, a chwilę potem ona będzie leżeć na podłodze, umierając w kałuży własnej krwi.

Kiedy minęło kilkanaście sekund i nic takiego się nie stało, powoli otworzyła oczy. Neo przekroczył granicę kręgu. Stał tuż przed nią, lekko pochylony. Znów przeszło jej przez głowę, że być może teraz zdołałaby uwolnić magię, jednak nie odważyła się tego zrobić.

– Nie. Nie ściągałbym go bez powodu – powiedział powoli. – Próbował mnie zabić. Nie spodobało się mu, że stałem się silniejszy. Mógłbym rzucić Calebowi wyzwanie, odebrać mu jego pozycję. Postanowił się mnie pozbyć. Ba, nawet wyjechałem, znikłem mu z oczu, a on i tak ruszył za mną.

– To... to okropne.

– A ponieważ mam dość uciekania, teraz zadzwonimy do twojej nauczycielki. Skoro gdzieś wywozła Caleba, powiemy jej, że jeśli chce dostać cię z powrotem, ma mi wskazać, gdzie się ukrywa.

Sonia przygryzła wargę.

– A... jeśli nie wie, gdzie go szukać? Jeżeli on gdzieś znikł? – spytała cicho. I wzdrygnęła się mimowolnie, gdy pogłaskał ją po głowie.

– Miejmy nadzieję, że jest inaczej.

\*

W Warszawie znajdowało się przynajmniej kilka tysięcy wysokich, ciemnowłosych, brodatych mężczyzn. Mimo to fakt, że ten opis pasował zarówno do człowieka, który szedł za Mają, jak i do Daniela oraz kolegi Soni, w połączeniu z niemożnością skontaktowania się z dziewczyną wystarczył, aby Jagoda

postanowiła działać. Złapała taksówkę i pognęła do domu, gdzie miała się spotkać z Calebem. Liczyła, że ten zdoła się dostać do bloku niezauważony.

Ale nawet jeśli nie, było to już bez znaczenia. Przynajmniej dla niej.

– Zadzwoń do Olchy – zażądała, ledwo zdołała nawiązać połączenie z bratem. Taksówka już podejrzany zabrał Sonię i nie ma z nią kontaktu. Że to może być napastnik.

– ...Co? – spytał Sebastian z niezrozumieniem. – Czekaj, Jaga, po kolei. Dziewczyna poszła na randkę, nie będę dzwonił do Olchy...

– Nie poszła na randkę! – wrzasnęła Jagoda, zapominając o taksówkarzu. – Nie mogę do niego zadzwonić, bo nie mam czasu mu niczego wyjaśniać! Zrób to, proszę! Niech spróbują chwycić trop pod naszym domem.

– Dobrze, już dobrze, ale...

Taksówka się zatrzymała. Jagoda przerwała połączenie, podała kierowcy banknot i nie czekając na resztę, wyskoczyła z samochodu. Kiedy wbiegła na drugie piętro, z ulgą odkryła, że Blythe już na nią czeka: siedział na schodach i poderwał się na jej widok.

– Jesteś pewna, że ją ma?

– Prawie – powiedziała, wsuwając klucz do zamka. Tuż za progiem rzuciła się do pokoju Soni. Zdjęła ze szczytki jej włosy, a potem zgarnęła z łóżka wyleniałego miśka i zaczęła przegrzebywać rzeczy w poszukiwaniu czegoś jeszcze, co mogło stać się kotwicą. Caleb nie czekał, aż skończy. Przeszedł do salonu, zrolował dywan i zaczął rysować krąg na podłodze. Miał znacznie większe szanse na skuteczne rzucenie zaklęcia poszukującego niż Jagoda. Po to przyszedł, ryzykując możliwość niechcianego spotkania z ludźmi Olchy.

Ona chciała znaleźć swoją uczennicę. On – Daniela. A ta dwójka prawdopodobnie była teraz razem.

– Coś z DNA. Coś ważnego emocjonalnie. I coś, z czym miała bezpośredni kontakt – wyliczyła, podając Calebowi kilka włosów, miśka i koszulę nocną Soni.

– Mapa?

– Już – odparła, przypadając do regału. Zrzuciła kilka książek, by po chwili rozłożyć na podłodze dużą mapę miasta i okolic. Z szuflady biurka, w którym w skrzyneczkach trzymała narzędzia przydatne do rzucania czarów, wydobyła kryształek na sznurku.

Nie chciała myśleć o tym, że zaklęcie nie zadziała. To oznaczałoby bowiem jedną z dwóch rzeczy: Sonię ukryto przed czarami poszukującymi albo już nie żyła.

Chciała ruszyć do kuchni po mieszankę ziół, gdy rozbrzmiał telefon. Błyskawicznie po niego sięgnęła, w nadziei, że to uczennica – ale dzwonił Antoni. Jagoda zawahała się, mimo to postanowiła odebrać.

– Cześć – przywitał się niepewnym głosem. – Słuchaj, nie mogę się dodzwonić do Soni...

Przekalkulowała szybko wszystkie za i przeciw związane z poinformowaniem Bieleckiego o sytuacji. W końcu zdecydowała się na połowiczną prawdę.

– Wyszła na randkę. Też nie mogę...

– Na randkę?!

– Tak, na randkę. Umawia się z kimś. Nie podoba mi się, że nie mogę się do niej dodzwonić. Zaraz będę próbowała zaklęć poszukujących.

Antoni milczał przez chwilę.

– Jak źle jest? – spytał w końcu, zaskakująco spokojnie. Jagoda, która dotąd nieświadomie wstrzymywała oddech, wypuściła powietrze z płuc. Antoni znał ją dostatecznie, by wiedzieć, że nie sięgałaby po zaklęcia bez powodu. I by umieć wyłapać drobne zmiany w tonie.

– Nie wiem. Ale boję się, że dopadł ją morderca.

– Powinniście ją byli zatrzymać.

– Zamknąć w pokoju? – spytała cicho. Może Antoni miał rację, ale Jagoda nie potrafiła się zmusić do traktowania Soni jak dwunastolatki, na którą można nałożyć areszt domowy. – Gdybyś się dowiedział, że Sebastian trzyma ją pod kluczem wbrew jej woli, jak byś zareagował?

Antoni odchrząknął. Nie był może człowiekiem czynu, a własna siostra opisywała go wręcz jako flegmatycznego, ale gdyby otrzymał taką informację, natychmiast stanąłby na progu posiadłości Wilczków. Z prawnikiem po prawicy, ochroniarzem po lewicy i słowem „pозew” na ustach.

– Będę u ciebie za dwadzieścia minut. Zawiadomiłaś WMM?

– Sebastian do nich dzwonił, ale...

– Moja krew może pomóc, a ty nigdy nie byłaś specjalistką w czarach odnajdujących. Zaraz będę.

Rozłączył się. Jagoda spoglądała na telefon, nerwowo przygryzając wargę. Antoni Bielecki i Caleb Blythe w jednym pomieszczeniu. To brzmiało jak przepis na katastrofę. Jeżeli postanowią tu jeszcze wpaść Mariusz Olcha i Sebastian Wilczek, stanie się przepisem na armagedon.

Gdy zerknęła na Caleba, napotkała uważne spojrzenie jego jasnych oczu. Musiał słyszeć większość rozmowy.

– Kończ krąg – poleciła. – Antoni ma rację, jego krew może pomóc. Chcesz znaleźć Daniela?

– Chcę – zapewnił Blythe, po czym wyrysował kredą ostatnie znaki. – Chociaż wątpię, żeby to zadziałało. Zanim go dopadniemy, on zadzwoni do ciebie.

Skrzywiła się, ale nie próbowała zaprzeczać.

Daniel nie porwał Soni bez powodu. To nie ona była jego celem. Chodziło mu o Caleba, a jedynym łącznikiem, który mógł wykorzystać, by do niego dotrzeć, stała się Jagoda. Z kolei najlepszym sposobem na zmuszenie wiedzy do współpracy było porwanie jej uczennicy.

Umowa z Calebem, pomoc Mai, a ostatecznie wysłanie Soni do Sebastiana – sama podjęła te decyzje. Jeśli zatem dziewczynie coś się stanie, winną, przynajmniej w swoich własnych oczach, będzie Jagoda.

\*

Antoni, na całe szczęście, nie rozpoznał w Calebie Ucznia Czarnoksiężnika. To oszczędziło Jagodzie wielu wyjaśnień. Bielecki, zaaferowany zniknięciem siostry, nie zadawał pytań, zadowolił się informacją, że Caleb ma im pomóc.

Nie zdołali ustalić dokładnej lokalizacji, mimo całej mocy Blythe'a i zastosowania niemal wszystkich możliwych wzmacniaczy. A więc Daniel musiał zadbać o zamaskowanie aury Soni. Kryształek wskazywał jednak uparcie krawędź mapy miasta – a gdy rozłożyli mapę turystyczną regionu, zaczął wirować nad lasami w okolicy Bromierzyka. Na ten widok Jagodę przeszedł dreszcz. Czy to był przypadek, czy też Daniel miał dobry powód, by wywieźć dziewczynę właśnie tam?

Ledwo kilka minut później siedzieli w aucie Antoniego i mknęli w stronę wsi. Bielecki uruchomił zestaw głośnomówiący i próbował dodzwonić się do ojczyma, by poprosić go o wsparcie. Gdy wyjechali poza granice miasta, Jagoda wydobyla telefon z zamiarem zadzwonienia do Maria i przekazania mu ustaleń. Nie zdążyła jednak wybrać numeru. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Soni.

Wiedźmę ścisnęło w żołądku. Wzięła głęboki oddech i odebrała.

– Soniu? Dlaczego nie odbierałaś? – spytała na wstępie. Nie chciała, by Daniel się domyślił, że nie tylko wiedzą o porwaniu, ale są już w drodze, gotowi szukać jego kryjówki.

– Jagoda – wyszeptala dziewczyna. Głos jej zadrżał, ledwo słyszalnie. Mimo to Jagodę ogarnęła ulga. Sonia żyła.

– Coś się stało?

– Ja... Czy... czy wiesz, gdzie jest Caleb?

Antoni obejrzał się na nią i nieomal wjechał na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Spojrzała na siedzącego obok Blythe'a.

– Nie wiem – powiedziała, myśląc gorączkowo. Jeśli odpowiedziałaby twierdząco, Daniel po prostu zażądałby lokalizacji. A wtedy Sonia przestałaby mu być potrzebna. – Opuścił dom. Ale... mam jego numer. Dlaczego o niego pytasz? Mówiłam, że powinnaś trzymać się od Caleba z daleka.

– Właściwie to pytam o niego ja.

Po drugiej stronie rozbrzmiał męski głos. Jagoda spodziewała się tego, a jednak zeszytniała, a wolną dłoń zacisnęła w pięść.

– Z kim rozmawiam?

– Nie domyślasz się?

Przez chwilę rozważała, czy udawać niewiedzę, ale uznała, że teraz sprawa stała się zbyt oczywista.

– Wilkołak.

– Nie określiłbym się w ten sposób, ale blisko. Dzień dobry, Wilcza Jagodo, bardzo chciałem z tobą porozmawiać.

– Naprawdę? Miałam wrażenie, że chciałeś raczej przegryźć mi tętnicę – powiedziała. Głos miała złudnie spokojny, choć serce biło jej szaleńczo.

Antoni zjechał na pobocze i spoglądał na nią w napięciu. Jego twarz przypominała woskową maskę.

– Gdybym tego chciał, już byś była martwa – warknął mężczyzna.

Caleb ścisnął przedramię Jagody, jakby w geście mówiącym: „Nie daj się sprowokować”.

– W takim razie czego chcesz? Żeby znaleźć dla ciebie Caleba?

– To trwałoby zbyt długo. I mogłabyś coś wypłacić ludziom, którzy kręcą się koło twojego mieszkania.

– Więc? – naciskała. Palce Caleba zacisnęły się mocniej na jej ręce. Strząsnęła je ze zniecierpliwieniem. Wiedziała, że nie powinna rozzłościć Daniela, ale przeczuwała, że błaganie i okazywanie strachu także nie przyniosłyby rezultatów. Spotkała Daniela dwukrotnie w jego potwornej postaci i patrzyła na niego jak na drapieżnika. A drapieżniki atakowały nie tylko sprowokowane, ale także wyczuwając słabość. – Czego chcesz w zamian za Sonię?

– Cała, oczywiście. Ale jestem świadom, że nie zdołasz znaleźć go dostatecznie szybko. Dlatego zadowolę się tobą.

Nie odpowiedziała od razu. Serce tłukło się jej w piersi, dłonie zlodowaciały, choć mogła się spodziewać czegoś takiego. Być może tam, przed blokiem, wilkołak naprawdę nie chciał jej zabić.

Bo potrzebował przynęty.

– Naprawdę sądzisz, że Blythe po mnie przyjdzie? Chyba przeceniasz naszą znajomość. Nienawidzi mojej rodziny.

– Myślę, że przyjdzie – odparł Daniel i teraz jego głos brzmiał niemal łagodnie. – Jeżeli nie, pomożesz mi go znaleźć.

– Nie boisz się, że zawiadomię WMM?

Porywacz się roześmiał i ten śmiech skojarzył się Jagodzie ze szczeknięciem. Aż się wzdrygnęła.

– Jeśli nie zależy ci na uczniu. Za chwilę dostaniesz SMS-em lokalizację. Będę tam na ciebie czekał za godzinę. Jeżeli się nie pojawisz, zabiję Sonię. Z prawdziwą przykrością, ale to zrobię. Jeżeli pojawisz się z WMM, wyczuję ich z daleka. Jeśli nawet nie, być może sobie ze mną poradzicie, ale nie dotrzecie do Soni na czas, aby dezaktywować zakłęcie, które tu zostawię. Jeśli ktoś spróbuje nas śledzić... Cóż. Wyczuję go. To jak będzie?

Caleb gwałtownie pokręcił głową. Jego usta się poruszyły, i choć nie wydobyło się z nich żadne słowo, po ich ruchu mogła odgadnąć, że mówi: „Nie zgadzaj się”. Antoni milczał, nie uczynił żadnego gestu sugerującego, co powinna zrobić. Przypatrywał się jej tylko, a jego twarz nie wyrażała zupełnie niczego, jakby zamienił się w kamień.

Ostatni raz widziała go takim, kiedy w szpitalu poinformowano ich o śmierci Wawrzyńca.

– I mam uwierzyć, że puścisz ją wolno, gdy się pojawię?

– Skąd – odparł, a w jego głosie wciąż dźwięczało rozbawienie. Cóż, miał w ręku wszystkie karty. A przynajmniej tak się mu zdawało. – Ale jeżeli dopadnę Caleba? Owszem. Puszczę ją wolno. Masz moje słowo. Szybka decyzja, Wilcza Jagódka...

– Przyjadę – przerwała mu.

Spomiędzy zębów Caleba wyrwało się ciche syknięcie.

– Doskonale, wysyłam ci lokalizację. Jeśli ruszysz natychmiast, powinnaś zdążyć w godzinę. Postaraj się, by nikt cię nie śledził.

Rozłączył się. Blythe wykrzyknął:

– Czyś ty oszalała?!



– A co twoim zdaniem zrobiłby, jeśli bym odmówiła?! Rozerwałby ją na strzępy!

Caleb się zawahał. Nie musiał odpowiadać, Jagoda wiedziała, że ma rację.

– Jedź! – nakazała Antoniemu. – Na co jeszcze czekasz?

– Jaga, nie rozumiesz – warknął Caleb, puszczając ją. – Jeżeli podejdziemy z tobą, wyczuje nas, jest dobry i w wyczuwaniu magii, i w... węszeniu. Wtedy ta dziewczyna i tak zginie. Jeżeli podejdziesz sama, zabije cię, czy się pojawię, czy nie. Ba, jeśli się pojawię, na pewno to zrobi. Skręci ci kark na moich oczach. Zrobiłby to nawet, gdybym się mu poddał, a nie mam ochoty po prostu dać się zabić, jasne?

– Nie powinnaś tego robić – powiedział ku jej zaskoczeniu Antoni, bardzo cicho. Odpalił silnik i włączył się do ruchu. Nie patrzył na Jagodę. – Spróbujemy go dopaść razem.

Zacisnęła zęby, spoglądając na ekran komórki, która zasygnalizowała przyjście wiadomości. Daniel podał w niej lokalizację.

Bromierzyk.

Cóż za ironia losu.

– Nie – odparła chłodno, z pewnością i spokojem, których wcale nie odczuwała. – Dojazd na miejsce z mojego mieszkania zająłby około godziny, i to na pełnym pędzie, a do tego bez korków. Stąd droga zajmie kilkanaście minut. Wykorzystacie ten czas, żeby spróbować ustalić, gdzie jest Sonia. Z bliska zaklęcia poszukiwawcze powinny być skuteczniejsze. Kiedy on ruszy po mnie, wy rozbroicie czary, które zostawił. Dacie mi znać, jeżeli ją znajdziecie.

– A jeżeli jej nie znajdziemy? – syknął Caleb.

Zaklęcia poszukujące bywały zawodne, zwłaszcza jeśli starało się ukryć swoją lokalizację. Daniel to robił. Nie był w tym dość dobry, aby całkowicie zablokować magię, ale zdołali ustalić położenie Soni z niską dokładnością, mając do przeszukania dobre dwadzieścia kilometrów kwadratowych. Nie mogli mieć pewności, czy z bliska czary zadziałają lepiej. Ani czy zdołają dezaktywować zaklęcie, o którym wspominał Daniel.

Plan był cholernie ryzykowny. Ale Jagoda nie miała lepszego.

– Sądzicie, że powinnam zawiadomić Olchę?

– WMM może przejść przez portal i pomóc w poszukiwaniach – zauważył Antoni. – Jeżeli utrzymają odległość...

– Daniel wyczuje echo portalu z odległości paru kilometrów – odpowiedział mu Caleb ponuro. – W magii bojowej nigdy sobie nie radził, ale niezłe wyczuwa takie rzeczy. Po przemianie jeszcze lepiej. Poza tym... jestem prawie pewien, że ma kogoś w WMM. Jeżeli złożysz zawiadomienie, Daniel natychmiast się o tym dowie.

Jagoda przypatrywała się mężczyźnie z niedowierzaniem. Ten obłąkany wilkołak miał wtyczkę w warszawskiej jednostce?! Chciała zaprotestować, powiedzieć, że to niemożliwe, ale przypomniała sobie zachowanie Maria.

Zdawał się pewny, że za napaściami stoi Uczeń Czarnoksiężnika, w dodatku powiązał go z nią, Jagodą, nie mając ku temu żadnych podstaw. Fakt, że znała go, mając kilka lat, nic przecież nie znaczył.

Nie, to nie mógłby być Olcha. W to nie potrafiła uwierzyć. Ale ktoś z jego ludzi mógł mu powiedzieć, że dostał cynk. To tłumaczyłoby też, dlaczego Blythe ukrywał się nie tylko przed Danielem. Caleb już wcześniej sugerował, że ktoś mógł podrzucić komendantowi pomysł o winie Ucznia Czarnoksiężnika. Być może to z tego powodu nalegał na zachowanie dyskrecji i tak niewiele jej wyjaśnił.

Wahała się. W pierwszej chwili chciała zadzwonić do Maria i prosić, by nie powiadamiał nikogo, kogo nie jest w stu procentach pewny, a najlepiej zabrał ludzi na akcję i nie wspominał im o szczegółach. Zaraz jednak dotarło do niej, że nie ufa Olsze na tyle, by tak ryzykować. Nie. On nie uwierzyłby, że ma kreta. Nie posłuchałby jej. Nie miała też pewności, czy zechciałby otworzyć portal na skraju lasu. Mógłby uznać, że lepszym pomysłem jest skok od razu do Bromierzyka i próba natychmiastowego ujęcia winnego.

Niewykluczone, że miałyby rację. Ale prawdopodobnie tym samym spisałyby Sonię na straty. Nie. Jagoda ją w to wciągnęła, Jagoda musiała ją z tego wyciągnąć.

– Zadzwonię do Olchy, kiedy będziemy na miejscu, i powiem, że mają kreta – zdecydowała. –

Nawet jeśli mi nie uwierzy, zdrajca nie będzie mieć dość czasu, żeby powiadomić Daniela.

Nie miała pewności, czy w ogóle powinna wzywać WMM. Przeczuwała, że osaczony Daniel raczej zginie, zabierając ją i Sonię ze sobą, niż pozwoli się pojmać. Ale jeżeli wszystko poszłoby nie tak, ktoś musiał go powstrzymać.

– Ponawiam pytanie – odezwał się Caleb. – Co, jeżeli nie znajdziemy tej małej?

Jagoda, jakby nagle pozbawiona sił, opadła na oparcie i przymknęła oczy.

– Pójdę z nim i będę improwizować.

– I co dalej? – prychnął Caleb. – Nawet jeśli znajdziemy dziewczynę, Daniel będzie pewnie już w pobliżu ciebie. W lesie mu nie uciekniesz. Zamieni się w monstrum, częściowo odporne na magię, o wyczulonych zmysłach. Wtedy nawet na podstawie bicia serca i zapachu może stwierdzić, kiedy kłamiesz. Co zrobisz, Jaga? Co, do cholery, zrobisz dalej?!

Uniosła powieki. Uśmiechnęła się do Blythe'a, choć spojrzenie miała poważne.

– Spróbuję zabić czarnoksiężnika.



ROZDZIAŁ 10

**WIELKI, ZŁY WILK**

Sonia przypatrywała się Danielowi. Jego śmiech, tuż po tym, jak oznajmił, że ją zabije, wciąż dźwięczał jej w uszach.

A może to był tylko jej własny rozszalały puls?

– Popatrz. Przyjdzie po ciebie. A sądziłem, że się nie dogadujecie?

Przyjdzie po mnie, pomyślała z niedowierzaniem i nadzieją. Nie była tego pewna. Ba, gdy Daniel przedstawił swoje ultimatum, Sonię ogarnęła rozpacz, bo kto o zdrowych zmysłach zgodziłby się na coś takiego? Może rodzic dla dziecka, siostra dla siostry, mąż dla ukochanej żony. Ale niemal obca kobieta dla współlokatorki i – Sonia zdawała sobie z tego sprawę – dość upartej uczennicy?

– Bo się nie dogadujemy – wyszeptwała z zaciśniętym gardłem, spoglądając na niego, niepewna, czy nie zarzuci jej kłamstwa. To nie było łgarstwo, tylko... półprawda. Ich relacje były skomplikowane, a ostatnio miały problem ze znalezieniem wspólnego języka. – Nie... Nie rozumiem, dlaczego się zgodziła.

Daniel, dotąd zwrócony do okna, skierował na nią wzrok.

– To twoja mistrzyni? – domyślił się.

– Tak.

– To dość ważne dla maga. Dla większości magów – dodał i lekko się skrzywił. – Troszczyć się o swoich uczniów i wspierać ich w kłopotach. Nawet jeśli ci są trudni.

– Ty też... jesteś magiem.

– O nie, maleńka. Ja jestem czymś więcej – stwierdził, znów się uśmiechając. – Nie tylko czarnoksiężnikiem, ale... Właściwie brak mi słowa. Jak ty byś mnie określiła? Może potworem?

Zawahała się. Chciała zaprzeczyć, ale w takim wypadku wyczułby kłamstwo.

Półprawda. Nie rozpoznał półprawdy.

– To, że ktoś obrasta futrem, nie znaczy, że jest potworem – wyszeptwała. Nie. Potworem czyniło go coś innego.

– Dobrze ujęte.

Podszedł bliżej i znów przed nią ukląkł, przypatrując się jej uważniej niż wcześniej. Z zastanowieniem.

– Naprawdę ci to nie przeszkadza? – spytał, jakby zaskoczony. – Mów prawdę, Czerwony Kapturku.

Spojrzała mu w oczy. Zupełnie normalne. Nie zdradzały, że ich właściciel potrafi się zamienić w monstrum albo że mordował kobiety z zimną krwią. I było w tych oczach, w jego spojrzeniu coś, co sprawiło, że Sonia pomyślała, że bardzo chciałby usłyszeć odpowiedź twierdzącą. Może i ją porwał i igrał jej życiem, ale jednocześnie nie chciał, by widziała w nim potwora... choć nie wierzył, że to możliwe.

Nawet potwory czasem czują się samotne.

Odetchnęła. Wiedziała, że musi starannie dobierać słowa.

„Mów prawdę, Czerwony Kapturku”. Możesz oswoić wilka albo stać się jego kolacją.

Być może w tym przypadku „Mów prawdę” było dobrą poradą.

– Żartujesz? Jeśli powiedziałbyś mi wcześniej, że zamieniasz się w wilka, byłabym zachwycona – odparła. – No dobra, może nie zachwycona, ale... wołałabym tak. Odkąd się poznaliśmy, cały czas przejmowałam się, że... jesteś zwykłym człowiekiem – wyznała.

– Dlaczego? – naciskał.

– Bo wiedźma nie powinna się umawiać ze zwykłym facetem! Ciągłe musiałabym przed tobą udawać. Wilkołak... wilkołak jest lepszy – dodała. Oddech nieznacznie jej przyspieszył i zacisnęła powieki, gdy Neo... Daniel wyciągnął ku niej rękę. Nie poczuła uderzenia. Dotknął policzka, delikatnie, niemal pieszczotliwie.

– Ze mną się umówiłaś. Choć sądziłaś, że jestem zwykłym facetem.

– Bo cię polubiłam – wyszeptwała, z gardłem zaciśniętym ze strachu. Otworzyła oczy, by znów na niego spojrzeć. – Ja... Ja rozumiem... że chcesz dopaść Caleba. Jeżeli cię skrzywdził...

Umilkła, zastanawiając się, czy nie przesadziła, bo w oczach Neo dostrzegła czerwony błysk.

\*

Gdy zbliżyli się do lasu, dwukrotnie stawali i wyskakiwali z auta, by ponowić zakłęcie poszukujące. Za drugim razem wreszcie otrzymali zadowalające rezultaty. Wciąż nie znali dokładnej lokalizacji, ale obszar był na tyle niewielki – i na tyle oddalony od ruin wsi – że Caleb i Antoni mieli realną szansę dotrzeć na miejsce i uwolnić Sonię, zanim Daniel i Jagoda tam wrócą.

– Nie musisz tego robić – powiedział Antoni, kiedy Jagoda, blada i zdenerwowana, wyciągnęła komórkę, by sprawdzić, czy wciąż ma zasięg.

W Bromierzyku czasem sprzęt tego typu wariował, ale do samej wsi pozostało stąd niespełna dwa kilometry. Tu mieli się rozdzielić. Do wyznaczonego czasu spotkania zostało dwadzieścia minut. Mniej więcej tyle potrzebowali, aby dotrzeć tam, gdzie prawdopodobnie przetrzymywano Zawicką.

– Nie powinnaś tego robić. A ja nie powiniennem się zgadzać – stwierdził Caleb z nagłą złością. – Nie masz z nim szans. Ja tam pójde, zakończę to raz na zawsze, a wy idźcie znaleźć tę małą. Przyjechałem tu po to, by go dopaść! On chce dopaść mnie. Jeżeli wyczuje mój zapach, jeśli zorientuje się, że jestem sam, przyjdzie.

Kusiło ją, by się zgodzić. Ale gdy ostatnio Blythe walczył z Danielem, omal nie zginął. Wciąż nie doszedł w pełni do siebie po tamtej walce, a teraz nie miał już amuletu naładowanego energią. Nie wspominając o tym, że z zakłęciem poszukiwawczym radził sobie znacznie lepiej niż ona.

– Może nie muszę i nie powinnam, ale to zrobię – ucięła. – Ty masz większe szanse ją znaleźć, a ja i Antoni nie rozbiorimy zakłęcia Daniela, cokolwiek tam zostawił. Jeżeli wasza walka potrwa za długo, Sonia zginie. Poza tym jeśli ją uwolnicie na czas, mam dokąd uciec. Kretyn wybrał złe miejsce. W trzy minuty po tym, jak złapiecie Sonię, będę bezpieczna. Parę metrów dalej jest moja enklawa.

O jej istnieniu Daniel nie miał pojęcia. Nie mógł wiedzieć, że to tu znajduje się wejście... Jagoda zakłęła w myślach. Owszem, mógł – jeżeli wspomnieli mu o tym Caleb albo Sonia. Ale nie, jaki miałoby to cel? Po co miałby wybrać miejsce, gdzie mogła mu łatwo uciec? A jeżeli liczył, że go tam zaprowadzi... mógł się gorzko rozczarować, kiedy razem przekroczą granicę. Enklawa i ubożę wspomogłyby ją w walce.

– To samobójstwo – wycedził Blythe.

– Nie jestem tak bezbronna, jak się wam wydaje. Caleb, mogę uciec do enklawy. Tylko wyciągnijcie Sonię. Idźcie – nakazała.

Obróciła się i ruszyła w las, wybierając numer Mariusza Olchy. Świetnie wiedziała, że jej opracowany na szybko plan miał wady, a za jego ewentualne niepowodzenie w pierwszej kolejności zapłaci ona. Nie usłyszała jednak żadnej lepszej propozycji, dającej szansę na uratowanie Zawickiej.

Rozmowa była krótka i nieprzyjemna. Jagoda na wstępie w żołnierskich słowach streściła, że ich morderca to nie demon, tylko człowiek zmieniający się w potwora, że ma Sonię, a ona właśnie po nią idzie. Mario, chociaż uwierzył w historię o uprowadzeniu dziewczyny, zgodnie z przypuszczeniami Jagody nie chciał już dać wiary temu, że mogą mieć kreta w jednostce. Domagał się, by Jagoda natychmiast się wycofała, i poinformował, że zaraz otworzą portal na granicy Bromierzyku – w samej wsi ostatnio mieli z tym problemy ze względu na dziwną aurę okolicy.

A zatem chciał zrobić dokładnie to, co mogło skłonić Daniela do zabicia zakładniczki i uciezki. Na całe szczęście czarownica wiedziała, że zebranie teamu zajmie Olsze parę minut, a przygotowanie portalu pochłonie kolejnych kilkanaście.

Gdy się pojawią, Daniel będzie już na miejscu. A Antoni i Caleb, przy odrobinie szczęścia, znajdą Sonię.

Oczywiście to pogarszało sytuację samej Jagody i gdy się rozłączyła – w trakcie tyrady Maria, który to pokrzykiwał do kogoś w biurze, to wyzywał ją od idiotek – żałowała, że w ogóle postanowiła powiadomić WMM. Jeżeli zaczną otwierać portal w złym momencie, Daniel może po prostu skrócić jej kark.

A przynajmniej spróbować.

Na miejsce spotkania Daniel wyznaczył skraj dawnej wioski.

Rozejrzała się za nim, ale mężczyzna – choć była pewna, że przyjdzie wcześniej – jeszcze nie dotarł. Nie spodziewał się, że Jagoda pojawi się tak szybko. Doskonale. Na tym dodatkowym czasie po

części bazował jej plan. Już jadąc, wplatała w swoją aurę nieaktywną kłątwe, a drugą nałożyła na przedmiot. Teraz miała okazję przygotować parę kolejnych niespodzianek.

Oczywiście jeśli nie znajdą Soni w porę, przygotowania zdadzą się na nic. Będzie musiała udać się na spacer po lesie z wilkołakiem.

Sprawdziła komórkę, ale – Merlinowi niech będą dzięki – tym razem ta ani się nie wyłączyła, ani nie straciła zasięgu. Jagoda ułożyła ją obok siebie, po czym przyklekła i zaczęła tworzyć podstawowy krąg ochronny. Nie łudziła się, że powstrzyma Daniela na długo, ale mogło jej to dać czas na przygotowanie kłąt. Pod tym względem MacClone na pewno miał nad nią przewagę. Kły, pazury i magia bojowa działały znacznie szybciej niż silniejsze kłatwy.

Po skończeniu run Jagoda zabrała się do rzucania przekleństw. Musiała nie tylko spleść kłatwę, ale też starannie ją zamaskować. W ciągu tych dziesięciu minut, które miała do dyspozycji, zdołała więc naszykować jedynie dwie. Potem pomiędzy drzewami dostrzegła czyjąś sylwetkę. I niemal w tej samej chwili przyszedł SMS od Antoniego.

„Znaleźliśmy dom! Uciekaj!”

Za późno, Anton, pomyślała z zalem. Z jednej strony poczuła ulgę, z drugiej skok adrenaliny i ukłucie złości, że zabrakło zaledwie minuty. Sześćdziesiąt sekund temu mogłaby się rzucić do ucieczki w głąb lasu, tam, gdzie znajdowało się wejście do enklawy. Miałaby szansę. Teraz Daniel na pewno by ją dopadł.

Ale znaleźli Sonię i powinni dać radę ją uwolnić. Jagoda nie musiała nigdzie iść z Danielem. Poza tym niedługo powinno się tu pojawić WMM.

– Wilcza Jagoda!

Daniel MacClone zbliżał się w jej stronę. Widziała go już w ludzkiej postaci, ale dopiero teraz mogła się mu dokładnie przyjrzeć. Był wysoki, dobrze zbudowany, sądząc po wyglądzie – choć ten u magów bywał zwodniczy – gdzieś pomiędzy trzydziestką a czterdziestką. Ubrany w ciemny płaszcz, idealny dla złego charakteru z Hollywood, opcjonalnie postaci prywatnego detektywa z angielskiego serialu.

– Mam nadzieję, że nie przygotowałaś żadnych niespodzianek? – spytał, gdy zatrzymał się kilka metrów dalej. – Mamy dwadzieścia minut na dotarcie z powrotem i dezaktywowanie zaklęcia. Chyba że jednak nie zależy ci na uczennicy?

Jagoda przekrzywiła głowę, przypatrując się mężczyźnie. Instykt podpowiadał jej, by grać na czas. Dać chłopakom możliwość zabrania Soni w bezpieczne miejsce, a WMM – szansę postawienia portalu. Nie wątpiła, że Mario się tu pojawi. Nawet jeżeli nie dał wiary jej słowom, nie było mowy, aby zostawił taki ślad bez sprawdzenia.

– Może przygotowałam. Chcesz się przekonać?

Początkowo nie czuła od Daniela magii. Gdy jednak wypowiedziała te słowa, jego aura, być może dotąd zamaskowana, stała się wyczuwalna. Jagoda zamrugnęła, starając się dostrzec otaczające go nici.

Zawsze zauważała magię właśnie w ten sposób – jako różnokolorowe sploty. Czasem moc oddziaływała także na inne zmysły: mogło jej towarzyszyć wrażenie ciepła albo chłodu.

Wokół Daniela migęła czerwień, a uczuciem, jakie wywoływała jego aura, był strach. Tak samo jak przy poprzednich spotkaniach. Jagoda czuła się jak bezbronne zwierzę oko w oko z drapieżnikiem.

Owca stawiająca czoła wilkowi.

Odetchnęła, podnosząc się z komórką w rękę.

– Oddaj mi telefon. Natychmiast – nakazał ostro Daniel.

– Zaraz – odparła z niezmaconym spokojem, wysyłając wystukaną wcześniej krótką wiadomość do Antoniego: „Za późno, D. na miejscu, zajmę go, WMM w drodze. Zmiataj”.

– Już albo obie was rozerwę na strzępy!

– Przecież i tak planujesz rozerwać mnie na strzępy – przypomniała Jagoda.

Zajmij go, powiedziała sobie. Jak najdłużej. Nie miało znaczenia, czy go rozwścieczy. I tak będzie musiała z nim walczyć, prędzej czy później. Jeżeli postanowi zaatakować sam, nawet lepiej: wejdzie prosto w kłatwę wplecioną w fundamenty budynku, na których stała. A każda sekunda rozmowy

mogła być decydująca.

– Nie jesteś aż tak głupiutka – warknęła. – Mogę to zrobić na wiele różnych sposobów. Poza tym wciąż mam twoją uczennicę. Chcesz popatrzeć, jak rozrywam na strzępy najpierw ją?

– Myślałam, że chcesz, bym razem z tobą szukała Caleba? – wytknęła. Wciąż chłodno, z niewzruszonym wyrazem twarzy, choć płonęły w niej gniew i determinacja. W ich ogniu strach zamieniał się w popiół. – Sądziś, że gdy rozerwiesz Sonię na strzępy, będę współpracować?

– Wystarczy, że dowie się, że cię mam, kochanie. Pewnie wtedy zadzwoni.

– Och – powiedziała, spoglądając na komórkę. – To po to ci mój telefon? Chcesz, by Caleb się dowiedział, że mnie porwałeś, zadzwonił i umówił się z tobą na pojedynek, czy jak? Nie prościej było dać ogłoszenie w sieci? Szuka cię, pewnie by przyszedł.

Ruszył w jej stronę, zatrzymał się jednak, nagle podejrzliwy. Był wściekły, ale ta wściekłość nie przytępiła całkowicie rozsądku. Uniósł głowę i zaczął węszyć. Próbował wyczuć, czy nie sprowadziła sobie wsparcia.

– Pachniesz Calebem.

– Doprawdy?

– Nie ma go tutaj. Gdzie go schowałaś, malutka? Liczysz, że jednak przybędzie, uratować damę w opresji?

Teraz, kiedy się zbliżył, mogła zobaczyć, że jego oczy przybrały czerwona barwę. Zmienił się kształt tęczówek i źrenic.

– Daniel?

– Tak?

Wielki, zły wilkołak.

Ale ona nie była owcą ani Czerwonym Kapturkiem, czekającym na ratunek myśliwego.

Wilczą jagodą truto wilki.

– Nie jestem damą w opresji – stwierdziła, po czym rzuciła mu telefon.

A gdy schwycił aparat – jego paznokcie zaczynały zamieniać się w szpony – Jagoda uwolniła oplecione wokół smartfona przekleństwo.

\*

Po kilku minutach walki z więzami Sonia zdołała osiągnąć tyle, że wywróciła krzesło. Nie знаła się na rozplątywaniu sznurów, choć więc próbowała ze wszystkich sił, nie potrafiła się uwolnić. Z nowej pozycji przez chwilę przypatrywała się narysowanym na podłodze kręgom, przeklinając swoją mierną edukację magiczną. Zdaniem rodziców wystarczyły jej podstawy – takie jak wyczarowanie światła czy wiedza o funkcjonowaniu enklawy. Dziedziczka rodu Zawickich nie musiała zgłębiać wiedzy na temat bardziej skomplikowanych zaklęć, rytuałów, run czy teorii magicznej. A już absolutnie nie na temat klątw!

Teraz za to płaciła. Runy nakreślone kredą na podłodze nie wyglądały na szczególnie zaawansowane, a Sonia zdążyła odgadnąć, że utrudniają jej używanie magii. Nie miała jednak pojęcia, co dokładnie miał powodować ten krąg ani jak był potężny.

Mimo to nie mogła po prostu siedzieć i czekać, aż Daniel wróci z Jagodą! Nawet jeżeli istniała duża szansa, że dotrzyman obietnicy i Soni nie zabije.

Syknęła z bólu, mozolnie przesuwając się po podłodze. Bliżej krawędzi kręgu. Mdlilo ją ze strachu: w jednej powieści, popularnej w magicznym półświatku, czytała o kręgu runicznym, którzy przy próbie przerwania podpalał starającą się go naruszyć osobę.

Oby do takich rzeczy dochodziło tylko w książkach.

W końcu zdołała dosięgnąć stopą jednej z run i zaczęła zamazywać ją piętą. Syknęła, kiedy przez nogę przebiegł impuls, przypominający kopnięcie prądem, ale krąg został naruszony. Sonia odetchnęła z ulgą, gdy poczuła, że znów może sięgnąć ku własnej magii. Póki nie została od niej częściowo odcięta, nawet nie podejrzewała, jak źle czuje się bez niej.

Tylko co dalej? Nie znała zaklęcia przydatnego w tej sytuacji, a i do większości skomplikowanych przekleństw potrzebowałyby wolnych rąk.

Kula ognia?

Był to jeden z dwóch bojowych czarów, których nauczył ją jej pierwszy nauczyciel magii, zatrudniony przez rodziców. Nie żaden mistrz – ot, człowiek, który pojawiał się raz w tygodniu, by wyłożyć jej podstawy teoretyczne i pokazać kilka zaklęć. Sonia nie celowała w magii ogólnej. Jej kule ognia miały rozmiary piłeczek pingpongowych. Mogła spróbować rzucić taką teraz, by przepalić więzy, ale mdliło ją na samą myśl o tym. W najlepszym wypadku poparzyłaby sobie ręce, w najgorszym mogłaby podpalić sobie ubranie i spłonąć.

Czy było warto? Daniel ewidentnie nie chciał jej zabić.

Na szczęście nie musiała podejmować decyzji, ktoś bowiem załomotał w drzwi.

– Sonia?! Jesteś tam?!

– Antoni! – krzyknęła, bliska wybuchnięcia płaczem z ulgi.

– Odsuń się – nakazał ktoś inny, również mężczyzna. – Drzwi są obłożone zaklęciem pieczętującym. Sonia! Wiesz, jakie czary umieścił w środku?

– Chyba żadnych! Tylko krąg blokujący! Już go przerwałam! Uwolnijcie mnie stąd!

Sonia zamarła, nasłuchując, ale po drugiej stronie zapanowała cisza. Chwilę później coś błysnęło przy drzwiach, po czym te otworzyły się i zobaczyła Blythe'a. Antoni próbował się obok niego przepchnąć, ale Caleb chwycił go w pól.

– Czekaj, to może być pułapka – warknął, odpychając go. – Chcesz zginąć albo ją zabić?

Antoni zacisnął szczękę, ale cofnął się posłusznie, nie odrywając wzroku od leżącej na podłodze siostry. Caleb przestąpił próg, szepcząc coś pod nosem. Rozejrzał się podejrzliwie po izbie, przykucnął i przejechał dłonią po podłodze. Potem pokręcił głową.

– Błefował. Chuj błefował. Tu nic nie ma, poza zabezpieczeniem drzwi i okien. Nie chciał jej zabić! Kurwa mać!

Ledwo skończył mówić, Antoni wpadł do środka i dopadł do Soni.

– Nic ci nie jest? – spytał, mocując się z więzami.

– N... nie – wyszeptała. – Nic mi nie zrobił. Słyszałam, jak mówił wam o tym czarze... ale niczego nie ustawił. Chyba.

Nie chciała się zastanawiać, czy błefował od początku, czy też zdołała go przekonać, że jest po jego stronie.

– Zabierz ją stąd – rzucił Caleb, po czym ruszył w stronę wyjścia.

Sonia spojrzała za nim z niedowierzaniem. Przyszedł na ratunek, a teraz po prostu zniknął? To mogło oznaczać tylko jedno.

– Co z Jagodą? – spytała z niepokojem, gdy Antoni wreszcie uwolnił jej ręce.

Usiadła, rozcierając nadgarstki. Brat nie dał jej na to wiele czasu: chwycił ją za łokieć i zmusił, by wstała, a potem pociągnął do drzwi.

– Czekala na Daniela. Posłałem jej SMS-a, żeby uciekała... – odparł, po czym jego komórka zasygnalizowała nadejście wiadomości. Bielecki zerknął na wyświetlacz, a mięśnie twarzy mu stężyły. Nic jednak nie powiedział.

– Antoni? O co chodzi?

– Chodź. Odprowadzę cię do auta, stoimy kawałek stąd – zarządził.

Jej brat rzadko dawał po sobie poznać zdenerwowanie, ale teraz jego głos drżał. Sonia pozwoliła mu się wyciągnąć ze zrujnowanego budynku, zrobiła nawet kilka kroków w głąb lasu, ale po paru metrach zatrzymała się, stawiając opór.

– Nigdzie nie idę! Jagoda nie uciekła, prawda?

– Nie mamy czasu – warknął Antoni. A gdy znów spróbował siłą zmusić Sonię do marszu, chwyciła się najbliższego drzewa, oplatając pień ramieniem. Szorstka kora nieprzyjemnie obtarła skórę, ale dziewczyna nie puściła. – Sonia! Pójdiesz po dobroci albo cię ogłuszę!

Prawdopodobnie mógł to zrobić. Specjalizował się w magii mentalnej i ponoć był w niej dobry. Sonia nijak nie mogłaby się obronić przed takim atakiem. To jednak tylko spotęgowało jej wściekłość.

– Poszła dla mnie na spotkanie z wilkołakiem, a ty chcesz, żebym teraz uciekła?!

– Niby w jaki sposób jej pomożesz? – Antoni ponownie pociągnął ją za rękę. Sonia nie była



najlepsza w wyczuwaniu innej magii niż klątwy, ale kiedy brat jej dotykał, zauważyła drgnienie jego mocy. – Odprowadzę cię do auta i po nią wrócę. Nie zostawię jej samej, nie martw się.

Do tego czasu on rozerwie ją na strzępy, pomyślała z rozpaczą, ale puściła pień, ruszając za bratem.

– Gdzie oni są? Jak daleko stąd?

– Jakiś kwadrans lasem. W Bromierzyku.

Antoni przyspieszył, zmuszając Sonię niemalże do biegu. Podążała za nim, gorączkowo rozważając opcje. Bała się Neo. Bała się go jak nigdy dotąd nikogo. Było coś kuszącego w tym, by po prostu pozwolić się zapakować do auta.

Jeżeli Jagoda by tam zginęła, Sonia potrafiła z tym żyć. Rozpaczałyby tygodniami, wyrzuty sumienia dręczyłyby ją długie miesiące, ale prędzej czy później by się pozbięła.

Tyle że Sonia tego nie chciała. Nie tylko dlatego, że zależało jej na Jagodzie jako na mistrzyni i niemal przyjaciółce. Także ponieważ od dawna śniła o byciu... po prostu kimś. Może niekoniecznie taką bohaterką jak Clara z Dziewczyny z Miasta Świąteł, ale na pewno nie osobą, która zostawia nauczycielkę w potrzebie. Nie kimś, kogo trzeba ratować.

Gdyby teraz pozwoliła Antoniemu się stąd odesłać, nie tylko nie potrafiłaby sobie wybaczyć, że przez nią zginęła jej mistrzyni, ale też musiałaby porzucić swoje marzenia. Bycie specjalistką od klątw? Praca w WMM? Uniezależnienie? Nie. Jeżeli poszłaby za bratem, równie dobrze mogłaby od razu wrócić do domu, pozwolić rodzicom znaleźć sobie bogatego męża i spędzić resztę życia na organizacji przyjęć.

Po moim trupie, pomyślała.

Szepnęła parę słów, wzywając magię. Antoni, który znał się nieco na klątwach, obrócił się ku niej zaskoczony. Nie spodziewał się ataku, a Sonia użyła przekleństwa prostego i mało szkodliwego, ale szybkiego w rzuceniu. Dzięki temu Bielecki nie zdołał się obronić.

Zachwiał się. Ściągnął z siebie klątwę ledwie minutę później – tyle jednak wystarczyło dziewczynie. Zdążyła wyrwać dłoń z uścisku i puścić się biegiem w stronę – miała nadzieję – Bromierzyka.

\*

Nici klątwy wplotły się w aurę Daniela, a ten zawył z wściekłością. Wbrew obawom Jagody nie zdołał od razu zwalczyć przekleństwa odbierającego siły. Wciąż na nim ciążyło, gdy zaczął się przekształcać. Zmiana wyglądała makabrycznie: kończyny się wydłużały, skórę porastało futro, twarz zdawała się rozpadać.

Czarownicy zebrali się na mdłości. Śledziła Daniela wzrokiem przez zaledwie kilka sekund – i tak zbyt długo. Padła na kolana, doładowując wyrysowane przez siebie znaki magiczną energią. Zapłonęły, otaczając ją ochronną barierą, podobną do tej, którą stworzyła podczas swojego pierwszego spotkania z Danielem.

Wilkołak skoczył i odbił się od niewidocznej bariery. Teraz, w świetle dnia, Jagoda miała okazję mu się przyjrzeć w pełnej krasie i wcale nie spodobał się jej ten widok. Zwykli zmiennokształtni po przemianie najczęściej przypominali większych rozmiarów zwierzęta. Nieliczni potrafili się zmieniać jedynie częściowo. Na pewno jednak żaden nie przekształcał się w takie monstrum, przedziwne skrzyżowanie wilka, człowieka i... potwora z koszmarów? Jagodzie brakowało innego porównania. Paskudny wąski pysk porośnięty szczecina, nieproporcjonalnie długie przednie łapy, zdeformowany tors.

Był jeszcze bardziej odrażający od wizerunku wilkołaka powstającego na skutek klątwy, przedstawionego na rycinach. Jagoda zaczęła się zastanawiać mimo woli, czy mając więcej czasu, zdołałaby zdjąć przekleństwo z MacClone'a.

Daniel tymczasem, bełkocząc coś niezrozumiale, podniósł się z powrotem na nogi. Zatoczył się, a usta wiedźmy rozciągnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu. Właśnie wszedł w zasięg przekleństwa, które wplotła w fundamenty. Ponownie, samo w sobie nie było szkodliwe, ale okazało się pomocne w obecnej sytuacji. Wywoływało nagłe skurcze mięśni.

Gdyby nie miała czasu przygotować run, już byłaby martwa albo ujęta. Zdążyła jednak. Żyła.

Musiała się skupić na tym, aby utrzymać ten stan dłużej.

Możesz spróbować, pomyślała, wyciągając broń. Z wnętrza kręgu nie mogła wypalić, nie mogła też rzucić żadnego zaklęcia bojowego. Kule ognia, wodne pociski i tym podobne czary unicestwiłyby barierę od zewnątrz.

Na całe szczęście Jagoda nie specjalizowała się w czarach tego rodzaju. W przypadku klątw sprawa miała się inaczej. Te można było rzucić nawet na cel, który znajdował się z dala od rzucającego, o ile posiadało się odpowiednią wiedzę i komponenty. Wiedźma nie dysponowała krwią czy włosami Daniela, widziała go jednak, знаła jego imię i aurę, mogła więc atakować, bezpieczna za osłoną.

Przynajmniej przez chwilę, pomyślała ponuro, gdy Daniel znów skoczył, a runy rozbłysły i wygasły. Nie miały wytrzymać długo. Ściągnęła z szyi amulet, wyciągając z niego całą energię, by wzmocnić barierę.

Wilkołak upadł. Kiedy próbował wstać – z trudem, bo dwie klątwy utrudniały mu poruszanie się – Jagoda uwolniła przekleństwo. A potem kolejne i kolejne, ciskając w Daniela drobnymi klątwami, jedną za drugą. Nie miała czasu tkąć niczego naprawdę skomplikowanego, co faktycznie mogłoby wyrządzić mu krzywdę, z wprawą zasypywała go jednak utrzymującymi się krótko, lecz dokuczliwymi przekleństwami, mającymi utrudnić wyprowadzenie ataku.

Drgawki.

Potykanie się.

Kichanie.

Zawroty głowy.

Aura Daniela aż zmieniła kolor od liczby ciężących na nim klątw. Jagoda nigdy nie rzuciła na nikogo tylu naraz. Nigdy nie widziała, by ktoś tyłoma oberwał. Ba, człowiek potraktowany takim ogromem przekleństw najpewniej straciłby przytomność albo nawet umarł tylko z powodu stężenia negatywnej magii. MacClone wciąż się nieźle trzymał. Ale tkanie klątw było dla Jagody tak naturalne jak oddychanie, a teraz popuściła wszystkie hamulce. W czasie gdy wilkołak trzykrotnie skoczył i odbił się od bariery, cisnęła w niego kilkanaście przekleństw. Nad częścią nawet się nie zastanawiała, po prostu pozwoliła, by ukształtowały się z jej myśli, z jej wściekłości i nienawiści. Pozwalała sobie na coś, co uparcie tłamsiła przez lata.

I choć czuła, jak magiczna energia wypływa z niej strumieniem, MacClone również słabł. Po przedostatniej próbie sforsowania bariery zrobił wyraźną przerwę, po ostatniej zaś dostał ataku kichania, przez który aż się przewrócił, co w innych okolicznościach może by Jagodę rozbawiło. Zawył i znów uderzył o niewidoczną przeszkodę. Moc run nieomal już wygasła, ale Daniel także atakował dużo słabiej. Niemniej wiedźma wiedziała, że wraz z kolejną próbą zniszczy krąg.

Wcześniej czuła strach. Teraz pozostała w niej tylko zimna determinacja. Cofnęła się, by stanąć jak najdalej od wilkołaka, i wycelowała w niego broń. Przestała ciskać kolejne klątwy. Te już rzucone wciąż działały, a ona nie mogła sobie pozwolić na utratę przytomności. Przerwanie kręgu powinno wyzwolić impuls, który odrzuci Daniela, dając jej pięć, sześć sekund – i w tym czasie miała zamiar wpakować w łeb potwora tyle kul, ile zdoła. Ona albo on. Czy kule mogły go zabić, zanim rozerwie ją na strzępy...? Przeklinała samą siebie, że nie spytała o to Blythe'a.

MacClone jednak nie zaatakował. Poruszył nozdrzami i obrócił łeb w stronę lasu. Ledwo chwilę później dobiegł stamtąd głos Caleba.

– Hello, Daniel! How are you?!

Daniel nieomal natychmiast ruszył w jego stronę. Ciężące na nim klątwy utrudniały poruszanie się, dystans, który normalnie pokonałby w trzech susach, teraz wymagał od niego kilkunastu sekund. Pomknął ku niemu ognisty pocisk, przed którym uchylił się w ostatniej chwili.

Oto Blythe bohatercko przybywał na ratunek...

...tyle że Jagoda, choć wdzięczna, że Uczeń Czarnoksiężnika odwrócił od niej uwagę wilkołaka, wcale nie zamierzała biernie czekać na rozwój wydarzeń. Przekroczyła granicę kręgu i zaczęła strzelać, akurat w momencie, w którym wilkołak szykował się do skoku na Blythe'a.

MacClone wydał z siebie bolesny ryk, gdy jednocześnie trafiły go kule i kolejny czar Caleba. Dał sus, ale na tyle niezgrabnie, że Blythe z łatwością umknął na bok. Jagoda nie próbowała już strzelać:

Uczeń Czarnoksiężnika znalazł się za blisko celu.

Zdychaj wreszcie, zażyczyła sobie ze złością. I zaczęła zaplatać kolejną klątwę. Wilkołak w tym czasie ponownie spróbował rzucić się na Caleba, ten jednak osłonił się tarczą. Następne uderzenie wielkiej łapy sprawiło, że osłona się rozprysła. Obłożony klątwami, trafiony wiązką czarów i ranny, wciąż był w stanie walczyć. Jego wytrzymałość oraz zdolności regeneracyjne przekraczały ludzkie pojęcie. Blythe padł na ziemię, z jego palców ponownie buchnął ogień. Mimo to wilkołak ruszył w jego stronę.

Jagoda nie zobaczyła kolejnych osób, które pojawiły się na polu walki, bowiem drzewa skrywały nadbiegających przed jej wzrokiem. Ale wyczuła ich magię, boleśnie znajomą.

Prosta klątwa, rzucona przez Sonię.

Muśnięcie mocy Antoniego skierowanej przeciwko MacClone'owi.

Jeszcze chwilę temu wściekła i zdeterminowana, na powrót poczuła ukłucie strachu. Byli blisko. Za blisko Daniela. Jeżeli teraz wbiegłby pomiędzy drzewa, prosto na nich...

Uwolniła klątwę snu, by chociaż przyhamować wilkołaka na parę sekund. Jednocześnie Caleb cisnął jakieś zaklęcie – Jagoda nie miała pojęcia jakie, ale Daniel ponownie zawył i padł na ziemię, miotając się w konwulsjach. Ciało na jego grzbiecie zaczęło się poruszać, jakby coś próbowało wydostać się spod skóry. Wymachiwał kończynami, niezdolny do podniesienia się. Atak Antoniego, jej klątwy i magia Caleba wystarczyły, aby wreszcie go powalić.

I w tym momencie Jagoda wyczuła formujący się portal. Choć ledwo stała na nogach, a świat wirował jej przed oczyma, uśmiechnęła się triumfalnie, powoli opuszczając broń. Wciąż przypatrywała się wilkołakowi i Calebowi, choć spomiędzy drzew wypadli właśnie Sonia i Antoni i ruszyli pospiesznie w jej stronę.

Blythe zrobił krok w stronę Daniela. Być może chciał go dobić albo stąd zabrać, zdał sobie jednak sprawę, że nie zdąży. Obrócił się ku Jagodzie, wykonał gest podobny do niedbałego salutu i wycofał się w las.

– Spóźniłeś się! – zawołała Jagoda do Mariusza Olchy, gdy jakąś minutę później jako pierwszy wyskoczył z portalu, ustawionego kilka metrów dalej, na samym skraju dawnej wsi.

W samą porę, by zobaczyć, jak wilkołak, wciąż targany konwulsjami, zaczyna się przemieniać w człowieka.



ROZDZIAŁ 11

**WIEDŹMA, JAKICH WIELE**

Sonię, Jagodę i Antoniego wstępnie przesłuchano już w Bromierzyku. Odpowiedzieli na kilka pytań, a potem czekali, aż funkcjonariusze zabezpieczą miejsce, sprawdzą teren i zabiorą spętanego magią Daniela MacClone'a. Caleb ulotnił się i Jagoda szczerze mu tego zazdrościła. Walka z wilkołakiem wiele ją kosztowała i jedyne, o czym marzyła, to długi sen. Sądząc po spojrzeniach, jakie co rusz rzucał jej Mario, nie miała na to najmniejszych szans.

Do siedziby WMM przetransportowano ich grubo po zmroku. Niezależnie od tego, czy miało to na celu złamanie i wzbudzenie niepewności, czy po prostu Olcha był zajęty, Jagodę na niemal godzinę zamknięto w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu, w którym umieszczono jedynie dwa krzesła i stół. Jeżeli Mario sądził, że zdoła tym coś uzyskać, grubo się mylił. Już po paru minutach wykończona Jagoda zasnęła z głową na blacie i obudziła się dopiero, gdy Olcha potrząsnął ją za ramię.

Nagle rozbudzona, poderwała się gwałtownie, odruchowo chcąc sięgnąć po magię. Na szczęście dla wszystkich, dla niej i dla Olchy, miała niewiele energii i zapewne dlatego nie miotnęła żadną klątwą.

– Uczeń Czarnoksiężnika? – wycedził Mario. Wyraz twarzy miał pozornie spokojny, ale w zielonych oczach kryła się furia. Nie usiadł, podpierał się o biurko i spoglądał na Jagodę z góry.

– Naprawdę, to w tym wszystkim interesuje cię najbardziej?

Zatajanie udziału Caleba w sprawie nie miało już sensu. Antoni wspomniął o nim, ledwo funkcjonariusz w Bromierzyku zaczął zadawać pytania, zresztą przy skanowaniu terenu WMM musiało się natknąć na ślad dodatkowej aury. Przyrzeczenie nie pętało dłużej Jagody. Rachunki zostały wyrównane.

– Ukrywałaś podejrzanego!

– Który jest niewinny i którego podejrzewałaś, nie mając żadnych dowodów – odparowała.

Być może, gdyby przemyślała sprawę, mogłaby zrozumieć złość Olchy. Był funkcjonariuszem WMM, prowadził śledztwo, a ona miała informacje potencjalnie istotne dla sprawy i zachowała je dla siebie. Teraz jednak była wykończona i nie zamierzała przyjmować bury, kiedy praktycznie podała WMM mordercę na srebrnej tacy.

– Co to ma do rzeczy?! – zawołał Mario i walnął pięścią w stół. – To Uczeń Czarnoksiężnika!

– I? – spytała. – Miałaś powody, żeby go podejrzewać, czy kierowałaś się uprzedzeniami? Nieładnie. Czekał, niech zgadnę: informacje podrzucił ci ktoś z twoich ludzi? Czy wspominałam coś o krecie?

– Bzdura.

– Masz odpowiedź, dlaczego nie dzwoniłam do was od razu – skwitowała.

– Mogę postawić ci zarzuty mataczenia w śledztwie.

Wzruszyła ramionami z pozorną obojętnością.

– Świetnie. Spotkamy się w sądzie. Nie omieszkam udzielić przy okazji wywiadu albo dwóch o tym, jak ocalałam dwie niedoszłe ofiary i złapałam mordercę, gdy WMM zrobiło jedno wielkie nic, a potem złożyło pozew. Masz jeszcze jakieś pytania?

Przez kilka sekund, widząc minę Maria, wiedźma nie była pewna, czy ten jej nie uderzy. W końcu obszedł stół i zajął miejsce po drugiej stronie.

– Nie zamierzasz współpracować? – spytał, już spokojniej.

– Posłałam ci nazwisko mordercy, potem go złapałam, oddałam w wasze ręce i odpowiedziałam na wszystkie pytania Maeve. Jeśli to nie jest współpraca, to nie wiem, co by nią było.

– Ty wysłałaś tę kartkę z nazwiskiem – westchnął. – Powinienem być się domyślić. Nie wpadłaś na to, żeby zadzwonić?

Może właśnie ta kartka sprawiła, że Daniel zdecydował się na radykalny krok, jakim było zadzwonienie do niej. Jeżeli faktycznie miał kogoś w WMM, musiał otrzymać informację, że ustalono jego tożsamość.

– Pytałbyś, skąd to wiem, i groził aresztowaniem, jeżeli nie powiem. Gdybym przyznała, że od Caleba, zacząłbyś szukać jego, a nie prawdziwego mordercy.

– Ja nie... – zaczął Mario, a potem zacisnął szczękę, spoglądając na nią z nową złością.

Jagoda nie wątpiła, że dokładnie tak by zrobił. Olcha był wyjątkowo utalentowanym magiem, umiał też zarządzać ludźmi. Pochodził z majątnej, wpływowej rodziny, co otwierało przed nim wiele

drzwi. Ale zanim awansował, pracował głównie w terenie. Nie był dyplomata i miał istną obsesję na punkcie niedopuszczania do interesów WMM ludzi z zewnątrz. Zwłaszcza należących do parającej się mętnymi interesami rodziny Wilczków.

– Co wiesz o Danielu MacClonie?

– Pewnie mniej, niż znaleźliście na jego temat wy – odparła. Przez chwilę kusiło ją, by całkowicie odmówić zeznań, ale to byłoby dziecinne i głupie. Narobiłaby sobie niepotrzebnie kłopotów. – Krewny Jacoba Reda. Był pod jego opieką.

– Nie jest po prostu zmiennokształtnym. Kłątwa wilkołactwa?

Pokręciła głową.

– Nie sądzę. Przynajmniej nie taka zwykła. Zdaniem Caleba to efekt eksperymentów Reda. MacClone zabijał już wcześniej, w Londynie i jego okolicach.

Mario milczał długą chwilę. Złość znikła z jego twarzy i przybrał teraz minę, której Jagoda nie potrafiła zinterpretować.

– O tym też nie mogłaś mnie poinformować?

– A co, nie wiedziałeś o tych zabójstwach? – spytała z powątpiewaniem.

– Blythe. Jak weszłaś z nim w taką komitywę?

Zawahała się, ale w końcu postanowiła powiedzieć prawdę. A przynajmniej część prawdy.

– Byłam mu winna przysługę. Odniósł rany w walce z Danielem, więc się nim zajęłam. Nie wspominał wtedy ani słowem o mordercy. I nie, nie wmówisz mi, że zrobiłam coś nielegalnego. Nie był poszukiwany. Sprawdziłam.

Szczęka Mario poruszyła się, jakby coś przeżuwał. Znowu nie odezwał się od razu, najwyraźniej coś rozważając.

– Gdzie jest teraz? Caleb Blythe?

Jagoda wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– A nawet gdybyś wiedziała, pewnie byś mi nie powiedziała?

Nie była już nic winna Calebowi. Ale nie czuła też, że jest cokolwiek winna Mariuszowi Olsze. Nie ufała w pełni żadnemu z nich, mimo to, gdyby przyszło jej z kimś współpracować, byłaby bardziej skłonna działać z Blythe'em. Pomógł jej, zrobił dokładnie to, o co prosiła. Chciał dopaść Daniela, ale w pierwszej kolejności poszedł uwolnić Sonię. Szła o zakład, że Mario kurczowo trzymałby się procedur, choćby miało to oznaczać spisanie dziewczyny na straty.

– Nie, Mario. Pewnie bym ci nie powiedziała.

\*

Walka z psychopatycznym mordercą poddanym okrutnej transformacji może trwale zmienić człowieka. Nie dotyczyło to jednak Jagody Wilczek, której życie stosunkowo szybko wróciło do dawnego rytmu. Nastąpił wprawdzie przeciek do prasy i kilka osób koniecznie chciało dowiedzieć się więcej o udziale Jagody w sprawie, ale wyłączyła telefon, a maile z prośbą o kontakt lub komentarz kasowała. Przyszło jej jednak wysłuchać najpierw bury Sebastiana – wściekłego, że nie wezwała go na pomoc – a potem tyrady Liliany na temat narażania życia. Długi monolog młodszej siostry zakończyła stanowczo przysłuchująca mu się Iga, zarządzając, że teraz wreszcie mogą wyjść na miasto, by świętować urodziny Jagody.

Caleb przepadł i Jagoda podejrzewała, że wrócił do Anglii. Tak z pewnością było lepiej. Nie otrzymała odpowiedzi na część dręczących ją pytań, ale Blythe wnosił ze sobą do jej życia za wiele zamieszania. Wciąż też nie miała pewności, ile jest prawdy w pogłoskach krążących na jego temat.

Główną odmianę stanowiło zachowanie Soni. Choć wiedźma zakładała, że uczennica zechce wrócić do Zawickich, nic takiego się nie stało. Dziewczyna po przesłuchaniu przyjechała z nią do mieszkania, siedziała cicho jak trusia i nie licząc lekcji, rzadko wychodziła z pokoju. Nie próbowała dyskutować i czasem tylko zerknęła na Jagodę tak, jakby oczekiwała, że zaraz dostanie od niej po uszach. Przez pierwsze trzy dni czarownica to ignorowała, czekając, aż uczennica dojdzie do siebie albo wyjaśni, o co jej chodzi. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Być może chowała urazę o to, że Jagoda naraziła ją na

niebezpieczeństwo? Albo chciała zrezygnować z nauki, ale nie była pewna, jak zacząć rozmowę?

W końcu Jagoda zdecydowała się przerwać ten impas.

– Okej. O co właściwie chodzi? – spytała wprost, gdy przydybała Sonię w kuchni podczas przygotowywania herbaty. Ta nie usłyszała kroków Jagody i aż podskoczyła, rozlewając wrzątek na blacie.

– S... słucham? Robię herbatę... Też chcesz?

– Zachowujesz się ostatnio, jakbym ci ojca patelnią zabiła – wytknęła Jagoda, siadając przy ladzie. – Chodzi o Daniela i Caleba, tak?

– Nie! To znaczy... – Sonia zawahała się, odwracając wzrok i pospiesznie wycierając blat. – Nie jesteś zła?

– Zła? O co?

– Znowu spierdoliłam – wymamrotała dziewczyna ze wzrokiem utkwionym w ściereczce. – Niby taka dorosła, a dałam się wodzić za nos i pobiegłam prosto w pułapkę.

Jagoda się zawahała. Ani przez moment nie pomyślała, że Zawicką dręczy poczucie winy.

– Nie mogłaś wiedzieć. Nikt nie mógł. Ja... najpierw myślałam, że ten twój Neo może być kimś nasłanym przez mojego brata, żeby nas pilnować. Inaczej może by mnie zaniepokoił – przyznała.

Mocno się pomyliła. Być może Daniel celowo użył tego pseudonimu, może był to przypadek. Ale prawdziwy Neonowy Mag zapewne zginął tego samego dnia, gdy zdecydował się poszukać podejrzanego chłopaka, który kręcił się koło Zawickiej. Pewnie Daniel wypatrzył go już wcześniej, gdy ten śledził ich podczas pierwszej „randki”. Sebastian wciąż nie zdołał go znaleźć.

Sonia wreszcie się ku niej obróciła. Nerwowo skubała rąbek rękawa.

– Czyli... nie wywalisz mnie?

– A dlaczego bym miała?

Na twarzy Zawickiej pojawiła się ulga. Nie zdążyła jednak odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon Jagody.

Wiedźma zerknęła na wyświetlacz i wydała zbolące westchnienie.

– Kto to? – spytała Sonia nieśmiało, widząc, że Jagoda nie kwapi się z odebraniem.

– Mario. Ciekawe, czy będzie mi groził aresztowaniem? – Przesunęła zieloną słuchawkę na ekranie. – Słucham?

– Cześć.

– Cześć... O co chodzi?

– Daniel MacClone – rzucił Olcha, a puls Jagody natychmiast przyspieszył. Zdołał im uciec? A może tylko odkryli coś na jego temat? Zeznając, powiedział coś o Blycie?

– Co z nim?

– Chciałbym, żebyś go obejrzała – poinformował Mario suchym tonem. – Próbujemy odkryć przyczyny transformacji. Częściowo winna może być kłątwa.

– Jeśli tak, zmodyfikowana – odparła, czując, jak schodzi z niej napięcie. – I dobrze zamaskowana.

– Wiem – mruknął, a w jego głos wkradło się zniecierpliwienie. – Zgodzisz się na konsultacje?

Zawahała się. Oczywiście, że chciała wiedzieć, w jaki sposób przemieniono Daniela, zwłaszcza jeżeli użyto do tego kławy. Mario prawdopodobnie o tym wiedział. Z drugiej strony, miał własnego specja od kław. Nawet jeżeli nie tak dobrego jak Jagoda, przyszedł do niej po pomoc podejrzenie szybko.

– A przychodzisz z tym do mnie, bo...?

– Mam ci wystawić laurkę? – spytał z przekąsem. – Pozachwycać się twoimi zdolnościami? Jesteś zainteresowana czy nie?

– Jestem – zdecydowała, choć czuła podskórnie, że coś tu nie gra. – Kiedy się pojawić?

– W poniedziałek. Dwunasta?

– Będę – mruknęła, a Mario rozłączył się bez pożegnania.

Cóż za kurtuazja, pomyślała, odkładając telefon.

– Wow – skwitowała Sonia. – Nieźle. Będiesz pomagać WMM w badaniach?

– Nie wiem – mruknęła Jagoda z wahaniem. – Nie bardzo rozumiem, dlaczego Olcha mnie w to

wciąża. Nie wierzę, że ich specjaliści wyczerpali już wszystkie możliwości...

– Może to pretekst?

– Do czego? Do wypymania mnie o Caleba albo wuja? Nie sądzę – stwierdziła z powątpiewaniem.

– Chociażby do spotkania. Hej, za każdym razem, kiedy coś się dzieje, przychodzi do ciebie osobiście! A ma od tego ludzi!

– Których nie chce narażać na kontakty z wiedźmą Jagą – parsknęła.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo tym razem odezwał się dzwonek do drzwi. Obie zamarły, spoglądając w stronę korytarza. Nie spodziewały się gości. Ostatnie wydarzenia zaś sprawiły, że reakcją na nieoczekiwaną wizytę była nerwowość.

– Otworzyć?

– Jeśli to ktoś znajomy. Jeżeli obcy, udawaj, że nas nie ma.

Sonia z ociąganiem ruszyła do drzwi. Jagoda spodziewała się, że zaraz wróci sama albo z Sebastianem lub Antonim. Gdy jednak Zawicka weszła do kuchni, za nią znalazła się ostatnia osoba, której wiedźma mogłaby oczekiwać.

Caleb Blythe.

– Cześć, dziewczyny – przywitał się radośnie.

Sonia cofnęła się i podparła o blat, nie odrywając wzroku od Ucznia Czarnoksiężnika. Jagoda tkwiła na krześle, zbyt zaskoczona, aby się odezwać.

– Nie cieszycie się na mój widok? Myślałem, że przynajmniej usłyszę jakieś podziękowanie za uratowanie wam życia...

– Co ty tu robisz? – wykrztusiła w końcu Jagoda.

– Czyli żadnych podziękowań nie będzie. – Blythe westchnął z udawanym żalem. – Wpadłem przelotem, bo chciałem dać wam znać, że postanowiłem pokreć się trochę po Warszawie. Może przy okazji zechcecie mi pokazać miasto?

– Yhyyy – skwitowała Sonia elokwentnie, po czym odetchnęła i zdobyła się na wyartykułowanie pełnego zdania: – Będą. Znaczą... podziękowania. Dzięki, że po mnie przyszedłeś z Antonim. I przepraszam, że miałam cię za psychola, kiedy pobiełeś się z Jagodą.

– Grzeczna dziewczynka – stwierdził Caleb z uśmiechem rasowego psychopaty. Potem spojrzął na Jagodę. Wyczekująco.

Skrzywiła się. Zwykle nie miała problemu z dziękowaniem ludziom, jeżeli faktycznie coś dla niej zrobili, ale teraz słowo „dziękuję” nie chciało przejść jej przez gardło.

– Dziękuję, że poszedłeś po Sonię – mruknęła w końcu.

Nie zamierzała dziękować za to, że pojawił się podczas walki z Danielem. Nie przyszedł tam dla niej, chciał go dopaść. Była też pewna, że dorwał go tak łatwo tylko z dwóch powodów. Po pierwsze, MacClone prawdopodobnie faktycznie był słabszy po tym, jak walnęła go autem i postrzeliła. Po drugie, oberwał od niej serią kłatw. Praktycznie podała Calebowi Daniela na tacy. Do tego, jakby nie było: w całą tę aferę wciągnął ją sam Blythe. Na pewno nie planowała okazywać mu wdzięczności. Mogłaby skończyć z kolejnym długiem do spłacenia.

– Lepsze to niż nic – ocenił Caleb. – Dzięki za pomoc w dorwaniu Dana. Do zobaczenia wkrótce, dziewczęta, zgłoszę się niedługo. Jestem wam winny kawę za wikt i dach nad głową.

Mrugnął, a potem pomachał im dłonią i wycofał się, nie czekając na reakcję. Sonia powoli opadła na taboret obok Jagody.

– Kurde, życie jest nie fair – oceniła po długiej chwili milczenia. – Dostają mi się kolejno niedoszły narzeczony z kijem w dupie, drań lecący na moją kasę i wreszcie wilkołak psychopata. A wokół ciebie kręci się trzech fajnych magów!

– Co? – spytała Jagoda, wyrwana z rozmyślań na temat tego, czy propozycja Mariusza miała coś wspólnego z pobytem Caleba w Warszawie. – O czym ty mówisz? A raczej o kim? Bo ja jakoś ich nie zauważyłam.

– Olcha?

– Daj spokój – prychnęła. – Łączą nas interesy, a i to rzadko. My się nawet nie lubimy, Soniu, nie mówiąc o zaufaniu czy flirtach.



– Oj tam, oj tam. – Sonia przewróciła oczami i zrobiła taką minę, że Jagoda po raz kolejny poczuła się jak opiekunka niepokornej nastolatki, która oczywiście-wie-lepiej. – Antoni – podjęła. – Przejmuje się tobą. Chciał mnie odeskortować i po ciebie wracać. Głupek, myślał, że cię zostawię.

Jagoda omal nie zazgrzytała zębami. Jej relacje z Antonim stanowiły temat, którego nie chciałyby omawiać z kimkolwiek, a już na pewno nie z jego siostrą. Choć ta rana się zagoiła, pozostała po niej nieładna blizna, o której zwykle wołała nie pamiętać.

Być może Soni należało się jednak wyjaśnienie. Choćby po to, by nie wypytywała w przyszłości, nie tworzyła szalonych teorii ani by nie wpadło jej do głowy zrobienie czegoś głupiego. Na przykład swatanie brata i mistrzyni.

– Czyli skoro ty mnie nie zostawiłaś, kochasz mnie na śmierć i życie?

– Że co? – Zawicka zgłupiała.

– Twój brat przejmuje się mną, bo znamy się od lat i kiedyś byliśmy sobie bliscy. Ja też nie mogę powiedzieć, że zupełnie mnie nie obchodzi. Jeśli będzie w niebezpieczeństwie i mnie zawoła, zawsze przybiegnę. Ale co było, a nie jest, nie pisze się rejestr. Nie ma i nigdy nie będzie niczego więcej.

Nie kochała już Antoniego. Uczucie przeminęło, razem ze złością i żalem. Może pozostała odrobina rozczarowania, może czasem zastanawiała się, jak by to było, gdyby wszystko ułożyło się inaczej. Może czasem – tylko czasem – jej go brakowało. Ale to była tęsknota podobna tęsknocie za dzieciństwem, do którego tak naprawdę wcale nie chce się wracać. Poza tym nawet jeśli mogła wybaczyć Antoniemu, a po latach zrozumieć, co nim kierowało, gdy zakończył ich związek, to nie potrafiła zapomnieć.

Za żadne skarby nie weszłaby drugi raz do tej samej rzeki, a Antoni swoją decyzję podjął dawno temu. I Jagoda od jakiegoś czasu – chyba od dnia, gdy stanął na jej progu i poprosił o pomoc dla siostry – już tego nie żałowała.

– No dobra – westchnęła Sonia. – W sumie wcale do siebie nie pasujecie. Tak myślę. A Caleb?

– Możesz przestać?

– Jeśli nie jesteś zainteresowana, mogę go sobie wziąć...?

– Niebiosa! – jęknęła Jagoda. – Dajcie mi cierpliwość do tej dziewczyny.

\*

Poniedziałkowe popołudnie było chłodne i deszczowe. Jagoda spędziła lwią jego część w siedzibie WMM. Najpierw na piętrze, podpisując stos formularzy i klauzul poufności, a następnie na badaniach w podziemiach, gdzie w laboratorium trzymano Daniela MacClone'a. Pogrążonego w śpiączce i otoczonego kilkoma kręgami ochronnymi. Zdaniem jednego z pracowników, którzy zeszli do laboratorium razem z Jagodą, nie było to potrzebne: MacClone był w stanie katatonii. Mimo to WMM, być może na skutek nauczki ze Śpiącą Królową, wolał dmuchać na zimne. Jagoda popierała takie podejście. MacClone miał niesamowite zdolności regeneracji i istniała spora szansa, że prędzej czy później dojdzie do siebie.

Po kilku godzinach wspólnej pracy z Adrianem mogli stwierdzić, że obecnie na Danielu spoczywało jedno aktywne przekleństwo, niemające jednak nic wspólnego z wilkołactwem. Przypominało trochę kłatwę rzuconą na Jeremiasza Dagmarka, chłopaka, do którego wezwał ją Maks, działało jednak jeszcze bardziej podstępnie. Sama przemiana natomiast prawdopodobnie była wywołana przez cały szereg magicznych eksperymentów – i kłątwa stanowiła zaledwie jeden z czynników. Zdaniem Jagody mogła być katalizatorem pierwszej zmiany, ale po tylu latach niewiele dało się powiedzieć na pewno.

Mogła też stwierdzić jeszcze jedno. Od MacClone'a czuć było demoniczną energią. Zbadanie tego należało do specjalistów z innych dziedzin, ale przynajmniej rozumiała już, dlaczego Daniela początkowo brano za demona. Jego drugą formę udało się uzyskać za sprawą przedziwnego eksperymentu, łączącego zapewne kłatwę, czarną magię, moc demonów i być może w jakiś sposób wykorzystującego zmiennokształtnych.

Ostatecznie wyszła z podziemi sfrustrowana, bo nie dowiedzieli się niemal niczego. Wiedziała, że specjaliści WMM będą kontynuować pracę i być może prędzej czy później osiągną jakieś rezultaty.

Mimo to brak powodzenia ją irytował, podobnie jak fakt, że jej umiejętności okazały się nieprzydatne.

Podczas pracy w siedzibie WMM ani razu nie wpadła na Maria. Kiedy jednak wyszła na górę, jeden z pracowników poprosił, aby zajrzała do gabinetu szefa.

Olcha siedział za biurkiem, wypełniając papiery. W pierwszej chwili albo Jagody nie zauważył, albo tylko udawał, że jej nie widzi. Obstawiała to drugie. Czekala więc cierpliwie, bez słowa, aż wreszcie podniósł wzrok i machnął ręką, wskazując, by siadła na wolnym krześle.

– Wynagrodzenie wpłynie w ciągu trzech dni.

Kiwnęła głową. Nie zrobiła może wiele, ale skoro poświęciła swój czas, nie zamierzała się wzbraniać przed przyjęciem zapłaty.

– Jakies spostrzeżenia?

– Żadnych nowych. – Wzruszyła ramionami. – Adrian wyszedł przede mną, więc pewnie wszystko ci przekazał. Włącznie z tym, że MacClone umiera z powodu kłątwy. Mogłabym ją zdjąć, ale kazali się wstrzymać.

– Taaak – mruknął Mario przeciągle. – Gdyby był w lepszym stanie... może byłoby warto. Ale wydaje się, że i tak nic nam nie powie. Oberwał taką ilością magii, że wpadł w katatonię, zresztą widziałaś. Adrian go ustabilizował, ale nie będziemy próbowali zniszczyć kłątwy. Uważasz, że to niehumanitarne?

– To psychopata, seryjny zabójca i człowiek władający potężną mocą. Sądzę, że to rozsądne – odparła sucho. Wciąż pamiętała wykrwawiającą się na ziemi Maję i oszalałe oczy wilkołaka, gdy rzucał się raz po raz na jej barierę ochronną. MacClone w oczach wiedźmy jawił się jako wściekły pies, którego najlepiej było się pozbyć.

– No proszę... Jesteś oczywiście świadoma, że ciężąca na nim kłątwa jest... bardzo bliska czarnej magii?

– Sądziś, że ja ją rzuciłam? Mam szukać prawnika? – spytała. Wciąż spokojnie, nie okazując oznak irytacji. Ani obawy, że być może naprawdę cisnęła tę kłątwę, nie do końca świadomie.

– Sądzę, że zrobił to Blythe – skwitował Mario. – Jego prawnik już zdążył się z nami skontaktować. A także dwie inne osoby, bo jak się okazuje, Uczeń Czarnoksiężnika zna ludzi wysoko postawionych. Ostatecznie zarzutów nie będzie, ba, nie zdziwię się, jeśli dadzą mu jakiś order, ale chyba się zgodzimy, że ta kłątwa jest... niepokojąca? Mam też dziwne wrażenie, że została rzucona, by się upewnić, że MacClone nie powie nam za wiele.

Nie odpowiedziała. Myślała gorączkowo, próbując sobie przypomnieć walkę w lesie i ostatnią kłątwę rzuconą przez Caleba. Była wtedy wykończona i skupiona na utkaniu własnego przekleństwa.

Czy to była czarna magia?

Nie brała tego pod uwagę, gdy badała aurę Daniela w laboratorium. Zakładała, że kłątwe, doskonale zamaskowaną, rzucono wcześniej. Takie przekleństwa zwykle wymagały przygotowania. Jagoda nie potrafiłaby rzucić jej na poczekaniu, nie mówiąc o tym, że musiałyby dysponować odpowiednimi komponentami.

Wiedziała, że Blythe jest silniejszy. Dopuszczała do siebie myśl, że może radzić sobie lepiej od niej nawet z kłátwami. Ale o tyle? Coś takiego nie powinno być nawet możliwe.

Choć przecież Jacob Red wielokrotnie przekraczał granice tego, co niemożliwe.

Na ile pozwalała czarna magia?

– Nic nie powiesz? – spytał Mario i może tylko się jej zdawało, ale mogłaby przysiąc, że w jego zielonych oczach pojawiła się satysfakcja.

– Czyli po to mnie tu ściągnąłeś – odgadła. – Chciałeś, żebym zobaczyła, co rzucił... co rzucono. I zaczęła się zastanawiać, jakiego rodzaju magii używa Uczeń Czarnoksiężnika.

– Nie do końca. Ale zwracam na to uwagę, bo nie powinnaś ufać Calebowi Blythe'owi. A zakładam, że skoro został w mieście, już się z tobą skontaktował?

Było to na wpół stwierdzenie, na wpół pytanie. Przed oczyma stanęła jej roześmiana twarz Caleba, gdy wpadł do mieszkania poinformować, że zostaje. Pomyślała o otrzymanym wczoraj SMS-ie z datą i miejscem.

– Jaga? – spytał Mario, gdy się nie odzywała.

– Mamy do ustalenia coś jeszcze?

Olcha westchnął, a jego twarz przybrała wyraz zniecierpliwienia. Wiedźmie przemknęło przez myśl, że może rozmawiając z nią, czuje się tak, jak czasem ona podczas lekcji z Sonią. Tylko on gorzej to ukrywał. Albo nie chciał ukrywać.

– Powinnaś na niego uważać. Nie ma na to niezbitych dowodów, ale jestem pewny, że Blythe pomagał w eksperymentach swojemu mistrzowi. A to, że MacClone i on przybyli do miasta jednocześnie, nie było przypadkiem.

– Dzięki za radę – rzuciła, podnosząc się. – Tobie radzę sprawdzić, kto donosił MacClone’owi w twojej jednostce. Cześć.

Mario nie próbował jej zatrzymać.

Jagoda opuściła enklawę i skierowała się w stronę niemagicznej części miasta. Choć nie dała tego po sobie poznać, słowa Olchy wzbudziły w niej nowe wątpliwości.

Kłątwa rzucona na Daniela była jej nieznana, potężna i oscylująca na granicy czarnej magii.

Czy naprawdę została utkana przez Blythe’a?

W załomach chodników tworzyły się kałuże, trawniki przypominały błotną pułapkę. Krople deszczu bębniły o parasol, gdy Jagoda przemierzała ulice, bijąc się z myślami. Szła powoli, choć wiedziała, że w takim tempie na miejsce spotkania dotrze spóźniona – w siedzibie WMM spędziła więcej czasu, niż zakładała.

Z drugiej strony nie była pewna, czy powinna na nie iść.

Wyciągnęła telefon i przez kilka sekund wpatrywała się w wyświetlacz, niezdecydowana. Była jednak tylko jedna osoba, którą mogła zapytać o Blythe’a. Babka posiadała zapewne jakieś informacje, choćby i szczątkowe. Niemożliwe, aby wpuściła tego chłopca do swojego domu, wcześniej go nie sprawdzisz. Skoro rok temu zdołała się z nim skontaktować, pewnie śledziła jego poczynania. I nie miała powodów, by wprowadzać wnuczkę w błąd.

Z drugiej strony ona nigdy nie dawała nic za darmo.

Układy. Przysługi.

Cóż. Babka przynajmniej nie wplącze jej raczej w żadną aferę z wilkołakami.

– Dzień dobry, kochanie. Czyżby coś się działo?

– Mam pytanie – mruknęła Jagoda, chowając się przed deszczem w bramie. – O Caleba Blythe’a.

– Tak, tak myślałam, że zadzwonisz – powiedziała starsza pani, a w jej głosie Jagoda wyłapała nutę satysfakcji.

Mocniej zacisnęła palce na rączce parasola. Oczywiście, babka czytała artykuły. Prawdopodobnie też ona albo wuj grzebali w sprawie i dotarli przynajmniej do części informacji, których nie ujawniono. Nie wspominając o tym, że Joanna na sto procent wzięła na spytki Sebastiana.

– Chcę spytać, co o nim wiesz.

– Tego się domyśliłam. Pamiętasz, że na jesieni organizuję galę charytatywną...?

– Przyjdę – zgodziła się, bo to i tak była niewielka cena za tę informację.

– Zakładam, że nie pytasz bez powodu. Powoduje tobą ciekawość czy też chodzi o to, że ten chłopiec się wokół ciebie kręci?

Jagoda milczała. Joanna westchnęła i – przynajmniej chwilowo – pozostawiła temat.

– Caleb zawsze był utalentowany, choć jego matka nie władała magią. Taki talent to rzadkość u... mieszańców. Ojciec nigdy go nie uznał, ale pochodzi z bardzo starej, prominentnej rodziny... słynącej z niezwykłych umiejętności. Chłopak miał po kim odziedziczyć moc. Wczesne dzieciństwo Caleba pewnie nie było szczęśliwe, ale też raczej niezbyt traumatyczne. Bądźmy jednak szczerze. Jeżeli ono go nie skrzywiło, pewnie dokonały tego nauki mojej matki. Brakowało jej podejścia do dzieci, a chłopak, kiedy do niej trafił, miał jakieś dwanaście lat. Mnie, na szczęście, uczył ojciec.

Joanna urwała, jakby czekając na jakiś komentarz. Ale Jagoda uparcie trwała w ciszy, czekając na resztę informacji, jakie babka miała do przekazania.

– Niewiele wiem, czym się zajmował po skazaniu swojego mistrza. Na jakiś czas się przyczaił. Ostatnio znów zrobił się aktywny, pomagał nawet brytyjskim służbom, podobno odkrył jakiś artefakt, pozbył się jakiegoś demona, jest właścicielem pewnej firmy... No ale krążą różne plotki. O jego

znajomościach, podróżach, sprawach, w które się miesza. Jak nic eksperymentuje. Jagodo? – Urwała na moment. – Mężczyźni władający taką mocą zazwyczaj albo oddają się służbie publicznej, albo dryfują w niebezpieczną stronę. Mają za duże możliwości, aby zadowolić się życiem zwykłych śmiertelników. Powinnaś się trzymać od niego z daleka.

Plotki jej nie martwiły. Ale jeśli Joanna Wilczek jakieś powtarzała, na pewno zweryfikowała je w kilku niezależnych źródłach. Skoro uważała, że Caleb eksperymentuje, prawdopodobnie to robił.

A to niebezpiecznie kojarzyło się z Jacobem i prowokowało pytanie, czy przemiana Daniela po tylu latach na pewno była dziełem Reda i uaktywnionej kłątwy.

– Zabawne, to samo przed chwilą powiedział mi Mario Olcha. Sądzisz, że używa czarnej magii?

– Nie wiem – odparła babka po chwili zawahania. – Kochanie? Byłam dziś u ciebie, ale cię nie zastałam. Miałam zamiar sama do ciebie zadzwonić wieczorem. Nie podoba mi się, że ten chłopak w coś cię wciągnął.

– Zrobisz mi wykład na temat umawiania się z nieodpowiednimi chłopcami? Na to dziesięć lat za późno, babciu.

Joanna Wilczek westchnęła. Ciężko, z ubolewaniem. Zdaniem Jagody była jedyną osobą na świecie, która potrafiła wzdychać w taki sposób. Robiła to, ilekroć wnuki w jakiś sposób ją rozczarowywały. Swego czasu wystarczyło jedno takie westchnienie, aby wiedźmę ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Jesteś mądrą, śliczną dziewczynką – podjęła Joanna i Jagoda natychmiast zrozumiała, że to, co zaraz usłyszysz, jej się nie spodoba. – Ale nie uwierzę ani w to, że chodzi mu właśnie o to, ani że wpadł na ciebie przez przypadek. Interesuje go twoja magia, kochanie.

Nie. Tego zdecydowanie się nie spodziewała. Magia? Jej magia? Tak, moc Jagody była duża. Ale w jednej, konkretnej dziedzinie. W samej Warszawie było przynajmniej kilkanaście czarodziejek potężniejszych od niej, bardziej wszechstronnych albo specjalizujących się w przydatniejszych dziedzinach magii. A w całej Europie? Setki, może nawet tysiące!

– Magia? – spytała z niedowierzaniem. – Babciu, na Merlina i Morganę, specjalizuję się w kławkach! Niby po co moja magia Calebowi? Sam jest bardzo dobry w rzucaniu kławk. Inaczej prababka by go nie uczyła. Jestem dla niego bezużyteczna pod tym względem.

Joanna odezwała się dopiero po kilkunastu sekundach. Ten moment zawahania tylko dodatkowo zaniepokoił Jagodę. Zwłaszcza że gdy babka się odezwała, głos miała nietypowo poważny.

– Jaga, twoja moc nie jest może widowiskowa ani choćby najbardziej przydatna, ale unikalna. Naprawdę nie zdajesz sobie z tego sprawy? Inni nie widzą magii jako nici, które mogą dowolnie przeplatać... zmieniać. Tworzysz nowe kławk naturalnie, często nieświadomie. Nawet moja matka tego nie umiała. Wynajdywała i badała kławk, ale to zawsze wymagało od niej wiele pracy. Ty samodzielnie kształtujesz magię, nawet jeżeli w wąskiej dziedzinie. Nie jesteś najsilniejszą wiedźmą, ale jedyną osobą, o której wiem na pewno, że potrafiła to, co ty, choć na dużo większą skalę, był Jacob Red. Nie wyobrażam sobie, aby Caleb przeszedł obok tego obojętnie.

Oparła się o ścianę, zapatrzyła gdzieś w przestrzeń, na tonącą w deszczu ulicę, przejeżdżające tramwaje. Słowa Joanny Wilczek sprawiły, że ciało Jagody ogarnął chłód, niemający nic wspólnego z niską temperaturą i deszczem. Nie była pewna, co wstrząsnęło nią bardziej. Informacja, że to, co dotąd przychodziło jej z taką łatwością i zdawało się jej czymś naturalnym, jest taką rzadkością? Porównanie do Czerwonego Rozpruwacza? Czy może świadomość, że jeżeli babka ma rację pod tym względem, nie myli się też co do Blythe'a?

– Nie... Nie zdawałam sobie z tego sprawy – powiedziała przez zaciśnięte gardło, wiele wysiłku wkładając w to, aby jej głos brzmiał normalnie. – Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

– Sama długo nie wiedziałam. Potem... Po prostu sądziłam, że wiesz.

– Świetnie – prychnęła Jagoda. – Jeszcze jakieś rewelacje?

– Jedna – powiedziała Joanna, ciszej i jakby niepewnie. – Wiesz, w jakich okolicznościach Caleb opuścił dom mojej matki?

– Nie wiem! – Jagoda podniosła głos, ściągając na siebie uwagę przechodniów. Przymknęła oczy, wzięła kilka głębokich oddechów, próbując się uspokoić. Nie chciała pokazać babce, jak bardzo jest

wytracona z równowagi. – Skąd mam to wiedzieć? – powtórzyła już spokojniej. – Miałam kilka lat.

– Stoczyli pojedynek. Żadne z nich nie wygrało, ale matka nigdy nie doszła po nim do siebie. Sądzę, że to przyczyniło się do jej śmierci. To nie tak, że go winię, kochanie, bo była... bardzo surową nauczycielką, pewnie się jej postawił, ona próbowała magią zmusić go do posłuszeństwa i tak to poszło... ale on naprawdę jej nienawidził. Nie chciałabym, żeby mścił się na tobie. Gdybym wiedziała wcześniej, że jest w mieście, od razu bym ci to opowiedziała.

– Dziękuję za informacje.

– Jaga...

– Zadzwoń jutro. Do usłyszenia.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Złożyła parasol i przez chwilę po prostu stała, podparta o ścianę, przetrawiając wszystkie usłyszane informacje. Sądziła, że niewiele rzeczy może ją zaskoczyć, ale rozmowa z babką była jak cios obuchem. Czuła się ogłuszona.

„Eksperymentuje”.

„Samodzielnie kształtujesz magię”.

„Jacob Red”.

„Sądzę, że to przyczyniło się do jej śmierci”.

„Nie chciałabym, żeby mścił się na tobie”.

Uniosła dłoń, nawijając wokół palców nici kławy, a potem pozwoliła, by się rozpadły, rozwiały wraz z majowym wichrem. Zawsze sądziła, że te wszystkie przypadki, gdy rzucała przekleństwo nieświadomie, to po prostu wyraz braku kontroli nad własnymi zdolnościami.

Być może było w tym coś więcej.

Być może Caleb Blythe nie znalazł się na jej progu przypadkiem ani nawet dlatego, że szukał dogodnej kryjówki. Możliwe, że chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Eksperymentował. Nienawidził Joanny Wilczek.

Może Jagoda miała być kolejnym eksperymentem albo pokrętną okazją do zemsty.

Może ponownie zbierała burzę powstałą z wiatru zasianego przez prababkę.

Opuściła wzrok, spoglądając na swoje odbicie w kałuży, niewyraźne, zamazane. Zwykła młoda kobieta, niczym niewyróżniająca się z tłumu: o przeciętnej urodzie, włosach w nijakim, brązowym kolorze, piegowatej twarzy. Wiedźma, jakich wiele. Jeżeli czymś się różniła od pozostałych, to chyba tylko na minus. Ani piękna, ani szczególnie zabawna, może niegłupia, ale przecież też niezaliczająca się w poczet geniuszy. Niespecjalnie towarzyska i mająca tylko ten jeden jedyny, nieprzydatny na co dzień talent: do tkania kław.

Babka miała rację.

Wyróżniały ją jedynie magia i przynależność do rodziny Wilczków. Zawsze to wiedziała. Była głupia, że o tym na chwilę zapominała.

Co, jeżeli Mario też się nie mylił co do Caleba?

„Wiedźma Jaga”.

„Uważaj, bo cię przeklnie”.

Z powodu jej magii ludzie od zawsze trzymali się od niej z daleka albo, nie licząc rodziny, znikali prędzej czy później. Ta sama magia mogła jednak przyciągnąć Caleba. Nie brała tego pod uwagę tylko dlatego, że wiedziała o jego talencie do rzucania kław. Może to od początku było powodem, dla którego próbował z nią rozmawiać, zdobyć zaufanie.

Jagoda uśmiechnęła się niewesoło. Powiedziała sobie, że właściwie nie ma powodów do rozczarowania. Może co najwyżej do złości na samą siebie, że nie przejrzała na oczy wcześniej. Że zwiodło ją złudne podobieństwo, które dostrzegła pomiędzy nimi.

Przez moment była bliska zawrócenia na przystanek. Zapragnęła pojechać do mieszkania i zaszyć się pod kołdrą, nie wyściubiać nosa przez kilka dni. Zachować jak dziecko, które może uciec od problemów. Ostatecznie jednak ruszyła w deszczu, szybkim, zdecydowanym krokiem, w stronę, w którą zmierzała wcześniej.

Nie, nie będzie uciekać. Może bywała naiwna, ale nie umykała przed konfrontacjami. A już na pewno nie przed konsekwencjami własnych czynów. Czy nie to właśnie powtarzała często prababka,

przynajmniej zdaniem Joanny i Tadeusza?

Czarownica musi umieć ponosić konsekwencje swojego postępowania.

W takim razie, choć może zrobiła z siebie idiotkę, zamierzała uzyskać odpowiedź na parę pytań i zakończyć sprawę. Tym razem na dobre.

\*

Caleb nie wszedł do pubu. Stał przed drzwiami, pod daszkiem, bawiąc się papierosem. Mimo deszczu suchy – musiał użyć jakiegoś zaklęcia, bo nie było możliwości, aby nie padła na niego choćby kropla. Jagoda dla odmiany, zanim dotarła na miejsce, zupełnie przemokła. Po tym, jak złożyła parasol, przypomniała sobie o nim, kiedy już nie było sensu próbować chronić się przed deszczem.

Zresztą może była to jakaś forma karania samej siebie. Za głupotę. Bo we własnej opinii była głupia. Miała wszelkie przesłanki, by zachowywać wobec Blythe'a podejrzliwość, a polubiła go, ciągnęła ją do niego i może nawet obdarzyła tego człowieka minimalnym zaufaniem. Mogła się tylko cieszyć, że otrzeźwienie przyszło teraz, zanim zaczęło jej na nim naprawdę zależeć... albo zanim skończyła jako eksponat laboratoryjny.

– Hello. Spóźniłaś się – rzucił, mierzając ją spojrzeniem. – Ten parasol to tak dla ozdoby?

– Trzy pytania, Blythe.

– Jak w baśni? – spytał, uśmiechając się półgębkiem. – Trzy pytania do czarownika? Nie wolisz zadać ich w środku, gdzie jest cieplej?

– Czy zrobiłaś coś, co doprowadziło do śmierci Joanny Wilczek?

Obserwowała, jak mięśnie jego twarzy tężeją, a uśmiech spęła z warg. Spojrzenie stało się chłodniejsze, ale kąciki ust pozostały uniesione jeszcze sekundę po tym, jak w oczach zagościł lód.

Spodziewała się tej odpowiedzi, wyraz twarzy Caleba tylko potwierdzał jej podejrzenia, a mimo to, gdy się odezwał, poczuła ukłucie rozczarowania.

– Być może.

– Rzuciłaś na MacClone'a klątwę, która może go zabić?

Znów się uśmiechnął. I tym razem nie był to miły uśmiech.

– Prawdopodobnie tak.

Zacisnęła zęby. Czy to ją szokowało? Czy to potępiła? Daniel zasługiwał na śmierć. Sama była zdecydowana przynajmniej spróbować go zabić, tam, w lesie.

I sama kiedyś kogoś zabiła podobną klątwą.

Jednak ta konkretna klątwa była tak bliska czarnej magii... Może już nawet była czarną magią?

Czy miało to znaczenie, skoro efekt był taki sam?

Pomyślała o prababce. O Belli i o czarnoksiężniku z zaklętego domu. O Jacobie Redzie. O Danielu MacClonie.

– Co z trzecim pytaniem, Wilcza Jagodo? – ponaglił ją Caleb.

Zmusiła się do rozluźnienia mięśni twarzy. Przemówiła dopiero, kiedy była pewna, że głos jej nie zdrzży. Miała w tym wprawę.

– Wiedziałaś, że potrafisz kształtować magię?

– Domyślałem się.

Przez kilka sekund stali, przypatrując się sobie w ciszy. Potem Jagoda cofnęła się o krok. Miała swoje odpowiedzi. Może jej nie uszczęśliwiły, ale w tym przypadku prawda była lepsza od niewiedzy.

– To wszystko, co chciałam wiedzieć – powiedziała. – Mamy czyste rachunki. Pomogłeś Soni, ja podałam ci Daniela na tacy. Bądź łaskaw trzymać się ode mnie i od mojej uczennicy z daleka.

Obróciła się i ruszyła chodnikiem, błyszczącym od deszczu w świetle zapalających się latarni. Szła wyprostowana, z wysoko podniesionym podbródkiem, szybkim, zdecydowanym krokiem. Bo może była tylko jedną z wielu wiedźm w tym mieście, ale nigdy nie brakowało jej dumy i upor. Nie oglądała się, nie wiedziała więc, czy Blythe za nią patrzy, czy zniknął za drzwiami kawiarni, czy odszedł w swoją stronę.

Nie miało to znaczenia. Już nie.

